

**Kłamstwo, oszustwo,
destrukcja.
Trzy lata rządów PiS**

KRZYSZTOF ŁOZIŃSKI

**Kłamstwo, oszustwo,
destrukcja.
Trzy lata rządów PiS**

SERIA SCRIPTORIUM:

Redakcja i korekta tekstów:

Witold Tomasz Machura

Projekt okładki:

XXXX

Wydawca:



Wydanie I

Opole 2018

ISBN xxxxxxxxxxxxxxxx

© Copyright by Wydawnictwo SCRIPTORIUM

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żaden fragment tej publikacji nie może być powielany ani reprodukowany w jakiegokolwiek formie, bez pisemnej zgody wydawcy.

Zamówienia:

www.scriptorium.net.pl

tel. (77) 551 94 41, (601) 421 778

e-mail: biuro.scriptorium@gmail.com

Spis treści

Wstęp	7
Brońmy Trybunału, brońmy Polski [4 grudnia 2015 r.]	9
Cyryl jak Cyryl, ale te Metody [10 grudnia 2015 r.]	11
List otwarty do przewodniczącego NSZZ „Solidarność” Piotra Dudy [17 grudnia 2015 r.]	15
Deja Vu i zygu-zygu [18 stycznia 2016 r.]	19
Przestępstwo prawem się stało i rządziło między nami [26 stycznia 2016 r.]	23
Koniec państwa prawa [31 stycznia 2016 r.]	29
Śmierć kułakom i „Warszawiakom”, a biedniakom zwłaszcza [7 lutego 2016 r.]	35
Rzygać się chce [18 lutego 2016 r.]	41
Zrównanie chłopa z ziemią [29 lutego 2016 r.]	43
Pod buraki! [14 marca 2016 r.]	53
Właściciel państwa rzekł [21 marca 2016 r.]	57
Kaczka trojańska i pełne pampersy Prezesa [9 kwietnia 2016 r.]	59
Rekord świata bubla prawnego [28 kwietnia 2016 r.]	63
Myślenie Gomułką i gadanie Radziwiłłem [31 maja 2016 r.]	73
Głosowanie przez domyślanie [10 lipca 2016 r.]	81
Militarny szum żółtych papierów [27 października 2016 r.]	85
Czas na tortury. Ziobro chce KZ-tów [29 października 2016 r.]	89
Suweren sam się odwiedził [16 grudnia 2016 r.]	95
Jak nisko można upaść? [20 grudnia 2016 r.]	99
Kto to jest „śmy”? [23 grudnia 2016 r.]	101
Bydło na salonach [4 stycznia 2017 r.]	103
Zobaczyć Piotrowicza... bezcenne! [9 lutego 2017 r.]	107
Sędzia ma sądzić a Prezes nim rządzić [15 lutego 2017 r.]	109
Ta wojna już trwa [15 maja 2017 r.]	117
Pan prokurator ma rację [31 maja 2017 r.]	123
Jak podpisać, to się nie dziw [25 września 2017 r.]	125
Czekając na Breivika [24 stycznia 2018 r.]	127
Pucowanie rasizmu [7 lutego 2018 r.]	133
Co to jest, do cholery? [15 lutego 2018 r.]	137
Igranie z ogniem [13 marca 2018 r.]	141
Polityka sinusoidy i wiara w słowo zbója [23 marca 2018 r.]	147
Demagogia i jej skutek: 18 lat [4 kwietnia 2018 r.]	151

Beztrybizm [7 lipca 2018 r.]	169
<i>Tradycja polskiego parlamentaryzmu</i> <i>(małe kalendarium na rocznicę)</i> [13 lipca 2018 r.]	171
Jeden naród, jedna partia, jeden wódcz... Nie! [26 lipca 2018 r.]	173
Władza chce krwi [27 lipca 2018 r.]	177
30 srebrników [30 lipca 2018 r.]	179
Chichot historii [2 sierpnia 2018 r.]	183
Kwestia wyobraźni [19 sierpnia 2018 r.]	187
ZAMIAST POSŁOWIA.....	191
List otwarty.....	193

Wstęp

Książka jest moją specyficzną kroniką „podłej zmiany”, którą jej sprawcy pokrętnie nazywają „dobrą”. Specyficzną, bo przedstawia mój punkt widzenia.

Złożona jest z 40 moich artykułów pisanych i publikowanych począwszy od kwietnia 2015 roku do września 2018 roku. Teksty ułożone są w porządku chronologicznym, co pozwala śledzić przebieg kolejnych etapów demolowania państwa i pozbawiania obywateli ich praw.

Wyłania się z tego ciekawy obraz, bo widać dwie rzeczy:

Po pierwsze: metodę szkodzenia obywatelom tak, by nie wzbudzało to ich oporu. Dobrym przykładem jest historia ustawy rolnej, której twórcy odwoływali się do głęboko zakorzenionych lęków („Niemcy nam zabiorą!”), do stereotypów myślenia („rolnik to ma być rolnik, a nie jakieś tam Warszawiaki”) i do najgorszych cech zacofanej mentalności („ja mogę stracić, byle tamten nie dostał”). W ten sposób zabrano ludności wiejskiej sporą część jej praw wmawiając, że to dla jej dobra.

Po drugie: z obecnej perspektywy widać, że PiS w swoim planie zniszczenia demokracji i wszelkiej wolności, generalnie było konsekwentne, ale też potrafiło lawirować, wycofując się z części najgorszych i najgłębszych pomysłów, jak gigantyczny podatek od handlu, nacjonalizacja służby zdrowia, likwidacja Narodowego Funduszu Zdrowia i ubezpieczeń zdrowotnych, likwidacja giełdy („bo to spekulacja” – J. Kaczyński), wyrzucenie z Polski zagranicznego kapitału („repolonizacja” – J. Kaczyński) całkowite pozbawienie ludności wiejskiej prawa do dziedziczenia majątku i inne.

Widać też perfidną metodę odwracania znaczenia słów. „Walką z komunizmem” nazywa się przywracanie komunizmu, degradację pozycji Polski w świecie nazywa się „przywracaniem suwerenności”, niszczenie państwa nazywa się „wstawaniem z kolan”, politykę ośmieszającą kraj, niszczącą jego autorytet, nazywa się „polityka godnościową”.

Przypomina mi to pewien rysunek Szymona Kobylińskiego. Dwaj Wikingowie stoją przed okrętem w stanie rozpadu, połamany, ledwo posklejany i mówią, że najważniejszy jest dumny wyraz pyska smoka wyrzeźbionego na dziobie. Tak ma właśnie wyglądać Polska w wersji PiS: chaos prawny, konflikt z wszystkimi sąsiadami i sojusznikami, zdewastowane liczne instytucje i ludność pozbawiona praw obywatelskich, ale dumna. Bo co tam ruina, najważniejszy jest dumny wyraz pyska. Grozi nam osamotnienie, nawet utrata niepodległości, ale będziemy DUMNI! Z czego?!

Szczególnej uwadze czytelników poleciłbym dwa teksty: „Jeden naród, jedna partia, jeden wódz... Nie!” oraz „Igranie z ogniem”. W pierwszym opisuję algorytm przejmowania przez jeden ośrodek całej władzy nad państwem, który zastosowany był nie tylko w Polsce, ale i na Węgrzech i w paru innych krajach. W drugim – zagrożenie dla niepodległości Polski, jakie niesie coraz większa marginalizacja naszego kraju w Unii Europejskiej i w NATO.

Życzę czytelnikom ciekawej lektury.

Krzysztof Łoziński
12 września 2018 r.

Brońmy Trybunału, brońmy Polski

[4 grudnia 2015 r.]

Szanowni Państwo,

jestemy o krok od sytuacji, w której będzie można powiedzieć, że demokracji w Polsce już nie ma, że naszym krajem rządzi dyktatura. Wyraźnie widać, że większość parlamentarna, rząd i prezydent, nie są już autonomicznymi podmiotami, lecz są wykonawcami poleceń jednego człowieka. Co więcej, w sposób jawny deklarują całkowite lekceważenie dla obowiązującego prawa. Świadczy o tym choćby otwarte zignorowanie prawomocnego orzeczenia Trybunału Konstytucyjnego przez prezydenta.

Szanowni Państwo,

jeśli w Polsce przestanie działać prawo, a jego neutralizacja zaczyna się od zamachu na Trybunał Konstytucyjny i ataków na jego prezesa, to rządzący Polską osobnik będzie mógł zrobić wszystko – a widać, że nie ma on sympatycznych zamiarów i przed niczym się nie cofnie.

Trybunał Konstytucyjny jest najważniejszym sądem w Polsce. Jest tym organem władzy sądowniczej, który broni nas przed całkowitą samowolą władzy. Konsekwencją sparaliżowania Trybunału Konstytucyjnego będzie kolejny krok: likwidacja niezawisłości sądów, a nawet – zapowiedziane w dokumentach PiS – ustanowienie trybunałów ludowych (czyli instytucji linczu), których w Polsce nie było nawet za Bieruta.

Apeluję do wszystkich świadomych obywateli, niezależnie od orientacji politycznej, do wszystkich organizacji pozarządowych, związków zawodowych, partii politycznych i innych ugrupowań: brońmy

wszyscy Trybunału Konstytucyjnego, brońmy jego prezesa, prof. Andrzeja Rzepińskiego przed nieuczciwymi atakami, bo w ten sposób bronimy polskiej demokracji, naszej własnej wolności, naszych własnych praw, przed ustanowieniem w naszym kraju brutalnej dyktatury.

Nie siedźmy w domu z założonymi rękoma, nie czekajmy na to, że jakoś to będzie. Nie czekajmy na spełnienie nierealnych obietnic, na obiecywane nam srebrniki (500zł, itp.). Gdy dyktator uzyska pełnię władzy, nie będzie miał żadnej potrzeby, by te obietnice spełniać. **A odzyskać wolność będzie już bardzo trudno.**

W tej chwili absolutnie najważniejszą sprawą jest obrona niezawisłości sądów, poczynając od sądu najważniejszego – Trybunału Konstytucyjnego – oraz wyegzekwowanie od rządzących respektowania prawomocnych wyroków i ich wykonywania.

Cyryl jak Cyryl, ale te Metody...

[10 grudnia 2015 r.]

IV RP, czasy Kamińskiego, Kaczyńskiego i Ziobry

Fałszywe oskarżenia wobec lekarzy transplantologów spowodowały czasową (na szczęście) zapaść transplantologii. Co najmniej kilkanaście osób więcej niż przedtem i potem, zmarło nie doczekawszy się przeszczepów, bo społeczeństwu wmawiano, że jeden z najlepszych transplantologów bierze łapówki a inni handlują narządami.

Skutkiem wziętych z sufitu oskarżeń był najazd ABW na dom Barbary Blidy i jej samobójstwo. Politykom PiS chodziło o to, by uzyskać, jak to nazwali „wyjście na SLD”.

Kolejną taką aferą była sprawa Jana Widackiego, którego Jarosław Kaczyński, bez żadnych podstaw, nazywał „kwintesencją układu”. PiS starał się znaleźć urojony, nieistniejący w rzeczywistości „układ”, a dyspozycyjna politycznie prokuratura, podległa ministrowi Ziobrze, dostała niezwykłego zapału i na podstawie wysoce niewiarygodnych „dowodów” fałszywie oskarżyła prof. Jana Widackiego. Proces trwał 6 lat i skończył się uniewinnieniem. W międzyczasie działy się istne cuda w stylu IV RP.

Jan Widacki, adwokat, został oskarżony o podżeganie do fałszywych zeznań Sławomira Ratajczyka – kryminalisty siedzącego w więzieniu w Białymstoku. Ratajczyk, ni stąd, ni z owąd zeznaje, że Widacki nakłaniał go do fałszywych zeznań na korzyść Danielaka („Malizny”). Wcześniej Ratajczyk wysłał list do posła Zbigniewa Wassermana, w którym sugeruje to samo. Dla każdego doświadczonego prokuratora powinno być jasne, że Ratajczyk zwyczajnie kombinuje i nie ma żadnych dowodów. Ale jakoby nie wie o tym prokuratura, której funkcjonariusze na

licznych odprawach słyszeli od Kaczyńskiego, że Widacki to „kwintesencja układu” (tak w czasie rozprawy zeznał Janusz Kaczmarek). Następnie Ratajczyka odwiedza w areszcie Dorota Kania, dziennikarka „Gazety Polskiej”. Zostawia mu kopię swojego artykułu. Zeznanie Ratajczyka pokrywa się później z treścią tego tekstu. Ciekawe, że wizyta Kani w areszcie nie została odnotowana. Mało tego – Kania chwaliła się, że nagrała rozmowę z Ratajczykiem, a powszechnie wiadomo, że do aresztu nie wolno wносить sprzętu nagrywającego. List Ratajczyka wychodzi z oddziału dla niebezpiecznych osadzonych bez żadnego odnotowania w ewidencji. Dociera do Sejmu, również nieodnotowany w żadnej ewidencji. Ratajczyk przyznał później, że wprowadził on ten list pisał, ale – jak się wyraził – nie on był jego autorem. Czyli – zgodnie z jego wersją – list był podyktowany. Tak zeznawał na rozprawie. Nie wiadomo, jak list dotarł do Wassermana, który jedną kopię dał obrońcom Dochnała, a drugą Dorocie Kani.

I na takich podstawach ścigano i sądzono uczciwego człowieka przez 6 lat, przy okazji opluwając go w mediach. Sąd nie znalazł żadnych dowodów na prawdziwość oskarżenia. Swoją drogą istnym *curiosum* jest poseł przekazujący list bandziora obrońcom innego oskarżonego bandziora i dziennikarce PiS-owskiej szczujni.

Czerwiec 2011 roku. PiS domaga się powołania sejmowej komisji śledczej do zbadania rzekomego finansowania Platformy Obywatelskiej przez mafię pruszkowską. Według Mariusza Kamińskiego (PiS) mają o tym świadczyć zeznania gangstera (ściślej szeregowego żołnierza gangu), niejakiego „Brody”. Mają one obciążać Mirosława Drzewieckiego, który rzekomo prał brudne pieniądze gangu, finansując nimi PO.

W opowieści Kamińskiego nic się kupy nie trzyma. Gang pruszkowski został rozbity przez policję na przełomie 2000 i 2001 roku, na prawie rok przed powstaniem Platformy Obywatelskiej. Jakim cudem gang miałby finansować partię, która jeszcze nie istniała? „Broda” nie może mieć żadnej wiedzy na temat wydarzeń z lat 2001-2002, bo od roku 2000 do roku 2005 siedział w więzieniu, a później – od czerwca 2005 do 2010 – zaliczył więzienie ponownie. Od 2000 roku do 2010 roku był na wolności tylko 6 miesięcy. Poza tym był w gangu szeregowcem – zwykłym, drobnym bandziorkiem. Wysoce wątpliwe, by mógł w ogóle znać interesy gangu, zwłaszcza interesy tak poważne. Kamiński i Kaczyński są niewiarygodni także dlatego, że nie wskazali żadnego logicznego powodu, by jakikolwiek gang miał interes w finansowaniu PO. Bo i jaki miałby mieć w tym interes?

W dodatku Mariusz Kamiński nie zna zeznań „Brody”, tylko podobno słyszał o nich od jednego prokuratora, który zresztą zaprzecza, by takich informacji Kamińskiemu udzielał. Prokuratura zaprzecza stanowczo, by z zeznań „Brody” wynikało, że gang finansował PO. W czasie, gdy Kamiński rzekomo się o tym dowiedział, był szefem CBA i – nie wiedzieć czemu – nic z tym nie zrobił. Przypomniawszy sobie dopiero po ponad 2 latach, na progu kampanii wyborczej. W dodatku, według Kamińskiego i Kaczyńskiego, przepływ pieniędzy miał odbywać się za pośrednictwem Mirosława Drzewieckiego „skarbnika PO”. Tyle tylko, że Mirosław Drzewiecki nie był skarbnikiem PO. Był nim wówczas Waldy Dzikowski. Drzewiecki był skarbnikiem 5 lat później. A więc gang, który już od 6 lat nie istniał, przekazywał pieniądze Drzewieckiemu. Drzewiecki zaprzecza oszczerstwom i zapowiada proces.

Na czym jest oparte całe to PiS-owskie oskarżenie? Na tym, że Kamiński miał rzekomo usłyszeć o zeznaniach osoby całkowicie niewiarygodnej; zeznaniach, których nie widział – a według prokuratury, która zeznania zna, takich treści w nich nie ma. A więc **w zeznaniach – których o takiej treści nie ma – Pruszków miał finansować PO, gdy jeszcze nie powstała, za pośrednictwem skarbnika, który nie był skarbnikiem, a zeznaje o tym (w rzeczywistości nie zeznaje) facet, który już na 2 lata przed powstaniem PO siedział w pudle i w żadnych transakcjach nie mógł brać udziału, ani nie mógł o nich wiedzieć.** W dodatku „Broda” jest świadkiem wyjątkowo mało wiarygodnym, bo już raz zeznał, że w zleceniu zabójstwa gen. Papawy miał brać udział gangster „Nikoś”, który wówczas już nie żył. Tak więc, według „Brody”, martwy w tym czasie już od miesiąca „Nikoś”, miał być zamieszany w zabójstwo Papawy.

Ostatnio prezydent Andrzej Duda ułaskawił Mariusza Kamińskiego skazanego nieprawomocnie w innej sprawie o przekroczenie uprawnień, twierdząc, że Kamiński walczył z korupcją, a przypisywane mu nadużycia są zmyślone i w ogóle, to o co chodzi?

Szanowna młodzieży,

przytoczyłem te przykłady (cześć była już publikowana) w celu pokazania, jak mogą wyglądać wkrótce prokuratury, areszty i sądy, jeśli nie obronimy Trybunału Konstytucyjnego i niezawisłości sądów. Nawiedzony Antoni już ogłasza wyroki na winnych za trotyl w gotowanych parówkach. A że nie macie czego się bać? Przecież nikt wam nie znajdzie w domu ani broni, ani narkotyków... Nie znajdzie? **Znajdzie, bo sam przyniesie.**

List otwarty do przewodniczącego

NSZZ „Solidarność” Piotra Dudy

[17 grudnia 2015 r.]

Szanowny Panie Przewodniczący,

Piszę do pana jako jeden z tych ludzi, którzy w lecie 1980 roku tworzyli Niezależny Samorządny Związek Zawodowy „Solidarność”. W czasie strajków pamiętnego sierpnia 1980 roku byłem przewodniczącym komitetu strajkowego w swoim zakładzie pracy, później przewodniczącym Komisji Zakładowej i działaczem Regionu „Mazowsze”. Po wprowadzeniu stanu wojennego działałem w podziemiu. Zostałem za to skazany na 1,5 roku więzienia. SB „metodą działań operacyjnych” przez kilka lat uniemożliwiała mi podjęcie pracy. Do dziś jestem honorowym członkiem NSZZ „Solidarność” w swoim dawnym zakładzie pracy.

Szanowny Panie Przewodniczący,

z tytułu tego, co dla „Solidarności” zrobiłem, i z tytułu tego co przeszedłem ja i moja rodzina, **czuję się upoważniony do zwrócenia panu uwagi na to, że swoim postępowaniem niszczy pan cały dorobek naszej walki o wolność i demokrację w naszym kraju, w Polsce.**

Nie będę panu szczegółowo opisywał bicia i poniżania w aresztach, przystawiania do głowy nabitego pistoletu, grożenia „zgniciem na Syberii”, porwaniem dzieci, zgwałceniem żony. Nie będę panu szczegółowo opisywał incydentów takich, jak zatrzymania bez powodu na 48 godzin, przeszukania (czytaj: „demolowania mieszkania”), nagłych „przesłuchań” bez żadnego protokołu i z sugestią esbeka: „ja sobie teraz napiszę

co chcę, a kiedyś to wyciągnę”. Pan miał to szczęście, że nie musiał pan przez to przechodzić.

To dobrze, ale może dlatego nasze spojrzenia na dzisiejszą rzeczywistość się różnią...

Szanowny Panie,

tuż przed wyborami zawarł pan w imieniu „Solidarności” z partią PiS umowę, mówiącą w skrócie, że „Solidarność” poprze tę partię w wyborach, jeśli po ich wygraniu PiS cofnie reformę systemu emerytalnego.

Ponieważ rozmawiamy jak związkowiec ze związkowcem, powiem Panu wprost: **obiecał pan tej partii poparcie w zamian za szkodzenie Polsce i Polakom. To dla mnie niewyobrażalne, że związek zawodowy może domagać się rozwiązania, które będzie w przyszłości skazywać jego członków (i innych obywateli) na głodowe emerytury.**

Ale nawet nie to jest najgorsze, w tym co pan zrobił. **Poparł pan, jako przedstawiciel związku zawodowego partię, która opracowała projekt nowej konstytucji w którym widnieje punkt mówiący o użyciu wojska przeciw demonstrantom, a jednocześnie w którym nie ma prawa do strajku.** Poparł pan partię, planującą zamianę demokratycznej konstytucji na konstytucję dyktatury. Poparł pan partię, która po zwycięstwie wyborczym, spełnienie swoich – zresztą nierealnych i w konsekwencji szkodliwych – obietnic socjalnych odłożyła na niejasną przyszłość, zaś niemal natychmiast przystąpiła do destrukcji instytucji demokratycznego państwa.

Poparł pan partię, która planuje przywrócenie wszystkiego, co było w PRL najgorsze: dyspozycyjnych politycznie prokuratur i sądów, cenzury, sterowanych ideologicznie mediów, państwowej gospodarki i służby zdrowia, państwa policyjnego...

Panie Przewodniczący,

po tym co pan zrobił, czy mógłby pan teraz spojrzeć w twarz wszystkim ludziom „Solidarności”, którzy walczyli i ponosili poważne osobiste koszty tej walki o taką Polskę, która obecnie ma być zniszczona – o Polskę wolną, tolerancyjną, rynkową i europejską?

Czy mógłby pan teraz spojrzeć w twarz poległym górnikom z kopalni Wujek, zamordowanym księżom Popiełuszce, Zychowi i Danielakowi, zatłuczonemu na komisariacie Grzegorzowi Przemykowi i wielu innym?

W czasie obchodów rocznic śmierci górników z kopalni Wujek i podczas obchodów rocznicy Grudnia’70 nie reagował pan na słowa prezydenta Andrzeja Dudy, gdy mówił on, że „wstyd mu za III RP”, czyli wstyd

mu za wolną Polskę, o którą ci ludzie walczyli. **To nie za III RP trzeba się wstydzić, tylko za Andrzeja Dudę i za to, co obecnie robi, za prezydenta otwarcie łamiącego prawo i wspierającego próbę zastąpienia demokracji dyktaturą.**

To mam panu do powiedzenia, jako związkowiec związkowcowi. Mam nadzieję, że wyciągnie pan z tego wnioski i spowoduje, iż „Solidarność” powróci z ciemnej na jasną stronę drogi.

Deja Vu i zygu-zygu

[18 stycznia 2016 r.]

Słuchając reakcji panów i pań nieszczęśliwie nam rządzących na wydarzenia ostatnich dni (decyzja agencji ratingowej Standard & Poors, decyzje organów UE, spadki na giełdzie) mam wrażenie, że słyszę dalszy ciąg kampanii propagandowej, tylko nie wiem, czy Kaczyńskiego, czy Gomułki. To jest jakaś żałosna i zarazem obrzydliwa mieszanka kłamstw, obelg a jednocześnie wręcz komicznej i zarazem **groźnej niekompetencji**.

Politycy PiS, poczynając od prezydenta, zachowują się jak dzieci, które gryzą i kopią, bo łopatką czy wiaderko wpadły im do dołu, które same wykopały. Z jednej strony puszą się komicznie jak cietrzewie, a z drugiej strony gadają Gomułką, który w marcu 1968 roku zapluwając się na mównicy, krzyczał o Stefanie Kisielewskim i Pawle Jasienicy: „i tacy ludzie nazywają mnie ciemniakiem!”

Naprawdę komiczne jest wyobrażenie pana prezydenta, że politycy wielkich państw Unii zmieniają zdanie o tym, co się dzieje w Polsce pod wpływem paru propagandowych artykułów na wykupionej powierzchni reklamowej w zachodnich gazetach, bo w tych artykułach podsuwa im się wietrutne kłamstwa i oszczerstwa wobec przeciwników PiS. Zupełnie już żalony był „wesoly pan Zbyszek”, który myślał, że jeden z najważniejszych polityków UE wycofa się pokornie, gdy dostanie list z bzdurami i obelgami.

Nie wiadomo, czy śmiać się czy płakać. Rządzący nami ludzie chyba nie rozumieją, iż politycy z innych państw Unii nie muszą czytać sponsorowanych bredni wykupionych w gazetach, bo **głównym źródłem informacji dla nich są ambasady ich państw w Warszawie i raporty całej**

grupy międzynarodowych instytucji i organizacji, monitorujących to, co się w świecie dzieje.

Te całe gierki godne piaskownicy dają efekt odwrotny od zamierzonego. Naiwne zagranie ministra Waszczykowskiego, który „zwrócił się o opinię do Komisji Weneckiej”, posyłając jej nie tekst uchwalonej ustawy, tylko jej inną wersję i projekt partii Kukiza, i myślał, że Komisja da się nabrać, spowodowało tylko większą czujność i nieufność do informacji, które ta ekipa jej podsuwa. Komisja Wenecka zresztą szybko odparła: – Zaraz, zaraz, to nie te kwity, dawajcie właściwe!

Później „wesoły prokurator” Piotrowicz oświadcza z mównicy sejmowej, że prokuratury „nie mogą być niezależne”, bo muszą „być instrumentem władzy wykonawczej do wpływania na orzecznictwo sądów”, zaś „wesoły pan Zbyszek” ogłasza, że będzie wkrótce prokuratorem generalnym i będzie prowadził „politykę karną”. Dla ludzi z państw o ugruntowanych rządach prawa jest to zapowiedź, że dla rządzących w Polsce priorytetem jest legalizacja niezwykle poważnego przestępstwa przeciwko prawu czyli właśnie ręczne sterowanie przez polityków postępowaniami karnymi i sądowymi. To, za co Kaczyński i Ziobro mieli stanąć przed Trybunałem Stanu, a Kamiński został nawet za to skazany na 3 lata, czyli przestępstwo z art. 231 k.k., ma być teraz ustawowym mechanizmem działania władzy wykonawczej. Nawiasem mówiąc, w USA grozi za to nie 3 lata, tylko lat 10. W dodatku tam wyroki się sumują, więc gdyby „pan Zbyszek” poprowadził „politykę karną” 3 razy, to mógłby za to dostać 30 lat.

I po tych występach nasi rządzący, jak niewiniątka co świeczkę zjadło i siedzi po ciemku, nie rozumieją, o co właściwie pretensje.

Po tym wszystkim pan prezydent ogłasza mętny projekt ustawy o „frankowiczach”, z której wynika, że mają oni nie spłacić bankom części zaciągniętych kredytów. Pół biedy by było, gdyby tę część za obywatele spłaciło państwo. Nikt na świecie by nie protestował. Ale tu jest taka sytuacja: obywatele zaciągnęli kredyty, a państwo ogłasza, że części ich nie spłacą i już.

A później zdziwienie: tracimy ocenę ratingową (czyli mówiąc prostszym językiem: wiarygodność kredytową kraju). Oczywiście państwo powinno pomóc obywatelom, którzy znaleźli się w kłopotach, bo państwo od tego jest, by o obywateli dbać. Ale nie w ten sposób. Nie mówiąc bankom (z których część to jedne z największych banków świata, np. Citi Bank): „myśmy od was kasę wzięli i jej nie oddamy, a wy nam możecie naskoczyć”. **No to właśnie naskoczyli, tylko na odcisk** – na giełdzie.

Jeżeli w dodatku zagraniczni analitycy słyszą, że w Polsce nie można nawet liczyć na sprawiedliwe sądy, bo prezydent nie wykonuje wyroku Trybunału Konstytucyjnego, szefowa kancelarii premiera głosi, że wyroku nie opublikuje, bo się z nim nie zgadza, a czołowi politycy partii rządzącej głoszą, że „władza wykonawcza będzie wpływać na orzecznictwo sądów”, to jakim cudem taki kraj ma mieć wiarygodność kredytową? Kraj, który może pożyczyć kasę, nie oddać i nawet nie można się w nim do sądu odwołać?

Na koniec jeszcze pan Szałamacha, minister finansów – nie będący ekonomistą – oświadcza, że „zażąda od agencji ratingowej zmiany decyzji”, bo przedstawi fakty, że gospodarka polska jest w świetnej formie, a jeszcze kilka miesięcy temu jego partia głosiła, że gospodarka jest „w ruinie”, „nie mamy przemysłu”, „państwo jest w strasznym stanie”, itp. **I ten pan nie kojarzy, że normalni, wykształceni ludzie, nie wierzą komuś, kto kłamie tak lub siak, w zależności od tego, co mu akurat pasuje.** Ta agencja zresztą dobrze wie, że polska gospodarka jest w niezłym stanie, ale wiarygodność ludzi, którzy teraz rządzą jest zerowa i tym uzasadnia swoją decyzję.

I tu drobny przykład. Mój zagraniczny znajomy spytał mnie kiedyś: „Jak to jest, że Kaczyński mówi, stojąc w stoczni, że stoczni nie ma? To jest ta stocznia, czy jej nie ma? Bo skoro jej nie ma, to gdzie on to mówi?”. Tak, proszę państwa. Nawet ludziom, którzy skończyli więcej niż 7 klas (czyli 3 pierwsze i 4 drugie) czasami trudno naszego Hegemona zrozumieć, bo nie mieści się im w głowie, że jeden z najważniejszych polityków kraju tak bezczelnie kłamie (nie tylko na ten temat).

Jakby dla podsumowania braku powagi tej ekipy, prezydencki minister, Maciej Łopiński, ogłasza, że waluty mają być wymieniane nie po kursie rynkowym, lecz „sprawiedliwym”, a jaki będzie ten „sprawiedliwy” to nie wiadomo, bo za każdym razem inny.

I co z tym mają zrobić zagraniczni inwestorzy? Zabrać swoje zabawki (funty, euro, franki, dolary) i iść na inne podwórko!?

I to właśnie się dzieje.

A dyskutować w gazetach sobie można, tylko nie ma z kim. Po prostu tysiące giełdowych inwestorów, prezesów firm, analityków, nawet jeśli wpadnie na pomysł robienia jakiegoś biznesu z Polską, po chwili machnie ręką i pomyśli: „a może nie..., może w Tajlandii...”. I nic na to nie pomogą żadne przemówienia Andrzeja Dudy.

Przestępstwo prawem się stało i rządziło między nami

[26 stycznia 2016 r.]

Motto:

*Najsamprzód mieszkańca wysłuchać trzeba,
gdyż bicie go i poniewieranie bez wysłuchania
okazać się może nadaremne.*

Sałytkow Szczedrin

„Ustawa o właściwej rządom miasta dobroćliwości”

Przestępcy zawsze mieli jeden odwieczny problem: jak dokonywać przestępstw bezkarnie? Całe pokolenia zbójców, mafiosów, Szpicbródek i innych podobnych postaci nie potrafiły go rozwiązać. **Aż tu w Polsce znalazła się partia, która wpadła na pomysł genialny: trzeba tak zmienić prawo, by to, co było wcześniej przestępstwem, stało się legalne, a nawet było przez prawo ustanowione.**

I tak, zaczęto od nieuznawania wyroków Trybunału Konstytucyjnego i takiego zmieniania ustawy, by przestały one obowiązywać, lub by Trybunał nie mógł ich wydawać. Ujawniła się przy tym specyficzna logika antyprawa. Prezydent, który na pytanie: kiedy wykona swoje konstytucyjne obowiązki, odpowiada, że ich nie wykona „bo złamałby Konstytucję”. Szefowa gabinetu premiera głosi, że nie może opublikować wyroku TK, bo **uważa** go za niezgodny z prawem, czyli – mówiąc inaczej: podsądny dokonuje oceny wyroku sądu. Sejm kwestionuje ustawę uchwałą. To tak jakbym ja unieważniał mandat felietonem. Świat prawa został postawiony na

głowie. Nastąpiło to, o czym w 1968 roku pisał Antoni Słonimski: „słowa, jako te antypody, głowami chodzą na dół nogi mając w górze”.

Sejm uchwalił nową ustawę o służbie cywilnej. Ta stara ustawa znacznie utrudniała korupcję i kumoterstwo oraz ustawianie „swoich” na wysokich stanowiskach. W nowej zlikwidowano konkursy na stanowiska kierownicze, uzasadniając to tym, że „zdarzało się ustawianie tych konkursów”. Czyli, tłumacząc z polskiego na nasze: ponieważ zdarzały się przestępstwa fałszowania konkursów, by wsadzać „swoich”, trzeba zlikwidować konkursy, by bez nich wsadzać „swoich”. Innym uzasadnieniem jest: „trzeba dać szansę młodym”. Co to znaczy? Trzeba móc wsadzać na stanowiska „swoich” ludzi, którzy wcześniej nie spełniali wymaganych kryteriów. To, co wcześniej było przestępstwem, staje się legalną praktyką.

Ale to jeszcze nie wszystko. Szykowana jest nowa ustawa o prokuraturze, która ma umożliwić prowadzenie tak zwanej „polityki karnej”. „Polityka karna” to taka praktyka, w której o ściganiu i o karaniu konkretnych osób nie decyduje prawo, lecz politycy.

W krajach praworządnych jest to poważne przestępstwo przeciw prawu. „Polityka karna” jest na przykład w Chinach, gdzie przed rozprawą zbiera się „komitet polityczno-prawny” złożony z sędziego, prokuratora i sekretarza partii. Ten komitet przed rozprawą uzgadnia wyrok, a rozprawa w sądzie jest tylko przedstawieniem. „Polityka karna” stosowana była też w PRL. Poznałem to na własnej skórze. Oficer SB, który był obecny na mojej sprawie, w piśmie do swoich przełożonych napisał: „z punktu widzenia obiektywnego obserwatora вина nie została udowodniona”, zaś w piśmie do sądu stwierdził: „zdaniem komisji śledczej wyrok jest za niski”. I sąd miał się poprawić. Sędzia zaś tak uzasadnił wyrok bezwzględniego więzienia:

(..)w czasie rozprawy nie udowodniono czynu karalnego, ale oskarżony działał z dużym natężeniem złej woli,

i dalej:

(...)sąd wziął pod uwagę, że braki w materiale dowodowym wynikają z uporczywego uchylania się od zeznań oraz arogancji oskarżonego i świadków.

Tak właśnie wygląda „polityka karna”, która jest jednym z ważniejszych punktów programu PiS. I tak ma teraz być. Ustawa nie tylko łączy

funkcje ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego, ale daje politykowi prawo do ręcznego ingerowania w śledztwa, czyli robienia tego, za co Zbigniew Ziobro i Jarosław Kaczyński mieli stanąć przed Trybunałem Stanu, a za co Mariusz Kamiński został nawet nieprawomocnie skazany. Do tej pory było to przestępstwo z art. 231 k.k. – przekroczenie uprawnień przez funkcjonariusza publicznego. Dotąd prokurator miał się kierować wyłącznie prawem, a ingerencja przełożonego w jego decyzje była przestępstwem. A więc tak zmienia się prawo, by ingerencja szeffa była legalna. Co więcej, w jednym z artykułów nowej ustawy zapisano, że prokurator łamiący prawo ma być bezkarny, jeśli działa „w interesie społecznym”. Jest oczywistym, kto będzie o tym „interesie społecznym” decydował i że ten ktoś ma na imię Jarosław.

Ten zapis jest oczywiście tak na wszelki wypadek, gdyby przy nowelizacji ustawy zapomniano jakiegoś prokuratorskiego przestępstwa zalegalizować.

Arkadij i Borys Strugaccy opisali w powieści „Trudno być bogiem” trzy „obywatelskie cnoty” w warunkach dyktatury: „lojalność, wykonywanie rozkazów i wzajemna obserwacja”. Te trzy „obywatelskie cnoty” mają obecnie przyświecać polskiej prokuraturze.

Pomysł nie jest nowy, ale ciągle żywy. W 2000 roku Lech Kaczyński oświadczył:

(...)bez podległości politycznej prokuratury państwo nie będzie mogło realizować polityki karnej.

Ostatnio poseł PiS, dawny komunistyczny prokurator, Stanisław Piotrowicz, powiedział z mównicy sejmowej:

Prokuratura nie może być niezależna, bo jest jedynym narzędziem władzy wykonawczej do wpływania na orzecznictwo sądów.

Cóż za szczerłość!

Skutkiem prowadzenia polityki karnej za rządów PiS była sprawa Barbary Blidy¹, rzekomej willi Kwaśniewskich w Kazimierzu² i szereg innych.

¹ Rewizja u B. Blidy miała być „wyjściem na SLD”, jak to wyraził Jarosław Kaczyński – sformułowanie z zeznania Janusza Kaczmarska – a podstawy do przeprowadzenia tej rewizji były wysoce wątpliwe.

² Kwaśniewscy nie mieli tam willi, ale CBA chciało im ją za wszelką cenę znaleźć, więc niepotrzebnie kupiło willę, która wcale do Kwaśniewskich nie należała.

Sprawy te są na tyle znane, że na razie ich opisywanie pominiemy. Skutkiem polityki karnej były też sprawy doktora Garlickiego i transplantologów, gdyż PiS koniecznie chciał wykazać z góry założoną tezę, że środowisko lekarskie jest dogłębnie skorumpowane. Za każdym razem działano metodą poszukiwania dowodów na z góry założoną tezę o czyjejś winie.

Jest to kompletne odwrócenie metodyki postępowania w normalnym (czytaj: „uczciwym”) postępowaniu dowodowym, w którym najpierw bada się ślady, dowody, przesłuchuje świadków a dopiero na tej podstawie typuje podejrzanego, któremu trzeba jeszcze udowodnić winę. W „polityce karnej” jest odwrotnie. **Najpierw na potrzeby polityki wskazuje się „winnego”, a później szuka się na niego „dowodów”, a jak się ich nie znajdzie to się je sfabrykuje**³. To właśnie za przekroczenie uprawnień na potrzeby „polityki karnej” został skazany na 3 lata więzienia wiceprezes PiS, Mariusz Kamiński.

Pomysł prowadzenia „polityki karnej” przez to środowisko polityczne jest niezwykle groźny, bo właśnie to środowisko generuje co pewien czas kolejne domniemane winy różnych ludzi za czyny, które bywają zupełnie urojone (np. „zamach” w Smoleńsku). W dodatku to środowisko preferuje „ekspertów”, którzy nie muszą znać się na przedmiocie sprawy, ale mają to samo zdanie co prezes PiS („po co mi doradcy, z którymi się nie zgadzam?” – Lech Kaczyński, rok 2002, TVP).

Jest jeszcze problem z niezawisłością sądów, ale i na to są pomysły.

W projekcie nowej konstytucji PiS art. 145 przewiduje, że prezydent (którym raczej nie będzie wówczas Andrzej Duda, bo jego imię nie zaczyna się na „J”) może odwołać każdego sędziego w każdym sądzie, za „niemożność lub brak woli” rzetelnego wykonywania obowiązków sędziego. Wniosek w tej sprawie kieruje Rada do Spraw Sądownictwa (nowy organ), którego 80% składu powołuje rząd (zależny od prezydenta), Sejm (w takim składzie, jakiego prezydent sobie życzy), a jej przewodniczącym jest sam prezydent. Tak więc prezydent (którego imię będzie się zaczynało na „J”) na czele Rady, którą praktycznie w 80% sam powołuje (przecież zależny rząd i zależny Sejm mu nie podskoczą) kieruje wniosek sam do siebie, by konkretnego sędziego pozbawić posady.

Co więcej, na mocy art. 144, prezydent też sędziego powołuje na wniosek – jakże by inaczej – Rady do Spraw Sądownictwa, którą w praktyce

³ Tak na przykład było w „aferze gruntowej”, gdzie sfalszowano dokumenty, by sprowokować z góry wybrane osoby do korupcji.

sam powołuje. **Tak więc prezydent może każdego sędziego powołać lub odwołać, także sędziego ze składu Państwowej Komisji Wyborczej.**

Smaczku temu wszystkiemu dodają niedawne zapowiedzi polityków PiS karania „butnych i aroganckich sędziów”, badania ich wariografem, pobierania od nich moczu do badań...

Interesującym projektem jest pomysł powołania „izby wyższej” Sądu Najwyższego, która będzie miała prawo zmieniania prawomocnych wyroków wszystkich sądów i wedle niektórych wypowiedzi pomysłodawców, w jej skład będą wchodzić **nie tylko sędziowie** (czyli jakby „trybuni ludowi” – skąd my to znamy?!). Pasowała by dla niej nazwa: **„izba linczu”**.

W lipcu 2015 roku Zbigniew Ziobro (źródło: TVN24) groził ściganiem po dojściu PiS do władzy sędziego Igora Tuleyi za to, że ujawnił niedozwolone metody stosowane w śledztwie za rządów PiS. Według Ziobry, sędzia Igor Tuleya złamał wszelkie zasady etyki sędziowskiej. Dlaczego? Ano dlatego, że skierował do prokuratury powiadomienie o stosowaniu przez ekipę Ziobry aresztów wydobywczych, wielogodzinnych przesłuchań (tzw. „konwejerów”) i jak najbardziej słusznie porównał je do metod służb stalinowskich. Porównanie było trafne. „Konwejerów” nie stosowano w Polsce od 1956 roku (nawet za komuny), gdy upadły rządy Bieruta. Przywrócili je do metod śledczych dopiero funkcjonariusze i prokuratorzy za rządów PiS, gdy ministrem sprawiedliwości był Ziobro.

Przypomnijmy jeszcze, że Państwowa Komisja Wyborcza składa się z sędziów. Teraz tych „butnych i aroganckich” w niej nie będzie. Zacytujmy klasyka: „nieważne kto głośnie, ważne kto liczy głosy” (Józef Stalin).

Po każdym przegranych wyborach politycy PiS głosili, że były one sfałszowane, oczywiście nie przedstawiając na to żadnych dowodów. **Obecnie PiS zaczyna kombinować wokół ordynacji wyborczej, by zmienić ją tak, by zawsze wygrywać wybory.** Znow ten sam tok myślenia: skoro fałszowanie wyborów jest przestępstwem, zmieńmy prawo tak, by zgodnie z nim ordynacja wyborcza generowała wynik fałszywy w stosunku do prawdziwej woli wyborców. Stalin by tego nie wymyślił: nie jest ważne tylko to kto liczy głosy, ale i to **jak się je liczy.**

A zresztą, w projekcie nowej konstytucji według PiS jest tak: prezydent może w każdej chwili, bez podania przyczyn, rozwiązać Sejm (Senatu ma nie być). Ma też teoretycznie ogłosić nowe wybory, ale nie ma na to żadnego terminu – w projekcie nie ma też zwrotu „bezwzględnie”. Może więc z tymi wyborami zwlekać tak długo, jak długo zechce. Gdy skończy się jego kadencja „wybory prezydenckie ogłasza Marszałek Sejmu”. Ale gdy nie ma Sejmu, to nie ma i marszałka. I pozamiatane...

I tu znów zacytuję klasyka: „Wybory? A po co? Już mamy władzę” (Ernesto „Che” Guevara).

Na wszelki wypadek projekt konstytucji daje prezydentowi (którego imię będzie się zaczynało na „J”) prawo użycia wojska „w razie poważnych zamieszek”. „Poważność zamieszek” będzie oceniał... zgadnijcie kto? Na wszelki wypadek projekt nie przewiduje też prawa do strajku.

Bardzo nieładnie brzmią też zapowiedzi nowych komisji śledczych, np. w sprawie „afery podsłuchowej”. Przypomnijmy, że przestępstwem było podsłuchiwanie, a nie bycie podsłuchiwanym, że w treści podsłuchanych rozmów nie było nic, co można by uznać za przestępstwo, że głównym beneficjentem tej afery był PiS. Istnieją też podejrzenia, że to w ogóle PiS był prawdziwym jej zleceniodawcą, a już na pewno najwięcej na niej skorzystał. Jest tu ciekawa konstrukcja antyprawnonielogiczna: beneficjenci przestępstwa będą prowadzić śledztwo przeciw ofiarom przestępstwa.

I dlaczego w nowej ustawie o policji, podsłuchiwanie przez służby bez kontroli sądu, praktycznie kogo tylko się zechce, stało się legalne? Dotychczasowy przestępca został oskarżycielem, a ofiara przestępcą.

Innym **osobliwym pomysłem jest powołanie nowej komisji do zbadania katastrofy smoleńskiej**. Żeby obalić ustalenia komisji złożonej z fachowców, ma powstać komisja złożona z szarlatanów z dotychczasowej „komisji Macierewicza” (szarlatanem jest każdy, kto podejmuje się roli eksperta w dziedzinie, na której się nie zna). Do tego przydałby się wrak tupolewa. Nie trzeba będzie fałszować dowodów na zdjęciach, można będzie fałszować dowody na obiekcie. Jak mawiał pewien stary SB-ek: „nieważne kto znalazł fanty, ważne kto je przyniósł”.

I tak, w ramach „polityki karnej” będzie można wsadzać do więzień niewinnych ludzi na podstawie paranoicznych urojeń i „ekspertyz” inżyniera budownictwa lądowego z Akron. Jak dotąd fałszowanie dowodów i tworzenie fałszywych ekspertyz w sprawie karnej było przestępstwem, teraz na ich podstawie przestępcą będzie niewinny człowiek, a fałszerz będzie go oskarżał.

A że społeczeństwo się buntuje, jakieś tam KOD-y powstają? Zacytuję Bertolda Brechta:

(...)jeśli społeczeństwo nie spełnia oczekiwań rządu, to rząd powinien rozwiązać społeczeństwo i wybrać sobie nowe.

Koniec państwa prawa

[31 stycznia 2016 r.]

Jeden z najważniejszych artykułów Konstytucji RP, **art. 2.**, stanowi: „**Rzeczpospolita Polska jest demokratycznym państwem prawnym, urzeczywistniającym zasady sprawiedliwości społecznej**”.

Jeśli nowa ustawa o prokuraturze wejdzie w życie, w praktyce zasada ta przestanie obowiązywać, bowiem **ustawa ta w praktyce sankcjonuje działanie niezgodne z prawem, jako dozwolone i możliwe**.

Najgorsze jest nie to, co literalnie jest w niej zapisane, ale to, jakie możliwości w praktyce daje ona rządzącym. Zwłaszcza że znamy skłonność obecnej ekipy do lekceważenia lub wręcz łamania prawa i przyjmowania postawy: „no i co mi zrobicie?”.

Ustawa daje przełożonym prokuratora, w tym ministrowi sprawiedliwości – będącemu jednocześnie prokuratorem generalnym – prawo do wydawania poleceń prokuratorowi właściwie co do każdej czynności lub decyzji procesowej. W praktyce taką możliwość ma Jarosław Kaczyński za pośrednictwem Zbigniewa Ziobry, który musi wykonywać wszystkie jego polecenia (Ziobro został już uprzednio przeczolgany i upokorzony publicznie przez Kaczyńskiego i wie, że warunkiem niezbędnym do jego funkcjonowania jest bezwzględne posłuszeństwo).

Minister sprawiedliwości (polityk) może prokuratorowi nakazać wszczęcie postępowania przeciw konkretnej osobie, nawet o urojone przestępstwo (bo praktycznie przed nikim nie odpowiada za swoje decyzje, ponieważ chroni go immunitet i ta ustawa oraz Hegemon), może w każdej sprawie polecić umorzenie, odmowę wszczęcia postępowania, wycofanie aktu oskarżenia z sądu i co tylko jeszcze zechce.

Jeśli ktoś z ekipy rządzącej popełni przestępstwo, nawet bardzo poważne, to minister sprawiedliwości (a pośrednio Hegemon) może tak manipulować postępowaniem, aby nigdy nie poniósł on kary (wystarczy nie występować do sądu o żaden środek zapobiegawczy – zwłaszcza areszt – i latami zwlekać z zakończeniem śledztwa, a nawet można bezczelnie odmówić jego wszczęcia).

Art. 7 tej ustawy mówi:

3. Polecenie dotyczące treści czynności procesowej prokurator przełożony wydaje na piśmie, a na żądanie prokuratora – wraz z uzasadnieniem. W razie przeszkody w doręczeniu polecenia w formie pisemnej dopuszczalne jest przekazanie polecenia ustnie, z tym że przełożony jest obowiązany niezwłocznie potwierdzić je na piśmie. Polecenie włącza się do akt podręcznych sprawy.

Zwróćmy uwagę, że uzasadnienie potrzebne jest dopiero „na żądanie prokuratora”. Prokuratorzy też są ludźmi i wiedzą – zwłaszcza znając wcześniejsze praktyki Ziobry – że lepiej specjalnie się o takie uzasadnienie nie dopominać (przecież ustawa jasno stanowi, że nie jest ono konieczne, bo dopiero „na żądanie”).

Co więcej: „Polecenie włącza się do akt podręcznych sprawy”, a więc nie do akt sądowych. Akta podręczne są tylko dla prokuratora, ale nie dla stron i nie dla sądu. Włączenie polecenia do tych akt to tylko „dupokrytka” dla prokuratora („to nie ja, to mój szef, ale nic z tego dla samego postępowania nie wynika”).

Prokurator praktycznie nie może polecenia nie wykonać. A co może?

§4. Jeżeli prokurator nie zgadza się z poleceniem dotyczącym treści czynności procesowej, może żądać zmiany polecenia lub wyłączenia go od wykonania czynności albo od udziału w sprawie. O wyłączeniu rozstrzyga ostatecznie prokurator bezpośrednio przełożony nad prokuratorem, który wydał polecenie.

*§5. Żądanie, o którym mowa w §4 prokurator zgłasza na piśmie wraz z uzasadnieniem **przełożonemu, który wydał polecenie.***

Co to w praktyce znaczy? Prokurator może się dąsać, ale wykonać i tak musi. Nie ma w praktyce żadnej drogi odwoławczej. Żądanie zmiany

decyzji kieruje do tego, kto wydał decyzję, a tenże wcale nie musi tego żądania spełnić. Może prosić o wyłączenie, ale tylko prosić. W praktyce nic nie może, a jak będzie się dąsał to tylko podpadnie, a i tak niczego nie uzyska. **Wola przełożonego jest tu ważniejsza, niż prawo.**

W dodatku:

art. 8. §1. Prokurator przełożony uprawniony jest do zmiany lub uchylenia decyzji prokuratora podległego. Zmiana lub uchylenie decyzji wymagają formy pisemnej i są włączane do akt sprawy.

Jakiej decyzji? Ponieważ nie określono jakiej, to znaczy każdej. Jest też i bat na prokuratorów:

7. Prokuratorowi, który dopuścił się:

1) istotnego uchybienia w zakresie sprawności postępowania przygotowawczego – prokurator przełożony może zwrócić uwagę na piśmie na zasadach określonych w art. 139;

2) oczywistej obrazy przepisów prawa przy prowadzeniu sprawy – prokurator przełożony wytyka to uchybienie na zasadach określonych w art. 140.

8. W razie stwierdzenia oczywistej i rażącej obrazy przepisów prawa prokurator przełożony jest obowiązany żądać wszczęcia postępowania dyscyplinarnego przeciwko prokuratorowi, który obraży się dopuścił.

Ale żeby ktoś nie myślał, jest też i łaska pańska broniąca przed tym batem:

Art. 137. §1. Za przewinienia służbowe, w tym za oczywistą i rażącą obrazę przepisów prawa i uchybienia godności urzędu, prokurator odpowiada dyscyplinarnie (przewinienia dyscyplinarne).

2. Nie stanowi przewinienia dyscyplinarnego działanie lub zaniechanie prokuratora podjęte wyłącznie w interesie społecznym.

(...)

4. Za nadużycie wolności słowa przy wykonywaniu obowiązków służbowych, stanowiące ściganą z oskarżenia prywatnego zniewagę strony, jej pełnomocnika lub obrońcy, kuratora,

świadka, biegłego lub tłumacza, prokurator odpowiada tylko dyscyplinarnie.

A więc ślicznie! Prokurator może dopuścić się rażącej obrazy przepisów prawa, jeśli działa w interesie społecznym. A co to jest „interes społeczny”? Nie wiadomo. W polskim prawie dotąd nie było takiego pojęcia i nie ma żadnej jego wykładni. Był tylko „interes publiczny”, ale to co innego. W praktyce o tym, co jest a co nie jest „interese społecznym” będzie decydował zwierzchnik, lub jeszcze ważniejszy zwierzchnik, lub sam Hegemon.

To jest klasyczna teoria, że „sprawiedliwość stoi ponad prawem” („o tym kto jest Żydem to ja decyduję” – Herman Goering; „podejrzani to chodzą po ulicy, tu na UBP są winni” – Józef Różański).

W dodatku prokurator może zbluzgać podsądnego, jego obrońcę, świadka i jako „działanie prokuratora” (§2) „w interesie społecznym” ujdzie mu to bezkarnie. Nawet sprawy cywilnej nie można mu założyć. Zresztą termin „działanie prokuratora” też jest gumowy i mętny. Jakie „działanie” – każde? Pobicie przesłuchiwanego też? No chyba też.

Zwracam uwagę, że wyższym interesem uzasadniano nieraz w historii stosowanie tortur, to czemu nie uzasadnić „interese społecznym”? Ciekawy jest też:

Art. 12. §1. Prokurator Generalny, Prokurator Krajowy lub inni upoważnieni przez nich prokuratorzy mogą przedstawić organom władzy publicznej, a w szczególnie uzasadnionych przypadkach także innym osobom, informacje dotyczące działalności prokuratury, w tym także informacje dotyczące konkretnych spraw, jeżeli informacje takie mogą być istotne dla bezpieczeństwa państwa i jego prawidłowego funkcjonowania.

*§2. Prokurator Generalny oraz kierownicy jednostek organizacyjnych prokuratury mogą przekazać mediom osobiście, lub upoważnić w tym celu innego prokuratora, **informacje z toczącego się postępowania przygotowawczego** lub dotyczące działalności prokuratury, z wyłączeniem informacji niejawnych, mając na uwadze ważny interes publiczny.*

Co to znaczy? Prokuratura może manipulować informacjami ze śledztwa, na przykład nieudowodnionymi oszczerstwami, wymuszonymi zeznaniami. Można oskarżonego opluć w mediach, szantażować jego rodzinę „informacjami z toczącego się postępowania przygotowawczego”.

Można w ten sposób napuszczać na kogoś opinię społeczną, sąsiadów, środowisko.

A z tego wszystkiego wynika, że:

1. **Polityk, minister sprawiedliwości lub Hegemon, któremu** minister faktycznie (choć nieformalnie) podlega, może uczynić bezkarnym sprawcę każdego przestępstwa, gdy mu się to do czegoś przyda, lub gdy jest to „swój”.
2. Może też przeciwnie: kogoś zupełnie niewinnego nękać, prześladować, manipulować dowodami i zeznaniami świadków (wystarczy dokonać selektywnego wyboru dowodów dla sądu) i nie tylko on, ale i wykonawcy jego poleceń za nic nie odpowiadają.

Ustawa daje politykowi możliwość szantażowania prokuratorów, którzy już raz na jego polecenie złamali prawo, bo artykuł o braku odpowiedzialności ze względu na „interes społeczny” jest mętny i jego stosowanie uznaniowe. Na każdego, kto raz złamał prawo na polecenie szefa, szef ma już haka, bo informacja o poleceniu jest tylko w „aktach podręcznych” (o ile w ogóle jest), a tych akt sąd nie widzi, bo poza prokuraturę one nie wychodzą.

Każdego można publicznie gnoić ogłaszając nawet kompletnie nieprawdziwe brednie, jako „informacje z toczącego się postępowania”. Takie informacje nie muszą wcale zostać później udowodnione.

Ta ustawa daje władzy narzędzie do dowolnego i bezkarnego łamania prawa.

Teoretyczny przykład: Powiedzmy, że działaczowi PiS-u spodobał się dom Jasia Kowalskiego, więc przyszedł z paroma zbirami i wygonił Jasia z domu, a sam ten dom zajął. Jasio wystąpił o pomoc do prokuratury, a kolega działacza, Ziobro, polecił nie wszczynać postępowania, lub prowadzić je tak, by nigdy się nie zakończyło. I już. Przy okazji w telewizji „ujawniono” zeznanie Ziułka Kapusty (którego Jasio nawet nie znał), że Jaś Kowalski to pijak i złodziej, mąż prostytutki i ateista.

Podobnie działało prawo w PRL. Gdy milicjant bez powodu strzelał do Naroźniaka, aresztowano Naroźniaka.

Śmierć kułakom i „Warszawiakom”, a biedniakom zwłaszcza

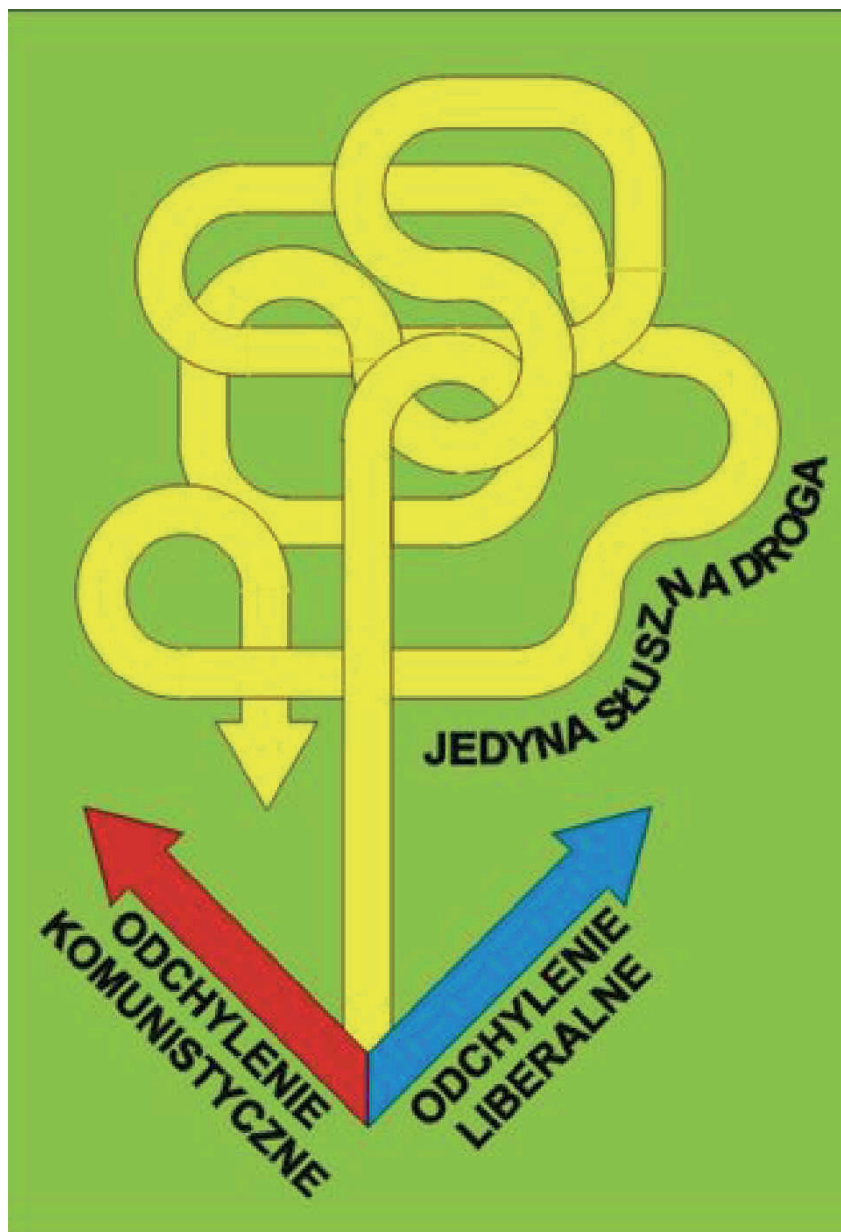
[7 lutego 2016 r.]

Motto:

*Aby kasę dać mamusiom,
podnoszenie cen tatusiom.
Byś nie sprzedał Niemcom roli,
rząd cię z roli wyp.....
Skoro rząd ci niełaskawy,
dorób dzieci do ustawy.
Oto idzie „dobra zmiana”:
z kopa, w pysk i na kolana.*

W ostatniej „Polityce” (3-9.02.2016) ukazał się artykuł Joanny Solskiej „O obrotach ziemią”. Jak pisze autorka, „dobra zmiana” na wsi zaszkodzi rolnikom, mieszcuchom, którzy kupili na wsi domy i działki oraz farmerom mającym ponad 300 hektarów, czyli praktycznie wszystkim. Joanna Solska nie zauważyła jednak wszystkiego.

Zacznę od tego, co opisała (więcej szczegółów w „Polityce”), czyli od pomysłów PiS na obrót ziemią. Wiadomo od lat, że Jarosław Kaczyński ma obsesyjną niechęć do prywatnej własności – prywatnej własności ziemi zwłaszcza, a prywatnej własności ziemi w rękach cudzoziemców jeszcze bardziej; najbardziej przy tym obawia się własności Niemców. Ta obsesyjna fobia jednego człowieka (z którego wielu wypowiedzi widać, że nie ma pojęcia o tym jak wygląda dzisiaj wieś) przekłada się



Rys. Grzegorz Łoziński

na pomysł stopniowego „odzyskania” całej własności ziemi przez państwo. Ma się to odbyć stopniowo, by wsi za bardzo nie drażnić. Na razie wstrzymano całkowicie sprzedaż ziemi przez Agencję Nieruchomości Rolnych, teoretycznie na 5 lat, a praktycznie „się zobaczy”, by nie kupowali jej Niemcy. Jak nikt nie może kupić, to Niemcy też. Taka intencja deklarowana jest jawnie i ma się nijak do faktów. Wykup ziemi przez rzekomych strasznych Niemców miał w skali kraju rozmiary znikome (kilku, kilkunastu km² rocznie) i w tym tempie trzeba by kilkudziesięciu tysięcy lat, by ci straszni Niemcy wykupili całą ziemię rolną w Polsce. Z analizy danych ministerstwa oraz GUS wynika, że mityczne „słupy”, czyli podstawione osoby – rzekomo przez Niemców – to głównie rodziny i spółki polskich rolników, którzy zgodnie z prawem nie mogli kupić więcej niż 300 hektarów, więc kupowali więcej na te „słupy”.

Wstrzymanie sprzedaży ziemi przez ANR już uderzyło w tych rolników, którzy wygrali przetargi, wzięli na nie kredyty, a teraz zostali z przysłowiową ręką w nocniku, bo zakupu nie będzie. Uderzyło też w kolejnych, którzy w perspektywie przyszłych inwestycji w grunty, zakupili maszyny lub/i postawili budynki. A także w tych – wcale nie bogatych – którzy chcieli dokupić ziemi, by zwiększyć rentowność swoich gospodarstw.

Co do pozostałych pomysłów PiS jest następujący: właściciel działki większej niż jeden hektar będzie pozbawiony prawa przekazania nieruchomości swoim spadkobiercom, o ile nie będą oni rolnikami, którzy sami uprawiają ziemię (to znaczy rolnikami z małych gospodarstw). Zamiast więc spadku lub darowizny na rzecz własnych dzieci, trzeba będzie odsprzedać ją ANR (która wyznaczy cenę), lub rolnikowi sąsiadowi, który nie tylko musi być sąsiadem, ale i sam musi ziemię uprawiać (czyli nie może jej mieć dużo). Oczywiście uderza to w prawo własności, ale PiS złamało już tyle praw obywatelskich, że jedno więcej „nie robi”. Sejm na sygnał sms-em w nocy uchwali, a Duda podpisze – co za problem?

Ten pomysł uderzy także w mieszczuchów, którzy kupili na wsi domy (zwyczajowo nazywanych na wsi „Warszawiakami”, nawet jeśli pochodzą z Poznania, czy z Krakowa). Ludzie ci przeważnie kupili nieco więcej niż hektar ziemi, by płacić podatki od nieruchomości według niższych stawek. Teraz ich dzieci nie będą mogły tych domów i gruntów odziedziczyć, bo rolnikami nie są.

Znam ten ból na własnej skórze. Kilka lat temu kupiliśmy z żoną dom na Mazurach. W tym celu sprzedałem mieszkanie w Warszawie odziedziczone po rodzicach, to samo zrobiła moja żona, a jeszcze do tego do dziś spłacamy część kredytów, co mocno obciąża nasze emerytury

(a mamy tylko emerytury i wcale nie bardzo wysokie). Teraz, wedle pomysłu PiS, po naszej, śmierci ma wszystko przejąć państwo. Fajne, co?

Ale to nie tylko nasz problem. W mojej wsi jest tylko dwóch rolników, którzy na szczęście zdążyli już przekazać gospodarstwa dzieciom. Są też inni „Warszawiacy”, których sytuacja jest podobna do naszej. I są też trzy nieruchomości, które chcą sprzedać miejscowi rolnicy wyprowadzeni do miasta i których to w takiej sytuacji raczej nikt nie kupi.

To są problemy i pomysły PiS, które opisała Joanna Solska. Większość ludności wiejskiej jeszcze o tym nie wie, bo nie czyta „Polityki” (i innych gazet też), a w telewizji ogląda głównie seriale. Obudzą się po fakcie, za rok, czy dwa. Wtedy zaczną się burzyć, ale do tej pory będzie już państwo policyjne, „ziobrowskie” prokuratury i sądy, będzie już gotowy „Berkut” i „tituszki” i „homo zomo” się znajdzie... i rządzący „dadzą radę”.

Ale są i inne pomysły, które wieś „uszcześliwią”. W mojej gminie Wydminy, podatek od handlu zadziała tak: podniosą ceny duże sklepy i sklepy sieciowe, a więc „Biedronka”, „Carrefour”, „Lewiatan”, „Delikatesy Centrum”, „JBB”, „Alkohole Świata”. Co zostanie? Trzy małe sklepiki spożywcze (które też pewnie podniosą ceny wobec osłabienia konkurencji). By zrobić więc dobrze trzem – wcale nie ubogim – właścicielom małych sklepów, dostanie po kieszeni 7000 mieszkańców gminy. To się nazywa „dobra zmiana”!

Ceny podniosą – by nie paść – także hurtownie budowlane, a wydatki na materiały i narzędzia są stałym punktem w budżetach mieszkańców wsi, nawet gdy już się pobudowali (to płót trzeba poprawić, to dach, to coś tam ciecze w stodole...). Hurtownie budowlane i tartaki, właścicie wie wszystkie, mają duży obrót, więc stawkę podatku od handlu będą miały wysoką.

Istotną częścią wydatków na wsi jest opał – drewno i węgiel. Oczywiście jedno i drugie zdrożeje. To duży problem. W mieście, mieszkanie w bloku wytraca ciepło tylko przez jedną ścianę zewnętrzną. Wolnostojący dom wiejski wytraca ciepło przez cztery ściany, podłogę i dach. Ogrzewanie w zimie to poważny koszt. W przypadku mojego domu to 5-6 tysięcy złotych rocznie. U innych podobnie – zależy od wielkości domu i od zimy. Tu, na wschodnich Mazurach, prawie Suwalszczyźnie, zimy bywają ciężkie. 20 stopni mrozu nikogo nie dziwi, a przeżyłem tu nawet raz 38 stopni w nocy. Ostatnie zimy były lekkie, ale metr śniegu tu też czasem występuje. Podatek od handlu przyniesie nam wzrost kosztów ogrzewania. O ile? Zobaczymy.

Czy nam się to podoba, czy nie, jednym z większych problemów polskiej wsi jest wysokie spożycie alkoholu. Oczywiście nie dotyczy to wszystkich, ale dotyczy wielu rodzin. Rząd chce mocno podnieść akcyzę na alkohol i papierosy. Jeszcze nigdy wzrost cen alkoholu nie spowodował spadku jego spożycia, raczej przyniósł rozkwit bimbrowni i przemytu. Dziś też tatusiowie nie odnotują raczej spadku spożycia wódki. Już szybciej dzieci odnotują spadek spożycia sera i kiełbasy.

Ale jest jeszcze jeden groźny pomysł PiS-u. Dotyczy służby zdrowia. Ma być zlikwidowany Narodowy Fundusz Zdrowia. Placówki służby zdrowia ma finansować budżet państwa, „ale nie prywatne, chyba że na własny koszt założą gabinet w szkole”, jak sprecyzował jeszcze przed wyborami Jarosław Kaczyński (było to cytowane w TVN24). Cóż, Sejm teraz głosuje nie według wiedzy i rozumu, tylko według sms-ów, więc pewnie i to przegłosuje. Na wsiach placówki służby zdrowia są głównie – niemal wyłącznie – prywatne. Wedle tego pomysłu Prezesa, mają one być wszystkie pełnopłatne. Co to znaczy? Na wsi niewielu ludzi stać na płacenie po 100zł za wizytę. Ok. 40% ludności wiejskiej to dziś emeryci i renciści. Są też wsie popegieierowskie, w których jest sporo biedy, choć w ostatnich latach wieś bardzo mocno poszła do przodu. W moim powiecie zostanie tylko jedna przychodnia – w Giżycku – i jeden szpital – w Giżycku – bo reszta wszystko prywatne, choć do tej pory leczono się „na fundusz” i pacjent bezpośrednio nie płacił. Żartuję, że mam blisko na Litwę, ale co zrobią ci spod Olsztyna czy spod Bydgoszczy?

Idzie na wsi „dobra zmiana”. Ubędzie Niemców w Polsce!... Przybędzie Polaków w Niemczech. „Znikną kolejki do lekarzy”... – razem z lekarzami. „Nie rzucim ziemi skąd nasz ród...” – sami nam zabiorą.

„Dobra zmiana”, „dobra zmiana”...

Rzygać się chce

[18 lutego 2016 r.]

Cała PiS-owska zgraja, wszelkie – już nie „publiczne” tylko kaczytowskie – media dostały ekscytacji i zapалу, wręcz euforii: u Kiszczaka znaleziono dokumenty – Wałęsa to „Bolek”! W programie pierwszym TVP wyświetlą film Grzegorza Brauna „TW Bolek”. Hura, hura, hura! A ja mam w dupie czy Wałęsa coś podpisał – **mnie się chce rzygać.**

To, co ta ekipa robi jest moralnie obrzydliwe. Ludzie, którzy na każdym kroku przywracają komunizm, tylko pod inną nazwą, opluwają najwartościowszych ludzi, największych polskich bohaterów, bredząc przy tym o „godności narodu polskiego”.

Gdy nie wiadomo, jak się zachować, trzeba zachować się przyzwoicie. Stąd mój apel do dziennikarzy, aktorów, filmowców, piosenkarzy i muzyków, celebrytów nawet:

KONIEC WSPÓŁPRACY Z WSZELKIMI KACZYSTOWSKIMI MEDIAMI.

Nie chodzimy do państwowej telewizji i radia, choćby nie wiem jak nas zapraszali, na żadne „Debaty”, „Świat się kręci” itp. Niech ten „świat” się kręci, ale bez nas. Niech „debatują” ale bez nas. Nie musicie udzielać wywiadów ich telewizjom, radiom, gazetom. Nie musicie grać w ich serialach. Nie jesteście aż tak biedni, żebyście musieli.

Niestety, wybory moralne kosztują. Zawsze tak było, ale zawsze przyzwoici ludzie z niektórymi postaciami nie rozmawiali, nie podawali ręki i nie wpuszczali do domu bez postanowienia o przeszukaniu i asysty policji. I tak trzymać!

Wyrzucenie z TVP Andrzeja Fidyka i zaproszenie Grzegorza Brauna jest dla mnie symbolem.

Pogratulować kaczystom współpracy z Kiszczakiem – nie tajnej, lecz jawnej.

Zrównanie chłopa z ziemią

[29 lutego 2016 r.]

W ramach „dobrej zmiany” rządzącym udało się wymyślić projekt ustawy naruszającej kilka elementarnych praw obywatelskich (własności, dziedziczenia, swobody: wyboru miejsca zamieszkania, wyboru zawodu, prowadzenia działalności gospodarczej, zrzeszania się w spółki i spółdzielnie, równości obywateli wobec prawa), kilka zasad Unii Europejskiej (prawa do wyboru kraju zamieszkania i prowadzenia działalności gospodarczej, zakazu dyskryminacji obywateli państw UE ze względu na kraj pochodzenia, prawa do działalności zagranicznych przedsiębiorstw na terenie całej strefy Schengen). **Jednocześnie w tym bublu prawnym zapisano pośrednio, że jedna z branż polskiej gospodarki – rolnictwo – ma być ustawowo biedna i zacofana.**

Jednym słowem stworzono projekt ustawy dotyczący polskiej wsi skrojony według mitów i lęków prawicowych nieuków, oparty na całkowicie fałszywej diagnozie rzekomych zagrożeń i mający się do rzeczywistości polskiej wsi jak piernik do wiatraka.

23 lutego rząd przyjął projekt ustawy dotyczącej obrotu ziemią na terenach wiejskich. Teoretycznie mowa jest o „ziemi rolnej”, ale pamiętajmy, iż instytucje państwa – w tym Agencja Nieruchomości Rolnych Skarbu Państwa oraz administracja gminna – traktują wszelkie nieruchomości na terenach wiejskich, tam gdzie nie ma uchwalonego planu zagospodarowania przestrzennego (czyli prawie wszędzie), jako grunty rolne. Nawet działki oznaczone geodezyjnie jako „budowlane” są traktowane przez te instytucje jako „zabudowa na gruntach rolnych”. **W prak-**

tyce przepisy te będą dotyczyły więc wszystkich nieruchomości prywatnych na terenach wiejskich.

Ponieważ jest to jeszcze projekt i kształt ostateczny, który wyjdzie z Sejmu, może być nieco inny oraz ponieważ nigdzie nie jest obecnie dostępny tekst jednolity po zmianach tych zmienianych ustaw (jest to projekt ustawy „o zmianach niektórych ustaw”), odpuszczę sobie na tym etapie precyzyjne omawianie poszczególnych artykułów projektu. Istotniejsze jest to, co nie jest literalnie napisane, a także to, co jest w nim przemilczane, a co w konsekwencji z tych zmian wynika.

Posłużę się omówieniem skutków tych zmian w ocenie Forum Obywatelskiego Rozwoju:

W związku z końcem zakazu wykupu ziemi rolniczej przez obcokrajowców 1 maja tego roku, politycy chcą zamrozić obrót ziemią rolniczą w ogóle.(...) [według:] nowelizacji ustawy o kształtowaniu ustroju rolnego autorstwa PSL(...) uchwalonej niemal jednogłośnie przez Sejm poprzedniej kadencji (PO, PiS, PSL, SLD, przeciw głosowało tylko 2 posłów niezrzeszonych) i podpisanej przez prezydenta Andrzeja Dudę w grudniu:

- *Nabywcy ziemi będą ją musieli osobiście uprawiać i od 5 lat posiadać meldunek w gminie lub gminie sąsiedniej;*
- *Nabywcy nie będą mogli posiadać gruntów o łącznej powierzchni powyżej 300 ha;*
- *10-letni zakaz odsprzedaży ziemi zakupionej od skarbu państwa;*
- *Konieczność uzyskania zgody na sprzedaż, zamianę lub darowiznę nieruchomości rolnej od terenowego oddziału Agencji Nieruchomości Rolnych.*

23 lutego rząd przyjął projekt ustawy dodatkowo zaostrzającej te ograniczenia:

- *Nabywcami nieruchomości rolnych będą mogli być jedynie rolnicy indywidualni, a więc posiadający kwalifikacje rolnicze, gospodarstwo o powierzchni do 300ha i zamieszkali w danej gminie od co najmniej 5 lat;*
- *Skarb państwa zawiesi sprzedaż własności rolnej na okres 5 lat, a ziemia rolna Agencji Nieruchomości Rolnych będzie mogła być jedynie dzierżawiona przez rolników;*
- *Nabyta nieruchomość rolna nie będzie mogła być sprzedana przez 10 lat oraz **konieczne będzie osobiste prowadzenie gospodarstwa rolnego.***

Dodać należy jeszcze, że ustawa zakazuje całkowicie sprzedaży ziemi przez Agencję Nieruchomości Rolnych Skarbu Państwa przez 5 lat,

ale z kształtu i uzasadnienia tego zapisu wyziera ledwo skrywany zamiar ustanowienia tej zasady na zawsze. Uzasadnienie, jakie czytamy na stronie Rządowego Centrum Legislacyjnego, jest następujące:

Według nowych przepisów, państwowa ziemia rolna będzie pozostawać w dyspozycji Agencji Nieruchomości Rolnych, a podstawowym sposobem jej zagospodarowania będą korzystne dla rolników trwałe dzierżawy. Wzmocnienie ochrony ziemi rolniczej przed spekulacyjnym wykupem przez podmioty krajowe i zagraniczne (osoby fizyczne i prawne)(...) to najważniejsze cele projektowanej ustawy.

A więc wszystko jasne. Chodzi o to, by państwowej ziemi nie mógł kupić nikt, a bredzenie o „spekulacyjnym wykupie” to po prostu projekcja konserwatywnego pomysłu, że ziemia ma być zawsze państwowa, bo „nie rzucim ziemi skąd nasz ród”, nie będzie jej miał Niemiec, Żyd, spekulant i *gender*. Chłop ma w pocie czoła chodzić sam za pługiem, paść jedną krowę patykiem, chodzić do kościółka, a żadne mieszczychy i *inteligenty* na wsi nam nie podskoczą. W mentalności tych panów i pań, którzy te projekty pisali, ciągle widnieje słomiana strzecha, chłop Ślimak, Drzymała z wozem, „Janko Muzykant” i „Nasza Szkapą”. Nie zauważyli, że dziś większość ludności wiejskiej mieszka w domach krytych blachodachówką, jeździ samochodami – i to wcale nie najgorszych marek – a na polach pracują ciągniki, a nie szkapę. Nie zauważyli też, że dziś większość ludności wiejskiej to nie rolnicy, lecz: emeryci i renciści, ludzie mieszkający na wsi a pracujący w mieście oraz uprawiający na wsi zawody pozarolnicze (budowlanka, warsztaty, tartaki, sklepy itd.). Tym wszystkim ludziom będzie można zabrać nieruchomości (w praktyce cały majątek, nieraz dorobek pokoleń), bo nie są rolnikami (a swoją drogą to rolnikom też będzie można zabrać...).

Na stronie internetowej Rządowego Centrum Legislacyjnego czytamy:

Zasadniczo nabywcami nieruchomości rolnych będą mogli być tylko rolnicy indywidualni. Wyjątki od tej normy mają dotyczyć nabywania ziemi przez osoby bliskie sprzedającemu, jednostki samorządu terytorialnego oraz Skarb Państwa. W przypadku innych podmiotów sprzedaż ziemi musi zostać potwierdzona zgodą wydaną przez prezesa Agencji Nieruchomości Rolnych. Przyjęte zasady obrotu nieruchomościami nie

będą dotyczyć nabywania ziemi w wyniku dziedziczenia, orzeczenia sądu lub organu egzekucyjnego.

Nabywanie nieruchomości będzie trwale połączone z wymogiem osobistego prowadzenia gospodarstwa rolnego oraz zakazem zbywania i wydzierżawiania zakupionej ziemi przez 10 lat. Tylko w przypadkach losowych zgodę na sprzedaż ziemi przed upływem tego terminu będzie mógł wydać sąd.

Doprecyzowano definicję rolnika indywidualnego, uściślając, że warunek osobistej pracy w gospodarstwie będzie spełniony między innymi wtedy, gdy osoba podlega ubezpieczeniu społecznemu rolników w pełnym zakresie, chyba że prowadzone przez nią gospodarstwo nie przekracza 20 ha użytków rolnych.

I dalej:

*(...)ma [być] rozszerzona (w stosunku do dotychczasowego zakresu) kontrola obrotu nieruchomościami rolnymi prowadzona przez Agencję Nieruchomości Rolnych. **W ramach pierwokupu oraz tzw. prawa nabycia ANR będzie mogła kontrolować nabycie każdej nieruchomości rolnej, a nie jak obecnie, tylko większej niż 5 ha.** Uprawnienia te nie będą jej jednak przysługiwać, gdy nabywcą będzie osoba bliska zbywcy.*

Ostatnie zdanie można między bajki włożyć, bo z innych zapisów wynika, że także „osobie bliskiej zbywcy” (w wyniku spadku, darowizny, itd.) będzie można zabrać nieruchomość przy kolejnym dowolnym przekształceniu własnościowym. W praktyce: syn wieśniaka może odziedziczyć bez prawa pierwokupu przez ANR, ale jeśli będzie chciał później nieruchomość lub jej część sprzedać, podarować, ustanowić współwłasność, to prawo pierwokupu przez ANR będzie. Nie kijem go, to pałką.

Do tego projektu odniósł się krytycznie także Rzecznik Praw Obywatelskich.

Największe zastrzeżenia RPO budzą przepisy zakładające, że:
 – *Nabywcą nieruchomości rolnej (z niewielkimi wyjątkami) mogłby być wyłącznie rolnik indywidualny. Osoba fizyczna, która chciałaby dopiero rozpocząć działalność rolniczą, musiałaby dostać zgodę Prezesa Agencji Nieruchomości Rolnych i spełnić szereg warunków określonych w projektowa-*

nej ustawie. To samo dotyczyłoby osób prawnych, które już prowadzą lub zamierzają podjąć działalność rolniczą.

– Zgoda Prezesa ANR na nabycie nieruchomości rolnych przez inne osoby niż rolnika indywidualnego (ale także – wąsko zdefiniowanej – osoby bliskiej zbywcy, jednostki samorządu terytorialnego i Skarbu Państwa) byłaby właściwie uznaniowa. Głównym powodem takiego stanu byłaby nieostrość proponowanych w ustawie kryteriów. Chodzi np. o wskazanie, że taka nieruchomość nie mogła zostać nabyta przez rolnika indywidualnego.

– W każdym przypadku, gdy tylko dochodzić będzie do zmiany właściciela nieruchomości na innych zasadach niż umowa sprzedaży, Agencja Nieruchomości Rolnych byłaby uprawniona do złożenia oświadczenia o nabyciu takiej nieruchomości za odpowiednią zapłatą. **Można by to było traktować jako możliwość wywłaszczenia wszystkich nieruchomości na rzecz Skarbu Państwa bez wskazania ustawowych przesłanek uzasadniających takie działanie.** Do takiej sytuacji dochodziłoby np. gdy zostanie zniesiona współwłasność nieruchomości, lub gdy zostanie ona nabyta na podstawie decyzji administracyjnej.

– Nabywca nieruchomości rolnej zobowiązany byłby prowadzić gospodarstwo rolne, w skład którego weszła zakupiona nieruchomość przez okres co najmniej 10 lat. Ponadto, osoba fizyczna musiałaby prowadzić takie gospodarstwo osobiście. W innym wypadku sąd stwierdziłby nabycie nieruchomości przez ANR. Rzecznik zauważa, **że powstaje bardzo poważna wątpliwość, czy możliwość wywłaszczenia każdej nieruchomości rolnej na rzecz Skarbu Państwa przy wykorzystaniu m.in. instytucji tzw. wykupu tylko dlatego, że w drodze dziedziczenia została nabyta przez osobę, która nie jest rolnikiem indywidualnym, nie naruszałaby istoty prawa do dziedziczenia.**

W stanowisku RPO podkreśla też, że zgodnie z Konstytucją RP wywłaszczenie może nastąpić tylko na cel publiczny. Projektodawcy nie wyjaśniają jednak, jaki cel publiczny ma być realizowany w związku z nabyciem prywatnych nieruchomości rolnych przez Agencję Nieruchomości Rolnych.

Ponadto projektowane przepisy wprowadzałyby szereg odstępstw od swobodnego wyboru kontrahenta i niejako zmuszałyby do wieloletniego korzystania z nabytej nieruchomości w ściśle określony sposób, pod rygorem możliwości swoistego jej wywłaszczenia.

Zdaniem RPO te wszystkie argumenty wskazują, że istnieje ryzyko zbyt głębokiej ingerencji ustawodawcy w prawa właścicieli i ewentualnych nabywców nieruchomości rolnych.

Projektowane rozwiązania miałyby zastosowanie do ogromnej liczby nieruchomości i bezpośrednio dotyczyłyby praw i wolności setek tysięcy obywateli.

Podsumujmy:

– Istnieje tu zakamuflowany mechanizm-pułapka, prowadzący do przejęcia po kilku, lub kilkunastu, latach niemal stu procent nieruchomości prywatnych na wsi przez państwo. Jeżeli sprzedać nieruchomość można tylko rolnikowi indywidualnemu (i to nie każdemu – musi być sąsiadem, musi chcieć, mieć uprawnienia i mieć pieniądze), lub ANR, to w wielu przypadkach jedyną możliwością będzie tylko sprzedaż na rzecz ANR (czyli państwu) i po cenie ustalonej przez ANR. Z każdą transakcją sprzedania ziemi przez rolnika Agencji Nieruchomości Rolnych, będzie ubywać rolników mogących być potencjalnymi kupcami, a więc będzie wzrastać liczba takich sytuacji, w których jedynym możliwym nabywcą będzie ANR. Po pewnym czasie, szansa sprzedania nieruchomości innemu nabywcy niż ANR będzie się zbliżać do zera. Tym bardziej, że nikt nowy, kto rolnikiem nie był, nie może nim zostać, bo by kupić ziemię musi być rolnikiem od 5 lat i to w tej samej gminie, a skoro nie miał ziemi, to nie mógł być rolnikiem od 5 lat.

Projekt rażąco narusza prawa obywatelskie i unijne.

- **Dyskryminacja ze względu na miejsce zamieszkania.** Mieszkaniec miasta może sprzedać, podarować, przekazać w spadku, swoją nieruchomość komu tylko chce, może ją użytkować jak tylko chce, może wykonywać zawód jaki chce itp. Mieszkaniec wsi ma tu ograniczone prawa.
- **Naruszenie prawa własności.** Prawo własności jest ograniczone przez brak swobody dysponowania własną nieruchomością – nie tylko w przypadku jej zbywania, ale także poprzez obowiązkowy sposób jej użytkowania (uprawa roli i nic więcej).
- **Naruszenia prawa do dziedziczenia.** Ścisłe określone ustawowo grono ew. spadkobierców (tylko „osoby bliskie”). Nie można zapisać nieruchomości np. fundacji Owsiaaka, znajomemu...
- **Naruszenie prawa do swobody wyboru miejsca zamieszkania.** Jeśli mieszczuch nie może kupić działki na wsi, a wieśniak nie

może przeprowadzić się do miasta lub innej gminy, bo mu zabiorą dom i ziemię, to prawo wyboru jest fikcją.

- **Naruszenie prawa do swobody wyboru zawodu.** Rolnik ma być rolnikiem i już. Jak będzie chciał zostać kowalem lub stolarzem to zabiorą mu majątek. Co gorsza, można mu zabrać majątek jak przestanie być rolnikiem, bo pójdzie na rentę lub emeryturę. A co z osobami o dwóch zawodach – rolniczym i nierolniczym? Co z chłoporobotnikiem, który ma emeryturę z ZUS, a nie z KRUS?
- **Naruszenie prawa do prowadzenia działalności gospodarczej.** Mieszkaniec wsi nie może na swojej działce prowadzić innego gospodarstwa niż rolne.
- **Naruszenie prawa do tworzenia spółdzielni i spółek.** Skoro właścicielem ziemi ma być tylko „rolnik indywidualny”, to rolnicy nie mogą zorganizować się w spółdzielnię, spółkę prawa handlowego, spółkę z o. o. itd. Nie mogą nawet uprawiać ziemi „nie indywidualnie”, nie mogą działać jak firma zatrudniająca pracowników.
- **Dyskryminacja majątkowa.** Rolnikowi praktycznie nie wolno się wzbogacić, bo ma limit własności ziemi (300 h) i ma pracować „osobiście”. Ma być biedny i już.
- **Dyskryminacja technologiczna.** Ustawa praktycznie uniemożliwia istnienie farm przemysłowych i przemysłowej uprawy (zautomatyzowane szklarnie itp.).

Powstaje dość osobliwa sytuacja na styku z innymi krajami UE. Polak może bez problemu kupować ziemię w innych krajach, a obywatele tych krajów w Polsce nie. Podobnie polskie firmy mogą swobodnie działać w całej Unii, firmy z innych krajów Unii mogą działać w Polsce tylko w mieście. Polska po prostu traktuje Unię jako niewyczerpany bankomat, któremu przy okazji można pokazać środkowy palec.

Zupełnym kuriozum jest ustawowe zapisanie takich rozwiązań, z których jednoznacznie wynika, że polskie rolnictwo ma być biedne i zacofane. Gospodarstwa mają być małe – bo o „indywidualnej uprawie” większego areалу nie ma mowy – a więc i biedne. Wszystko co nowoczesne praktycznie jest zakazane.

W ekspertyzie FOR czytamy:

Dane Eurostatu wskazują, że w latach 2000-2013 rolnictwo było węższymi sektorem o najszybciej rosnącej produktywności w Polsce

(wg danych Eurostatu). W latach 2005-2013 średnia powierzchnia gospodarstwa rolnego wzrosła o 69%.

W 2013 roku gospodarstwa rolne o powierzchni ponad 100 ha zatrudniały 3% pracujących w rolnictwie, wytwarzając jednocześnie 16% wartości produkcji rolnej. Dalsza konsolidacja gospodarstw rolnych jest niestety hamowana przez państwowe subsydia. **Rocznie rolnictwo otrzymuje ok. 40 mld zł w dotacjach do emerytury z KRUS, środkach UE i preferencjach podatkowych [zob. raport FOR „Następne 25 lat”]. To kwota równa prawie całej wartości dodanej rolnictwa, która wg Eurostatu wyniosła w 2014 roku 45 mld zł.** Teraz politycy chcą całkowicie uniemożliwić dalszą konsolidację, bo taki będzie efekt *de facto* zamrożenia obrotu ziemią rolniczą.

Rząd i jego propaganda brutalnie okłamują mieszkańców wsi twierdząc, że ta ustawa ma służyć „ochronie ziemi rolnej”.

Zatrzymanie niekorzystnego trendu w strukturze agrarnej oraz poprawa sytuacji ekonomicznej polskich rolników – to najważniejsze cele projektowanej ustawy. Realna ochrona polskiej ziemi przed niekontrolowanym wykupem była jednym z najważniejszych zobowiązań złożonych przez premier Beatę Szydło w exposé (...),

pisze w uzasadnieniu Rządowe Centrum Legislacyjne. To jest argumentacja w stylu: „spalę ci dom, żeby nikt ci go nie okradł”. No fakt, jak się wszystkim ziemię zabierze, to nie będzie „niekontrolowanego wykupu”, bo nie będzie czego kupować.

A dalej czytamy:

Jednym z powodów wprowadzenia nowych regulacji jest fakt, że 1 maja 2016 r. przestaje obowiązywać 12-letni okres ochronny na zakup ziemi rolnej przez cudzoziemców i istnieje prawdopodobieństwo, że zainteresowanie jej nabyciem przez osoby z krajów Unii Europejskiej znacząco wzrośnie.

A więc straszenie Niemcem co to „dybie na polską ziemię”. Dziwnym trafem w Czechach i na Litwie od dawna nie ma ograniczeń w nabywaniu ziemi przez cudzoziemców i jakoś nikt ich nie „wykupił”. A więc

Polaku, jak rząd cię puści z torbami, to Niemiec cię nie wykupi. To się nazywa leczenie migreny amputacją.

I jeszcze ciekawostka:

W przypadku innych podmiotów [niż rolnik indywidualny] sprzedaż ziemi musi zostać potwierdzona zgodą wydaną przez prezesa Agencji Nieruchomości Rolnych.

Proponuję przy każdym prezecie od razu postawić agenta CBA, a za nim drugiego, by pilnował, czy ten pierwszy też nie bierze.

Pod buraki!

[14 marca 2016 r.]

Motto:

*O ty małorolny
Prosty i oddolny.
Nie siejesz, nie orzesz,
A odstawiasz zboże!
Sławomir Mrozek*

Gdy zastanawiamy się, skąd się lęgną niektóre pomysły nieszczęśliwie nam rządzących, mówimy o cynizmie, złej woli, spisku, ale najczęściej nie przychodzi nam do głowy rozwiązanie najprostsze: **z głupoty**.

Pisałem już o projekcie (który właśnie jest w Sejmie) nowej ustawy o ziemi rolnej. Myślę, że u źródeł tego projektu leży najwyżej 2% złej woli a 98% głupoty. Zła wola jest oczywista i jawnie deklarowana: aby Niemcy, cudzoziemcy i mieszcuchy ziemi nie kupowały... Wszystko jasne, dalej to już **czysta niekompetencja i głupota**.

Pomyśl, żeby na wsi mieszkali i gospodarowali wyłącznie rolnicy, wyłącznie polscy i wyłącznie małorolni (o! przepraszam: „indywidualni”) jest tak głupi, że aż nie chce się wierzyć. Kiedyś było powiedzenie, iż coś jest „tak głupie, że ustawa tego nie przewiduje”, a tu, patrzcie Państwo: przewiduje! Wyobraźmy sobie **wieś z wizji Kaczyńskiego: mieszkają tylko rolnicy, i to tylko biedni**. To jest wieś, na której nie ma sklepów, warsztatów, przychodni zdrowia, szkół... Nie ma, bo zgodnie z tym projektem ustawy nauczyciel, lekarz, geodeta, mechanik,

sklepiarz i inny „nie rolnik” nie może kupić działki i się pobudować. To znaczy, że na wieś pracować nie przyjdzie, bo nie ma gdzie mieszkać. Proste jak konstrukcja cepa, ale chyba dla kogoś i ta konstrukcja jest zbyt skomplikowana.

Jakim trzeba być matosem i nieukiem, by nie rozumieć, że wieś na której mieszkają tylko przedstawiciele jednego zawodu nie może funkcjonować. Nie da się na niej żyć. Nigdy w historii środowisko wiejskie nie składało się wyłącznie z rolników. Zawsze był jeszcze kowal, cieśla, agronom, kupiec, karczmarz, ksiądz... A teraz nawet ksiądz nie bardzo będzie miał gdzie zamieszkać; no chyba, że bezpośrednio przy kościele.

A więc wieś małorolnych, prostych i oddolnych, patriotycznych, nie uznających *gender* i głosujących na PiS ma się nie uczyć, nie leczyć, nie robić zakupów, nie naprawiać maszyn, nie chodzić do knajpy. No właśnie, panie Kaczyński: wieś sporo wytrzyma, drewno na opał będzie kradła z lasu (skoro nie może go kupić), leczyć się będzie u znachorów, jakoś tam się wyżywi, ale co będzie jak pan zlikwiduje knajpy!? No to może być ostro! Oczywiście, można pędzić (i nie myślę tu o bieganiu), ale skąd brać butelki, gdy nie będzie sklepu? Poczta się nie zamówi, bo listonosz też na wsi nie będzie miał gdzie mieszkać. *Wot i problem.*

I oczywiście ma być ideologicznie słusznie: wygonić ze wsi wszystkich „miastowych”. Do miasta – sio!

Jest tylko jeden problem. Wokół wszystkich dużych miast, jak np. wokół Warszawy, w tych wszystkich Michałowicach, Książenicach, Opaczach, czy Czosnowach, mieszkają setki tysięcy ludzi pracujących w miastach. W skali kraju jest to parę milionów ludzi, kolejne kilka milionów to mieszkańcy wsi, wykonujący zawody pozarolnicze; kolejne parę milionów to emeryci. Tak się składa, że na polskiej wsi obecnie najmniej jest stuprocentowych rolników, to znaczy takich, którzy nie wykonują równoległe jeszcze innego zawodu. Rolnictwo wytwarza tylko ok. 4% PKB. A przecież jeszcze na wsi sporo polskich obywateli ma działki rekreacyjne, domy sezonowe. To ma wszystko iść pod buraki? Teoretycznie może i tak, ale ten kolejny chyba milion ludzi w zachwyt nie wpadnie.

No i skoro ziemia ma być wyłącznie rolna, to koniec z agroturystyką, stokami narciarskimi w górach, przystaniami na Mazurach. Pod buraki! Taki rozkaz! Cała Gubałówka, Bukowina, Białka – pod buraki.

ROZKAZ TO ROZKAZ.

A jak się ucieszą deweloperzy, którzy pobudowali całe osiedla domków na sprzedaż? Sprzedać przecież mogą – rolnikom! A ci górale, co

postawiali pensjonaty w swoich Poroninach i Jaszczurówkach – pod buraki? Na pewno się zachwycą i pokochają Prezesa.

Ale to nie koniec „dobrej zmiany”, choć inna ustawa. Wymyślono (o ile ten proces można nazwać „myśleniem”), że **przeglądy techniczne traktorów i maszyn rolniczych muszą być robione tylko w okręgowych stacjach kontroli pojazdów. Wyobraźmy sobie, jak to rolnik jedzie kombajnem 50 kilometrów na przegląd.** A jaką radochę będą mieli na wąskich wiejskich drogach kierowcy? Nudzić się na pewno nie będą.

I pomysł kolejny: elektrownie wiatrowe muszą być bardzo daleko od zabudowań; tak daleko, że takich miejsc w Polsce prawie nie ma. Dlaczego? „Bo stawiamy na geotermię”. No i te wiatraki szumią – ponoć strasznie. Poszedłem pod pobliskie wiatraki... są trzy, po 110 metrów wysokości każdy. Niemałe. Słucham i słucham... Ogłuchłem, czy co? Nic nie szumi. No ale wieść gminno-pisowska głosi, że **wiatraki to sieją raka (podobno mózgu), aborcję i gender.** Gendera wykrywać nie umiem – może sieją...

Gdy w czasach komuny snułem teorie, co też wymyślą rządzący, mój ojciec mawiał: „Twoje rozumowanie jest błędne, bo jest logiczne”. **I to jest klucz do koncepcji Prezesa. Robimy wszyscy błąd, analizując problem tak, jakby ten facet myślał racjonalnie.**

Właściciel państwa rzekł

[21 marca 2016 r.]

Kilka dni temu, w wywiadzie dla „Rzeczpospolitej”, objawił się nam Właściciel Państwa i rzekł: wyrok Trybunału Konstytucyjnego nie może być opublikowany, a wszystkie kolejne wyroki nie będą respektowane przez Właściciela Państwa i będących jego własnością Prezydenta, Premiera i ministrów.

Jest to ze strony Właściciela Państwa jawna deklaracja zamachu stanu i ustanowienia dyktatury. Właściciel Państwa powinien za to stanąć przed sądem z artykułu k.k. mówiącego o obalaniu ustroju państwa oraz z artykułów o kierowaniu spiskiem (grupą przestępczą) i o nakłanianiu do przestępstwa innych osób. Powinien, ale nie stanie, bo jest już właścicielem nie tylko wyżej wymienionych, ale i całej administracji państwowej, prokuratury, policji i wojska, a także licznych spółek skarbu państwa i państwowych mediów. Właściciela Państwa nie ma kto przed sądem postawić.

Właściciel Państwa ma jeszcze parę problemów do rozwiązania. Zapowiedział nawet spec-ustawę wobec tych, którzy będą przestrzegać prawa, a nie woli Właściciela Państwa. Ubolewa też, że jeszcze nie jest właścicielem całego społeczeństwa, a tylko jakiś 30 procent, a co gorsza, ta własność społeczna mu powoli, ale systematycznie maleje.

Właściciel Państwa chce temu zaradzić i dlatego jego własny minister tworzy „obronę terytorialną”. Ciekawe po co? W starciu z regularną armią taka formacja może tylko zasilić szeregi poległych i nic więcej, ale może mieć inny sens – coś jak ORMÓ, które wobec przestępców dawało nogę, ale za to biło studentów i literatów.

Właściciel Państwa może mieć jednak większy problem. **Gdy już znajdziemy się na wylocie z UE, a jeszcze szybciej wylecimy z NATO, może go odwiedzić na czołgu Właściciel Większego Państwa z sąsiedztwa i nikt Właścicielowi Państwa nie przyjdzie z pomocą.**

Na pociechę, jego własny prezydent ogłosił, iż senatorowie z USA nie interesują się tym, co Właściciel Państwa wyprawia, „bo w USA jest podobny problem”. Czyżby tam też pojawił się jakiś Właściciel Państwa?

Fama o tym nie głosi, ale jak mawiał pewien klasyk czyli major K.: „powiedzcie Famie, że kłamie”.

Kaczka trojańska i pełne pampersy Prezesa

[9 kwietnia 2016 r.]

W wywiadzie dla „Wprost” (15 stycznia 2007 r.), Jarosław Kaczyński powiedział:

Chciałem rządzić już gdy miałem 12 lat. Premierem zamierzałem zostać gdy miałem lat 34, a skończyć rząd mając lat 91. To byłby rok 2040. To jeszcze strasznie dużo czasu.

Szkoda, że nikt wówczas nie potraktował tej wypowiedzi na serio, bo wynika ona wprost z osobowości jej autora i jest kluczem do zrozumienia tego, co dzieje się dziś.

Kaczyński miał 12 lat w roku 1961, za Gomułki, którego władzy wówczas nic nie zagrażało. Lat 34 – gdy zapragnął być premierem – miał w roku 1983, gdy Jaruzelski dopiero co zamienił stan wojenny w „stan wisielczy” (stan „zawieszenia stanu wojennego”).

Do roku 2040 mamy jeszcze 24 lata.

Co z tego wszystkiego wynika? Jeśli uznać to za zwykłą megalomanię zakompleksionego frustrata, to nic. Ale jeśli potraktować to jako deklarację życiowego celu, zobaczymy osobnika, który wcale nie kieruje się realizacją jakiejś idei politycznej, tylko **czystym dążeniem do władzy**; do władzy obojętnie jakiej, byle pełnej, nieograniczonej i zdobytej dowolnym – byle skutecznym – sposobem. Do władzy, która ma być rekompensatą za wszystkie jego życiowe upokorzenia, brak akceptacji przez rówieśników, za dziewczyny, które go nie chciały, za włątką kondycję fizyczną i lata chowania się za spódnicą mamusi.

Ale władza to jeszcze nie wszystko – musi być podziw, kult, uwielbienie tłumów, niemal boski blask.

Pomyślmy, czym chciał rządzić w 1961 roku? Czego chciał być premierem w 1983 roku? Przecież nie wolnej Polski, bo jej wówczas nie było. A więc po prostu chciał rządzić, mieć władzę dla władzy – obojętne nad czym.

Wróćmy do tego, co teraz. Zdobył władzę. W krótkim czasie niemalże zbudował dyktaturę; jeszcze krok, a mógłby ogłosić się kim chciał – królem, zbawcą, sułtanem, premierem tysiąclecia... A tu klops. Pojawił się opór, i to opór znaczny, wewnętrzny i zewnętrzny. Tego się nie spodziewał, tego nie miało być. A szczęście było już tak blisko...

Jeśli spojrzymy na rzeczy z tej perspektywy, to zrozumiemy, że nie może być żadnego „kompromisu”, żadnych „negocjacji”. Zresztą na czym miałyby ten „kompromis” polegać? Prawo ma być przestrzegane w dni parzyste, a w nieparzyste nie? A może do południa tak, a po południu inaczej? Wszyscy wiemy, że żaden kompromis nie jest tu możliwy.

Kaczyński otwarcie mówi, że jeśli prawo mu przeszkadza, to prawo nie obowiązuje. Zapisano to nawet w ustawie o prokuraturze: prokurator może popełniać przestępstwa, o ile działa „w interesie społecznym”. Tylko jak Kaczyński i PiS rozumieją „interes społeczny”? Dokładnie jako prywatny interes Kaczyńskiego w jego dążeniu do świetlanej dyktatury. Bo przecież on, „premier tysiąclecia”, „zbawiciel”, „geniusz”, itp. sam jest emanacją interesów, dążeń i pragnień całego społeczeństwa.

A ci, którzy tego nie uznają, to „zaprzedani ludzie”, „mający gen zdrady”, „gorszy sort”, „element animalny”, „łże-elity”, „lumpeninteligenci”, „komuniści i złodzieje”...

Gdyby rządził człowiek o innej osobowości, napotkawszy tak silny opór zrezygnowałby z części planów, zrobił krok do tyłu i zadowoliłby się rządzeniem spokojnie przez kolejne lata, a później bezpieczną i nie-małą emeryturą. **Ale nie ten człowiek.**

On zdaje się nie widzieć żadnych innych metod realizacji celu, jak knucie, spiskowanie, kłamstwa i obelgi. A te wszystkie coraz brutalniejsze obelgi, ta wściekła agresja, to po prostu objaw frustracji i strachu. Przecież wiemy już z kolejnych epizodów, jak myśli Jarosław Kaczyński, gdy napotyka problem. Myśli, jak problem rozwiązać? Nie, myśli jak oszukać tym razem. Czy schować się, czy deklarować zrozumienie dla lewicy, czy zaprosić opozycję na „rozmowy”, z których nic nie wynika.

To całe zaproszenie opozycji parlamentarnej (ale **nie KOD-u, czyli opozycji rzeczywistej**) do rozmów, to tylko wybieg, to właśnie jest

„kaczka trojańska”. Te rozmowy nic nie dały, niczego nie ustalono, ale dzięki nim można twierdzić wobec UE i USA, że „trwają negocjacje”, choć nic nie trwa, i „szukamy rozwiązania politycznego”, to znaczy metody wykiwania przeciwnika.

Jarosław Kaczyński postawił wszystko na jedną kartę. Doskonale wie, że gdyby obecnie ustąpił, zaczął uznawać wyroki Trybunału Konstytucyjnego, to przegrałby całkowicie. On zabrnął w ślepy zaułek i wie o tym. Stąd paniczny strach i wściekła agresja. No bo przecież za chwilę poległyby wszystkie fundamenty dyktatury, którą już niemal zbudował, tylko jeszcze nie ogłosił: ustawa o prokuraturze, policji, służbie cywilnej, mediach...

Oczywiście mógłby wtedy spokojnie rządzić przez kolejne lata i wysocze prawdopodobnie, że nie poniósłby żadnej odpowiedzialności za to, co zrobił wcześniej. Ale to byłoby dla niego rezygnacją z domniemania boskości i świetlanego blasku, z celu całego życia.

Wie też, że **jeśli będzie brnął dalej i przegra, to jego klęska będzie totalna**, tak jak totalne jest jego marzenie; wie, że w przeciwieństwie do Janukowycza nie będzie miał dokąd uciec, bo wrogów sobie narobił wszędzie.

I wie, że za plecami ma cień, który sam stworzył: Zbigniewa Ziobro, oberprokuratora, posiadającego ogromną władzę – władzę tak wielką, że gdy szef osłabnie, może go jednym ruchem zrzucić z tronu, a nawet aresztować. Prezes ma ze wszystkich stron ściany: KOD, Unię Europejską i USA, Trybunał Konstytucyjny i Ziobrę czekającego na jego błąd lub zachwianie poparcia we własnej partii.

Władca osaczony może być bardzo niebezpieczny. Może sięgnąć po przemoc. A wtedy sytuacja będzie zero-jedynkowa: albo wygra, ustanowi terror i dyktaturę, albo przegra i będzie musiał uciekać. Tylko dokąd?

Polska w tej chwili znajduje się w bardzo groźnym momencie. Gdyby Kaczyński miał pewność, że policja i wojsko wykonają rozkaz strzelania do tłumu, to krew już by się lała. Ale on nie jest tego pewien. Co zdecyduje, nie wiadomo. Wycofanie się jest w jego wykonaniu mało prawdopodobne, a skutki konfrontacji siłowej są nieobliczalne. **Decydując się na nią ryzykuje wszystko, nawet życie – także nasze.** Niestety, nie mamy żadnego wpływu na tę decyzję, ale musimy być świadomi, że takie niebezpieczeństwo istnieje.

Moim zdaniem, jeśli Prezes zdecyduje się na użycie przemocy, to spowoduje olbrzymi wybuch społeczny, który już trudno będzie kontrolować. Moim zdaniem przegra, ale to co zrobi nie zależy już od mojego zdania...

Rekord świata bubla prawnego

[28 kwietnia 2016 r.]

[Autor omawia nie tylko te skutki wadliwej ustawy rolnej, które opisała już prasa, ale i te, trudne do zauważenia dla mieszczuchów, nie znających różnych kontekstów do realiów życia na wsi]

Uchwalona przez Sejm i podpisana przez prezydenta ustawa regulująca rynek gruntów rolnych, przypomina skutki działania lekarza, który postawił zdrowemu błędną diagnozę w oparciu o mity i zabobony, wmówił mu nieistniejącą chorobę, po czym zaaplikował lekarstwo mogące go otruć, owej choroby nieleczące niemal wcale, a w dodatku wywołujące parę innych.

„Ustawa z dnia 14 kwietnia 2016 r. o wstrzymaniu sprzedaży nieruchomości Zasobu Własności Rolnej Skarbu Państwa oraz o zmianie niektórych ustaw”, narusza kilka istotnych praw obywatelskich, jak:

- prawo własności;
 - prawo dziedziczenia;
 - prawo do wyboru zawodu i zmiany zawodu;
 - prawo do swobodnego wyboru miejsca zamieszkania;
 - prawo do swobodnego wyboru rodzaju działalności gospodarczej;
 - prawo do zrzeszania się w spółdzielnie lub spółki;
- a nawet
- prawo do zawierania związków małżeńskich (bo mogą mieć one niespodziewane konsekwencje majątkowe).

W dodatku: ustawa uderza w prawa polskich rolników i innych mieszkańców wsi (kilkanaście milionów obywateli polskich mieszkających na wsi, a nie będących rolnikami), grozi obniżeniem ich dochodów i poziomu życia, godzi w podstawowe zasady UE, narusza nie tylko Konstytucję RP ale i Traktat Akcesyjny oraz prawo unijne, a na koniec wcale nie przeszkadza bogatym podmiotom zagranicznym w nabywaniu ziemi w Polsce w dowolnie dużych ilościach (dzięki poważnym błędom prawnym, jakie zawiera, patrz:

<http://serwisy.gazetaprawna.pl/nieruchomosci/artykuly/936821,ustawa-o-obrocie-ziemia-ma-luki.html>).

Przeszkadza natomiast w nabywaniu ziemi niezbyt zasobnym obywatelom polskim, także rolnikom.

Uff... nieźle.

Zacznijmy jednak od intencji ustawodawcy, bo jest to istotne także wówczas, gdy pojawiają się wątpliwości w interpretacji przepisów. **Jak zawsze PiS stosuje dwie narracje:** jedną werbalną w mediach, wypowiedziach publicznych (zwłaszcza wobec swoich zwolenników) i drugą: w aktach prawnych i dokumentach. Tak jest zresztą nie tylko w przypadku tej ustawy – to niemal norma.

Z pierwszej narracji wiemy, iż intencją zmian w zasadach obrotu ziemią były dwie rzeczy: uniemożliwienie nabywania ziemi cudzoziemcom, co jawnie wyraził Jarosław Kaczyński („Jak nikt nie będzie mógł kupić, to Niemcy też” – cytuję za TVN24, grudzień 2015 r.), oraz uniemożliwianie osiedlania się na wsi ludziom z miasta („Rolnik to ma być rolnik, a nie jakieś tam Warszawiaki” – agitator PiS w gminie, w której mieszkam, na zebraniu wyborczym; na innych spotkaniach podobnie). Politycy PiS nieraz głosili zresztą, że z ustawą trzeba zdążyć przed dniem 1 maja, gdy kończy się okres ochronny i ma zacząć obowiązywać swoboda nabywania ziemi przez cudzoziemców. Wielokrotnie wyjaśniali też, że skoro nie można zabronić nabywania ziemi tylko cudzoziemcom, to lekarstwem jest zabronienie wszystkim. Nie ma wątpliwości, iż intencją ustawodawcy jest uderzenie w jedną z podstawowych zasad UE.

Zupełnie inaczej przedstawia to uzasadnienie w akcie normatywnym:

W celu wzmocnienia ochrony i rozwoju gospodarstw rodzinnych, które w myśl Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej stanowią podstawę ustroju rolnego Rzeczypospolitej Polskiej, dla zapewnienia właściwego zagospodarowania ziemi rolnej w Rzeczypospolitej Polskiej, w trosce o zapewnienie bezpieczeństwa

żywnościowego obywateli i dla wspierania zrównoważonego rolnictwa prowadzonego w zgodzie z wymogami ochrony środowiska i sprzyjającego rozwojowi obszarów wiejskich, uchwała się niniejszą ustawę”.

Jak się nazywa człowiek, który co innego myśli, co innego mówi, a co innego robi? Najdelikatniej rzecz ujmując – krętacz. Najciekawsze jest powoływanie się na Konstytucję w ustawie – moim zdaniem niekonstytucyjnej.

U podstaw intencji ustawodawcy leży kompletnie błędna diagnoza zagrożeń i kompletna nieznajomość realiów wiejskich.

Po pierwsze, nie ma żadnego poważnego zagrożenia dla „polskiej ziemi”, przed którym trzeba by ją „chronić”. Zainteresowanie nabyciem ziemi rolnej w Polsce przez podmioty zagraniczne ma znikome rozmiary. Dotychczas zgłaszane zainteresowanie (wystąpienia o pozwolenie na zakup) to rząd przeważnie kilkunastu kilometrów kwadratowych rocznie, czasem tylko nieco więcej, a to znaczy, że na wykupienie istotnych ilości ziemi przez te podmioty trzeba by wielu tysięcy lat. Prosta arytmetyka. Mitem też jest wykupywanie przez podmioty zagraniczne ziemi na tak zwane „słupy”. Gdy dobrze się przyjrzeć zjawisku, tymi „słupami” są głównie członkowie rodzin polskich bogatszych rolników, którzy nie mogą kupić więcej niż 300 hektarów, więc kupują na brata, żonę, szwagierkę... Podmioty zagraniczne nie mają takiej potrzeby, mogą obejść polskie ograniczenia w dużo łatwiejszy sposób i bezpieczniejszy (patrz: link na początku artykułu). Kupowanie na „słupy” jest dla nich ryzykowne, bo prawnie taki „słup” jest właścicielem i może się na szefa po prostu wypiąć – praktycznie bezkarnie – a zmuszenie go do uległości wymaga już działań przestępczych.

O tym, że diagnoza jest błędna świadczy też fakt, że wolny obrót ziemią obowiązuje już w kilku krajach (np. Czechy, Litwa) i żaden masowy wykup przez cudzoziemców tam nie nastąpił. Co więcej, mitem jest samo myślenie, że zakup ziemi przez cudzoziemców stanowi w ogóle jakieś zagrożenie. Jest to projekcja realiów historycznych, dawno już nie istniejących, na dzisiejsze realia. W czasach historycznych, gdy rolnictwo było dominującą gałęzią gospodarki, posiadanie wielkich obszarów ziemi generowało władzę polityczną. W dodatku ustrój feudalny powodował, iż tylko posiadacze ziemi, mieli prawa obywatelskie i polityczne. Dziś nawet największa własność ziemska żadnej władzy nie daje. Dziś produkcja rolna to zaledwie ok. 4% polskiego PKB, a prawa obywatelskie i polityczne mają wszyscy.

Nie ma żadnej realnej potrzeby „chronienia polskiej ziemi” i z tego punktu widzenia ta ustawa jest po prostu zbędna. Ma być lekiem na nieistniejącą chorobę i wynika wyłącznie z mitów i urojeń środowiska, które ją forsuje. Jest natomiast wysoce szkodliwa dla polskiej gospodarki i polskich obywateli.

Ustawa, w części dotyczącej sprzedaży nieruchomości z zasobów Agencji Nieruchomości Rolnych (Zasobu Własności Rolnej Skarbu Państwa) jest, moim zdaniem, możliwa do przyjęcia. Każdy podmiot prawny, także Skarb Państwa, jako właściciel ma prawo sprzedawać swoją własność lub nie, na takich warunkach, na jakich chce. Gorzej, że **państwo chce decydować o warunkach kupna i sprzedaży majątku, który nie jest jego własnością, lecz jest własnością prywatną:**

Art. 2a. 1. Nabywcą nieruchomości rolnej może być wyłącznie rolnik indywidualny, chyba że ustawa stanowi inaczej. Jeżeli nabywana nieruchomość rolna albo jej część ma wejść w skład wspólności majątkowej małżeńskiej wystarczające jest, gdy rolnikiem indywidualnym jest jeden z małżonków.

Powierzchnia nabywanej nieruchomości rolnej wraz z powierzchnią nieruchomości rolnych wchodzących w skład gospodarstwa rodzinnego nabywcy nie może przekraczać powierzchni 300 ha użytków rolnych ustalonej zgodnie z art. 5 ust. 2 i 3.

Przepisy ust. 1 i 2 nie dotyczą nabycia nieruchomości rolnej:

1) przez:

- a) osobę bliską zbywcy,
- b) jednostkę samorządu terytorialnego,
- c) Skarb Państwa lub działającą na jego rzecz Agencję,
- d) osoby prawne działające na podstawie przepisów o stosunku Państwa do Kościoła Katolickiego w Rzeczypospolitej Polskiej, o stosunku Państwa do innych kościołów i związków wyznaniowych oraz o gwarancjach wolności sumienia i wyznania;

2)
w wyniku dziedziczenia oraz zapisu windykacyjnego;

3)
na podstawie art. 151 lub art. 231 Kodeksu cywilnego;

4)
w toku postępowania restrukturyzacyjnego w ramach postępowania sanacyjnego.

Nabycie nieruchomości rolnej przez inne podmioty niż wymienione w ust. 1 i ust. 3 pkt 1 oraz w innych przypadkach niż wymienione w ust. 3 pkt 2-4, może nastąpić za zgodą Prezesa Agencji, wyrażoną w drodze decyzji administracyjnej(...)

(...)

Art. 2b. 1. Nabywca nieruchomości rolnej jest obowiązany prowadzić gospodarstwo rolne, w skład którego weszła nabyta nieruchomość rolna, przez okres co najmniej 10 lat od dnia nabycia przez niego tej nieruchomości, a w przypadku osoby fizycznej prowadzić to gospodarstwo osobiście.

W okresie, o którym mowa w ust. 1, nabyta nieruchomość nie może być zbyta ani oddana w posiadanie innym podmiotom.

(...)

W przypadku sprzedaży nieruchomości rolnej, prawo pierwokupu przysługuje z mocy ustawy jej dzierżawcy(...)

W przypadku braku uprawnienia do pierwokupu, o którym mowa w ust. 1, albo niewykonania przez niego tego prawa, prawo pierwokupu przysługuje z mocy ustawy Agencji działającej na rzecz Skarbu Państwa.

(...)

Za rolnika indywidualnego uważa się osobę fizyczną będącą właścicielem, użytkownikiem wieczystym, samoistnym posiadaczem lub dzierżawcą nieruchomości rolnych, których łączna powierzchnia użytków rolnych nie przekracza 300 ha, posiadającą kwalifikacje rolnicze oraz co najmniej od 5 lat zamieszkałą w gminie, na obszarze której jest położona jedna z nieruchomości rolnych wchodzących w skład gospodarstwa rolnego i prowadzącą przez ten okres osobiście to gospodarstwo.

(...)

(...)„osobie bliskiej” – należy przez to rozumieć zstępnych, wstępnych, rodzeństwo, dzieci rodzeństwa, małżonka, osoby przysposabiające i przysposobione;

Co ciekawe, pomysłodawcy ustawy powołują się w wielu wypowiedziach na Konstytucję, z której – rzekomo – ma wynikać zasada, iż gospodarstwa rolne mają być tylko rodzinne o powierzchni nie przekraczającej 300 hektarów. Tymczasem z Konstytucji nic takiego nie wynika. Art. 23. mówi tylko, że „podstawą ustroju rolnego państwa jest gospodarstwo rodzinne”. Nie ma tam ani twierdzenia, że mają istnieć wyłącznie gospodarstwa rodzinne, ani że nie mogą być większe niż 300

hektarów (o hektarach nie ma tam ani słowa), ani że te gospodarstwa rodzinne ma uprawiać tylko „osobiście rolnik indywidualny” rozumiany tak jak w tej ustawie. To jest po prostu dorabianie Konstytucji gęby własnego nieuctwa i uprzedzeń.

Powyższe zapisy dyskryminują ludność wiejską, ograniczając jej prawo własności i prawo do dziedziczenia (ograniczając katalog uprawnień do dziedziczenia). Takich ograniczeń nie mają mieszkańcy miast, którzy swoje nieruchomości mogą sprzedawać i kupować, jak chcą, a w testamencie mogą swój majątek zapisać komu chcą. **Ustawa de facto wprowadza dla ludności wiejskiej przymus bycia rolnikiem, jaki na terenie Polski nie obowiązywał od 1864 roku**, gdy to dekretem carskim zniesiono w zaborze rosyjskim pańszczyznę. Ustawodawca chce cofnąć cywilizacyjnie polską wieś o 180 lat. Podobnie anachroniczna jest wyzierająca z ustawy wizja wsi, na której mieszkają niemal sami „rolnicy indywidualni”. Na ten anachronizm zwracali uwagę nawet senatorowie PiS, podnoszący że na terenach o słabszych gruntach z samego rolnictwa trudno jest przeżyć, że osadnicy z miasta są tam niezbędni jako pracodawcy i inwestorzy („na piachu uprawy nie rosną”). Niestety, podobnie jak w przypadku innych ustaw tej samej partii, decydująca jest wizja jednego człowieka, który od ponad 20 lat niemal nie wychodzi z domu, Sejmu i z partyjnego biura i ma wyobrażenia o rzeczywistości rodem z „Placówki”, „Naszej szkapy” i wozu Drzymały.

Ustawa przewiduje wręcz możliwość wywłaszczenia wobec rolnika, który będzie chciał zmienić zawód. Na szczęście spod działania ustawy wyłączono działki o powierzchni do 0,5ha, na których stoją budynki i działki o powierzchni mniejszej niż 30 arów, ale niewiele to zmienia (o tym dalej).

Zapisy o rolnikach indywidualnych i ograniczeniu do 300 hektarów to po prostu konserwacja biedy i zacofania. Praktycznie uniemożliwiają one zakładanie nowoczesnych gospodarstw rolnych, bo takie gospodarstwa wymagają albo dużych obszarów, albo zatrudnienia wielu ludzi. Likwidują też takie możliwości jak agroturystyka, przeznaczenia gruntów pod rekreację, wyciągi i stoki narciarskie, pola golfowe, pola namiotowe...

Ograniczenia w handlu ziemią spowodują w dalszej perspektywie zubożenie wielu rolników i innych mieszkańców wsi. Spadnie wartość ziemi, co utrudni rolnikom zaciąganie kredytów, bo ziemia będzie stanowiła gorsze zabezpieczenie dla banków. Z tego samego powodu znacznie ograniczone zostaną na wsi kredyty hipoteczne i „odwrócona hipoteka” (emerytura od banku w zamian za zapisanie nieruchomości dla banku).

Wydaje się, iż „odwrócona hipoteka” może być w ogóle dla mieszkańców wsi niemożliwa, skoro nie można zapisać bankowi nieruchomości w testamentie. Nawet jeśli banki znajdą jakieś obejście, to na pewno ich zapął do udzielania kredytów, zwłaszcza hipotecznych i „odwróconej hipoteki” będzie na wsi znacznie mniejszy. To kolejna dyskryminacja mieszkańców wsi.

Wyłączenie spod ustawy działek o powierzchni do 0,5ha, na których stoją budynki i działek o powierzchni mniejszej niż 30 arów, brzmi jak złośliwy dowcip. Przez lata nakłaniano ludność wiejską, by powiększać swoje grunty do ponad hektara i płacić wówczas mniejszy podatek gruntowy i podatek od budynków. Dotyczy to zwłaszcza kilkunastu milionów obywateli polskich mieszkających na wsi, a niebędących rolnikami. To też są obywatele Rzeczypospolitej Polskiej! Większość komentatorów skupia się tylko na rolnikach, a rolnicy na polskiej wsi stanowią dziś mniejszość. Większość zaś stanowią tam emeryci, mieszkańcy wykonujący zawody pozarolnicze (warsztaty, tartaki, sklepy, nauczyciele, lekarze, weterynarze, geodeci, operatorzy maszyn, budowlańcy...) oraz ludzie mieszkający na wsi a pracujący w mieście. Ocenia się, że na wsiach wokół samej Warszawy, tych ostatnich jest kilkaset tysięcy albo i milion. W wielu przypadkach działki, na których stoją budynki, są większe niż 0,5ha albo ich właściciele dokupili do nich mniejsze działki rolne, by mieć w sumie ponad hektar. Na tych działkach urządzili sobie ogrody, pobudowali altany itp. Choć geodezyjnie są to oddzielne działki, to jako ogród stanowią całość, a prawnie mają teraz mieć inny status. Właściciel jeden fragment ogrodu może sprzedać lub przekazać w spadku, a drugi nie.

Istnym kuriozum jest zapis o działkach mniejszych niż 30 arów. Według ustawy o gospodarce nieruchomościami takie działki nie powinny istnieć, bo ustawa zabrania wydzielania tak małych powierzchni. Gdyby chociaż zapisano „mniejsze, lub równe 30 arów”, ale jest jednoznacznie „mniejsze”. Niewielka ilość takich działek jednak istnieje. Są to działki wydzielone dawno, gdy nie było takiego ograniczenia, lub wydzielone nielegalnie (a wówczas można zakwestionować prawo własności). Takie działki najczęściej mają dziwny kształt (np. wąskie paski ziemi), albo położone są w miejscach do niczego nie przydatnych (np. na stromych skarpach, bagnach, wykrotach). Nawet jeśli mają optymalny kształt, prostokąt 50×60m, to mogą być nieprzydatne z powodów kolizji z prawem budowlanym i ustawą o ochronie przyrody. Zaznaczam tu, że na wsi obowiązują nieco inne przepisy prawa budowlanego niż w mieście lub na terenach objętych planem zagospodarowania przestrzennego.

Prawo budowlane mówi, że budynek (na wsi) musi stać minimum 6m od pasa drogi, minimum 3m od granicy działki lub 4 m, jeśli w ścianie są okna. Już samo to wyłącza z terenu pod zabudowę ok. 600m² takiej działki, o ile przylega ona do drogi tylko jednym bokiem. W przypadku działki narożnej jest to ok. 750m², to jest 1/4 powierzchni. Kłopot prawdziwy zaczyna się wówczas, gdy na działce lub w jej pobliżu są jakieś instalacje. Po kilka metrów w prawo i lewo od każdego kabla lub rury w ziemi (z wyjątkiem przyłącza) nie wolno budować. Jeszcze gorzej jest z linią średniego napięcia, wokół której nie wolno budować w takiej odległości, jakiej wysokości jest słup. Typowy słup średniego napięcia ma 8m, co wyłącza z zabudowy pas o szerokości 16m, czyli kolejne 960m² naszej przykładowej działki. Jeśli w dodatku na działce rosną jakieś duże drzewa, to stawa o ochronie przyrody zabrania ich wycinki. Może więc okazać się, że upiliśmy działkę 50×60 m i nie możemy na niej wybudować nic, bo choćby przydomowa oczyszczalnia ścieków potrzebuje pasa ziemi długości minimum 40 m, co wynika z przepisów, a na tradycyjne szambo gminy raczej nie wydają już zgody. Tak więc prawo do kupowania działek o powierzchni do 30 arów brzmi jak ponury żart.

W mojej gminie jest wielu ludzi, którzy na skutek różnych zaszłości (spadków, małżeństw, itp.) mają 2-3 hektary ziemi, które traktują jako zabezpieczenie na starość, zastaw pod kredyty, lokatę kapitału, albo dzierżawią rolnikom i mają z tego dochód. Obecnie wartość tych gruntów drastycznie spadnie, a są to powierzchnie zbyt małe, by na nich gospodarować. Ich właściciele drastycznie zbiednieją. Wzburzenie wywołała zwłaszcza informacja o wyjątku dla Kościoła. Przyznam, że po raz pierwszy na mazurskiej wsi słyszałem ludzi klnących na Kościół, co do tej pory było nie do pomyślenia. PiS strzelił tu chyba w stopę nie tylko sobie, ale i Kościołowi.

Generalnie błędna jest koncepcja „chronienia ziemi” i „rozwijania” gospodarstw rolnych, wbrew faktom ekonomicznym i wbrew kierunkowi zmian cywilizacyjnych. Fakty mówią, że polska produkcja rolna jest za duża, występuje przewaga podarży nad popytem, co generuje niskie ceny produktów rolnych i słabą opłacalność gospodarki rolnej. Wyjątkiem są może wielkie nowoczesne gospodarstwa i farmy przemysłowe, ale te akurat ustawodawca postanowił zwalczać, stawiając na chłopą „biedniaka”, ustawowo „małorolnego”. Wiele małych gospodarstw dawno by już padło, gdyby nie dopłaty z UE, której to Unii ustawodawca właśnie pokazuje gest Kozakiewicza. To naprawdę ciekawa koncepcja pokazywać komuś ten gest i domagać się od niego darowizn.

Ciekawy był też występ Beaty Szydło na nowojorskiej giełdzie, gdzie mówiąc do maklerów, zachęcała inwestorów (może nie wie, że to kto inny) do inwestowania w Polsce, zapomniawszy dodać, że jej rząd będzie z zapalem ich zwalczać zakazami i podatkami.

Co ciekawe, ustawa nie dotyczy spółek giełdowych, co w połączeniu z obejściem opisanym przez „Dziennik Gazetę Prawną” (patrz: link na początku artykułu) powoduje, że polski rolnik (którego ustawa – podobno! – miała chronić) ma kłopoty, a wielkie firmy zagraniczne (którym – podobno! – ustawa miała przeszkadzać) z tymi ograniczeniami sobie poradzą:

Art. 3a. 1. Agencji działającej na rzecz Skarbu Państwa przysługuje prawo pierwokupu udziałów i akcji w spółce prawa handlowego, która jest właścicielem nieruchomości rolnej.

Przepisu ust. 1 nie stosuje się w przypadku zbywania:

1) akcji dopuszczonych do obrotu na rynku giełdowym w rozumieniu ustawy z dnia 29 lipca 2005 r. o obrocie instrumentami finansowymi (Dz. U. z 2014 r. poz. 94, z późn. zm.).

Wspomniane obejście polega w największym skrócie na utworzeniu spółki nadrzędnej nad spółką posiadającą ziemię i sprzedawaniu nie ziemi, tylko udziałów, czego ustawa zabrania tylko w spółce stojącej niżej. Rolnik indywidualny spółki nie założy, bo nie ma pieniędzy na kapitał założycielski, a zagraniczny koncern ma całe biuro prawników i kapitał. Nie ma tylko zamiaru polskiej ziemi wykupywać, bo po co? Tak to już jest na ogół, że gdy chce się kontrolować wszystko, to zamiast zamierzonego skutku ma się skutek odwrotny i popsute tym majstrowaniem prawo. Takie są też skutki pisania ustaw bez konsultacji i ekspertyz, naprędce i uchwalanie ich po nocy. Polski obywatel chciałby ziemię kupować, ale ma szlaban, zagraniczny koncern kupować nie ma zamiaru, a szlaban obejdzie i tak, gdy tylko zechce.

Ostatnią budzącą zastrzeżenia kwestią jest nadanie Agencji Nieruchomości Rolnych uprawnień policyjnych:

1. Agencja przeprowadza kontrole, zgodnie z przyjętym i zatwierdzonym przez Prezesa Agencji planem kontroli.

(...)

Osoby upoważnione do przeprowadzenia kontroli mają prawo do:

- 1) *wstępu na teren nieruchomości rolnych kontrolowanych podmiotów;*
- 2) *żądania związanych z przedmiotem kontroli:*
 - a) *'pisemnych lub ustnych informacji,*
 - b) *'okazywania i udostępniania dokumentów.*

Jednym słowem, Agencja Nieruchomości Rolnych ma prawo przeprowadzić przeszukanie na prywatnym terenie, niczym policja u przestępcy.

Zwolnij mnie, Czytelniku, z wyliczania artykułów Konstytucji RP, Traktatu Akcesyjnego i prawa Unii Europejskiej, z którymi jest sprzeczna ta ustawa, bo musiałbym napisać jeszcze kilka stron tekstu, a i tak „koń, jaki jest, każdy widzi”.

Myślenie Gomułką i gadanie Radziwiłłem

[31 maja 2016 r.]

Pan minister Konstanty Radziwiłł po kilku dniach dopiero zabrał głos w sprawie strajku pielęgniarek w Centrum Zdrowia Dziecka. Pan minister oświadczył, jak na ministra przystało, że to wszystko wina poprzedników. Jest to, niestety, stały tekst niemal wszystkich ministrów niemal wszystkich rządów. Dla obecnego rządu to niemal mantra.

Coś mi to przypomina. Gdy w latach 80. prowadziłem prace wysokościowe, dostaliśmy ofertę odmalowania amfiteatru w pewnym mieście wojewódzkim. Obejrzelśmy obiekt i stwierdziliśmy, że konstrukcja nie wymaga odmalowania, tylko wymiany, bo grozi zawaleniem. Powiedziałem o tym inwestorowi, wojewodzie, a on na to: „*Ale ja już nie będę wojewodą...*” I tak się to kręciło – jeden wojewodą „już nie był”, drugi „był od niedawna”. Wniosek? Nikt nie był winien. I tak właśnie myśli pan minister Radziwiłł.

Pan Minister nie był sam. Towarzyszył mu zastępca, pan Jakub Bydłoń. Ten pan wygłosił tyradę, o tym, jak to pielęgniarki wspaniale zarabiają – od 5 do 9 tysięcy brutto – a jeszcze mają prace dodatkowe. Odkąd pamiętam, to zawsze – według władzy – strajkujący zarabiali krocie. I znów mi coś mi to przypomina. Gdy w 1981 roku z ramienia „Solidarności” rozmawialiśmy z Wysokim Przedstawicielem Rządzących, tenże pan wygłosił tyradę (gadał Radziwiłłem), że robotnicy to mają nieźle, bo zarabiają i dorabiają i fuchy robią i z pracy produkty wnoszą... Wstał na to związkowiec z Radomia i rzecze: „*Panie Wysoki Przedstawicielu, ja już parę razy chciałem sobie tę maszynę do szycia*

z wyniesionych części złożyć, ale, co tylko zaczynałem składać, to mi wychodził kałasznikow”.

Tak i pielęgniarki dorabiają i wynoszą – tylko co? Waciki?

Pan minister zapomniał o tym, że takie przebrzydłe dziennikarskie typy, jak ja, mają swoje prasowe archiwa. Kit im trudno wcisnąć.

Pragnę więc przypomnieć panu ministrowi, że największy jak dotąd strajk pielęgniarek (i lekarzy też, tylko oddzielnie) miał miejsce w 2007 roku, gdy premierem był Jarosław Kaczyński.

Stefan Małecki-Tepicht pisał o tym wówczas w „Kontratakstach” (25 czerwca 2007 r.) następująco:

Premier Kaczyński odrzucając żądania pielęgniarek i lekarzy ogłosił, że lekarze i pielęgniarki nie mają prawa żądać podwyżek dlatego, że w roku 2006 dostali najwyższe podwyżki w ciągu ostatnich 17 lat – o 30%.

I jest to zdanie fałszywe.

Główny Urząd Statystyczny w kwietniu 2007 roku przedstawił publikację o zatrudnieniu i wynagrodzeniu w gospodarce narodowej w 2006 r. Dane statystyki państwowej informują, o tym, że w 2006 roku zatrudnionym w sekcji ochrony zdrowia i opieki społecznej wynagrodzenia wzrosły o 144zł do poziomu 2123zł brutto, tj. o 7,3% . Najwyższą podwyżkę pracownicy ochrony zdrowia i opieki społecznej dostali po reformie w 2001 roku o 10%. A stan zatrudnienia w ochronie zdrowia maleje z roku na rok, do poziomu 615 tys. osób w 2006 r. W tym samym czasie zatrudnieni w administracji publicznej, obronie narodowej, ubezpieczeniach społecznych i zdrowotnych otrzymali podwyżki o 154 zł, i uzyskali 3215zł, a stan ich zatrudnienia wzrósł.

Pracownicy ochrony zdrowia i opieki społecznej od lat są grupą zawodową najniżej zarabiającą i otrzymują 66% średniej miesięcznej płacy administracji publicznej.

(...)

Jarosław Kaczyński w swoisty sposób pojmuje solidarność. Solidarnie jest wtedy, gdy jednym się zabierze, żeby innym dać. I wychodząc z takiego pojmowania solidarności, premier Kaczyński pielęgniarkom i lekarzom przedstawił swą propozycję referendum.

I postawił nas wszystkich, społeczeństwo i pielęgniarki, przed diabelską alternatywą. Stajemy przed wyborem, w którym albo:

– głosujemy za podwyżką podatku dla najbogatszych, i pielęgniarki i lekarze dostaną wyższe wynagrodzenia,
albo

– nie zgadzamy się na podwyżki podatków i służba zdrowia nie otrzyma wyższych wynagrodzeń.

Jest to alternatywa fałszywa, zawiera się w niej kłamliwe założenie o tym, że zatrudnieni w ochronie zdrowia są biedni dlatego, że bogaci nie chcą na nich płacić.

I jest to oczywista nieprawda.

Ponadto, to moje paskudne archiwum zawiera jeszcze jedna ciekawostkę („Kontrateksty” 26 czerwca 2007 r.):

Zamieszczamy poniżej pismo, które w dniu dzisiejszym, 26 czerwca 2007 r., o godzinie 13-tej, zostało złożone w Prokuraturze Rejonowej Warszawa-Śródmieście. Dwie godziny później premier zgodził się na spotkanie z pielęgniarkami.

Niezależny Magazyn Publicystów „Kontrateksty” (<http://www.kontrateksty.pl/>)

Redakcja

Prokuratura Rejonowa

Warszawa Śródmieście

Powiadomienie o możliwości popełnienia przestępstwa

Opierając się na informacjach otrzymanych za pośrednictwem mediów, powiadamiam, iż istnieje możliwość popełnienia przestępstwa nieludzkiego traktowania czterech pielęgniarek przebywających na terenie Urzędu Rady Ministrów. Według docierających informacji, pielęgniarki te są pozbawiane snu (co godzina budzone), leżą na podłodze przykrywając się gazetami, uniemożliwiono dostarczenie im koców, czystej odzieży i środków czystości. Uniemożliwiano im przez długi czas kontakt telefoniczny ze światem zewnętrznym. Takie traktowanie ludzi zabronione jest przez międzynarodowe konwencje praw człowieka, których Polska jest sygnatariuszem. Zwracam się do Prokuratury o podjęcie czynności sprawdzających te informacje, ustalenie stanu faktycznego, a jeśli informacje te potwierdzą się, ustalenie sprawców i doprowadzenie do ich ukarania.

Krzysztof Łoziński

*Redaktor Naczelny
Niezależnego Magazynu Publicystów „Kontratakty”*

*Do wiadomości:
Rzecznik Praw Obywatelskich
Helsińska Fundacja Praw Człowieka
Polska Agencja Prasowa
Redakcje gazet.*

Odpowiedź prokuratury jest lakoniczna:

Robert Skawiński, prokurator Prokuratury Okręgowej w Warszawie, po rozpoznaniu zawiadomienia Krzysztofa Łozińskiego, dotyczącego [tu następuje wyliczenie okoliczności, o których informowałem] tj. czynu z art. 191 §1 k.k., na podstawie art. 305 §1 k.p.k., postanowił: odmówić wszczęcia śledztwa w przytoczonej sprawie.

Koniec, kropka, żadnego uzasadnienia, czy wyjaśnienia. Muszę tu wyjaśnić, że art. 191 §1 brzmi:

Kto stosuje przemoc wobec osoby lub groźbę bezprawną w celu zmuszenia innej osoby do określonego działania, zaniechania lub znoszenia, podlega karze pozbawienia wolności do lat 3.

Tak prokuratura zakwalifikowała postępowanie kogoś z kancelarii premiera wobec pielęgniarek.

Art. 305 §1 k.p.k. mówi tylko, że prokurator ma prawo odmówić wszczęcia postępowania. Prokurator oczywiście nie ma obowiązku decyzji uzasadniać, ale to nie znaczy, że może ją podejmować „ot tak”, bez powodu. Postanowiłem więc sprawdzić, jaki był powód tej decyzji. Ponieważ, jak widać, od prokuratury się tego nie dowiem, zwróciłem się do Doroty Gardias, przewodniczącej Ogólnopolskiego Związku Zawodowego Pielęgniarek i Położnych z pytaniem o zainteresowanie prokuratury ich sprawą. Dowiedziałem się, że z paniami nikt z prokuratury nie rozmawiał, nikt ich nie przesłuchiwał. Wygląda więc na to, że prokuratura nie starała się ustalić faktów, lub zadowolila się wyjaśnieniami tylko strony rządowej. Przypomnę tu, iż kilka dni po wyjściu pielęgniarek z kancelarii premiera, rząd wydał „białą księgę”, czyli oświadczenie o tym, że traktował pielęgniarki dobrze.

Nazwałem to wówczas w swoim komentarzu „instrukcją dla prokuratury, jaką prawdę ma ustalić”. Jak bowiem wytłumaczyć inaczej, po co wydano ten dokument?

Przypomnę jeszcze pewną kolejność zdarzeń: 26 czerwca, o godzinie 12-tej, przekazałem swoje pismo do wiadomości Rzecznikowi Praw Obywatelskich, dr Januszowi Kochanowskiemu (kilka minut później złożyłem je w prokuraturze). Ok. godz. 13-tej Janusz Kochanowski udał się do Jarosława Kaczyńskiego. O godzinie 14-tej Jarosław Kaczyński nie spodziewanie zmienił zdanie i zgodził się na spotkanie z pielęgniarkami. Wcześniej nazywał je „przestępcami, z którymi nie będzie rozmawiał”. Czyżby zmienił zdanie pod wpływem tego zawiadomienia?

Powstaje tu zasadnicze pytanie: dlaczego prokuratura odmówiła śledztwa? Teoretycznie powody mogą być dwa:

1. wydarzenie, o którym zawiadomiono nie jest przestępstwem (ale jak widać jest, skoro prokurator przypisał mu artykuł kodeksu karnego);
2. po sprawdzeniu okazuje się że podane fakty są nieprawdziwe (ale wygląda na to, że prokurator okoliczności nie sprawdzał).

Czyżby był powód trzeci – polecenie Zbigniewa Ziobro? Tego się zapewne nie dowiemy.

P.S. Mój przyjaciel, prof. Waldemar J. Dziak, często powtarza: „Łoziński, ty nie umrzesz we własnym łóżku”. Zaczynam się zastanawiać, czy nie ma racji.

P.S.1. Zastanawiające w tej sprawie jest to, że zarówno premierowi jak i pielęgniarkom bardzo zależy na tym, by sprawy nie drażyć. Musi być jakiś tego powód. Moja hipoteza jest taka: polecenie by pielęgniarki bardzo źle traktować wydał albo sam premier, albo ktoś w rządzie bardzo wysoko postawiony. Śledztwo w tej sprawie może być dla obu stron negocjacji bardzo niewygodne. Ale to tylko hipoteza.

Wypada jeszcze dodać, że po pewnym czasie uzyskałem od prokuratury wyjaśnienie, jakie czynności sprawdzające przeprowadziła: „ustalono nazwiska pielęgniarek strajkujących na terenie KPRM”. I to wszystko.

Jak już grzebiemy w archiwach to przypomnijmy jeszcze jedno. 7 lipca 2007 roku pisałem tak:

Im dłużej trwa strajk służby zdrowia (lekarzy i pielęgniarek – szkoda, że oddzielnie), tym bardziej sytuacja staje się patowa. Rząd nie ma żadnego realnego pomysłu na rozwiązanie problemu, a jedyne skuteczne rozwiązanie uważa za „najbardziej sprzeczne z programem PiS”. Wniosek jest prosty:

jeśli rząd nie umie rozwiązywać problemów, trzeba rozwiązać rząd.

(...)

Najbardziej szkodliwe dla reformy służby zdrowia są pomysły, że nie ma ona funkcjonować na zasadach normalnego rynku, tylko na jakiś innych. To tak, jakby ktoś chciał zbudować samolot głosząc, że nie mają w nim działać prawa fizyki, od aerodynamiki poczynając. Tak samo jak ten samolot nie poleci w oparciu o ideologię, tak samo służba zdrowia w oparciu o ideologię nie będzie działać. Pomysł, że służba zdrowia musi być państwowa, jest równie nierealny jak próba latania bez skrzydeł i silnika. Ten pomysł nie sprawdził się nigdzie. W każdym kraju, w którym istnieją państwowe placówki służby zdrowia, są one droższe od prywatnych i oferują gorszy poziom usług. Tak zresztą jest w każdej dziedzinie, nie tylko w służbie zdrowia. Przedsiębiorstwa państwowe w każdej branży są gorsze i droższe od prywatnych.

Kompletną demagogią ze strony rządzących jest ciągle pouczanie lekarzy o przysiędze Hipokratesa. Hipokrates mógł nie odmawiać nikomu pomocy, bo w jego czasach ta pomoc sprowadzała się głównie do pocieszania pacjenta, ziołolecznictwa i prostych zabiegów. Hipokrates nie musiał finansować tomografów komputerowych, inkubatorów i drogich operacji. Szkolenie lekarza też nie trwało wówczas 12 lat (studia + staż + specjalizacja).

Trzeba przestać okłamywać społeczeństwo, że prywatna służba zdrowia będzie płatna gotówką, że nie będą w niej działać ubezpieczenia. Wierutna bzdura. Już dziś działają w Polsce niepubliczne ZOZ-y, funkcjonujące w oparciu o umowy z NFZ. Pacjent nie płaci w nich za wizyty, a lekarze i pielęgniarki dobrze zarabiają.

Prywatyzacja służby zdrowia jest też korzystna dla rządu, bo pretensje płacowe będą wówczas kierowane, do właściciela a nie do państwa. Rząd odczepi się od problemu.

Rządzący powinni zrozumieć, że nie ma innego wyjścia, jak kompleksowa reforma całego systemu, oparta na normalnych mechanizmach ekonomicznych. Jeśli tego nie zrozumieją, kryzys będzie tylko narastał, obejmował coraz szersze kręgi obywateli, aż wszyscy zrozumieją to, co napisałem na początku: jeśli rząd nie rozwiązuje problemów, to trzeba rozwiązać rząd.

Tyle w artykule z 2007 roku. A co mamy dziś? PiS po staremu plecie, że służba zdrowia powinna być tylko państwowa. Jarosław Kaczyński jawnie głosił w kampanii wyborczej, że trzeba zlikwidować NFZ, finansować służbę zdrowia z budżetu (jak za Gomułki), ale tylko państwową. Prywatne placówki mają być pełnopłatne, bo Prezes wszystkiego co prywatne nie lubi. Od lat straszy wyborców prywatyzacją.

Stan na dziś jest taki: 95% placówek POZ (podstawowej opieki zdrowotnej) jest prywatne. Prywatne jest też ok. 60% gabinetów specjalistów. To, co chce zrobić PiS, to po prostu likwidacja większości placówek służby zdrowia, bo placówki prywatne pozbawione finansowania przez NFZ w większości zbankrutują, a społeczeństwo będzie miało wybór: albo leczenie herbatą i aspiryną w szpitalu państwowym, albo drogie, płatne z własnej kieszeni, leczenie prywatne. Oczywiście większości ludzi na takie leczenie prywatne nie będzie stać. Rząd na tym zyska, bo znacznie ograniczy wydatki na zdrowie (z czegoś trzeba wziąć na kasę na „500+”). Całe społeczeństwo ma ponieść konsekwencje chorej fobii Prezesa nakażującej mu niszczyć wszystko, co prywatne.

W Polsce mamy za mało lekarzy i pielęgniarek, z prostego powodu: za mało zarabiają, za dużo pracują i łatwo znajdują pracę – na lepszych warunkach – za granicą. Tymczasem PiS od lat prowadzi nagonkę na lekarzy („pokaż lekarzu, co masz w garażu”, „lekarze w kamazie”, itp.). **Prezes w nieuctwie swoim nie rozumie, że płaca i praca podlegają – jak wszystko – prawu podaży i popytu.** Nie ma znaczenia, czy lekarz zarabia dużo w porównaniu z murarzem, tylko czy zarabia wystarczająco dużo po to, by opłacało mu się pracować w Polsce, a nie w Szwecji.

Obsesja Prezesa objawia się ciągłym szczuciem na kogoś, „bo zarabia dużo”. Dość osobliwa logika: co złego w tym, że ktoś zarabia mało, czy że ktoś zarabia dużo? W normalnym świecie złe jest to, że ktoś zarabia mało, w świecie PiS-u, odwrotnie. **To cała ich logika: jak biednemu Jasiowi pomóc? Bogatszemu Stasiowi zaszkodzić!** Wszystkim po równo, wszystkim g...

Prezes ma jeszcze jeden pomysł: całkowitą wymianę kadr we wszystkich dziedzinach (w służbie zdrowia też). Po to rozwalono służbę cywilną. Nie będzie już konkursów, będzie jak za Gomułki: „nie matura, lecz chęć szczerą...”, to znaczy że decydującym kryterium ma być lizusostwo wobec PiS. Mam w związku z tym pytanie: **czy znacie Państwo przykład, by wymiana mądrych na głupich przyniosła pozytywne skutki?**

Głosowanie przez domyślanie

[10 lipca 2016 r.]

W ostatni czwartek, 7 lipca, marszałek Kuchciński wkroczył na nowy poziom kaczynizmu.

Pomiął protesty opozycji wobec trybu prac nad kolejną ustawą blokującą Trybunał Konstytucyjny, pomiął dyskusję i przeszedł – bez głosowania – do kolejnego punktu procedury. Marszałek Kuchciński spojrzął na salę, zauważył, że jest na niej obecnych niewielu posłów PiS, więc uznał, iż protesty opozycji zostały odrzucone bez głosowania. Kuchciński wiedział, że głosowanie w tej sytuacji byłoby nie po jego myśli, ale trafnie domyślił się, że gdyby posłowie PiS byli obecni, to zagłosowaliby za ich odrzuceniem. Tak więc stosując głosowanie domyślne, protesty odrzucono. Wnioski o dyskusję też. No, w końcu łatwo się domyślić, że nic by nie dała. Tak więc i nad tą sprawą Sejm, w osobie Marszałka, zagłosował domyślnie „przeciw”.

Tak generalnie: głosowanie domyślne ma w kaczynizmie świetlaną przyszłość, i właśnie na drogę ku niej wkroczone. **Głosowanie domyślne zostało milcząco przewidziane w projekcie konstytucji według PiS.** Otóż rządzący PiS i jego Prezydent, domyślając się woli Suwerena, z góry oszczędza mu głosowań, także w wyborach, bo i po co, skoro się można domyślić.

Art. 94 tego projektu pozwala Prezydentowi rozwiązać Sejm – ot tak, po prostu – domyślając się, że Suweren by tak chciał.

Art. 122 pozwala Prezydentowi nie powołać rządu, premiera i ministrów, wybranych przez Sejm, jeśli „zachodzi uzasadnione podejrzenie, że nie będą oni przestrzegać prawa”. I znów prezydent domyśla się, że

Suweren tych państwa by nie chciał. Wyręcza więc Suwerena, głosując za niego domyślnie.

Art. 103 pozwala prezydentowi jednoosobowo zarządzić referendum nad ustawą uchwaloną przez Sejm, która mu się nie podoba. Gdy wynik referendum będzie po jego myśli, może rozwiązać Sejm. Na wszelki wypadek, art. 8 konstytucji według PiS obniża próg ważności referendum do 30% frekwencji. No jasne – Prezydent i tak się domyśla, czego chce Suweren.

Art. 105 daje kolejną możliwość. Prezydent może też zastosować odwrotną kolejność. Najpierw zarządzić referendum nad własnym projektem ustawy, a później – jeśli Sejm jej nie uchwali – Sejm rozwiązać.

A co będzie, gdy PiS straci władzę i będą nowe wybory? Spokojnie, Prezydent czuwa. Po pół roku rozwiąże Sejm (art. 94) i nastąpią kolejne wybory, a jak trzeba to kolejne, kolejne..., tak długo, aż wygra PiS. Nigdzie nie jest powiedziane, że art. 94 ma być zastosowany tylko jeden raz.

Prezydent oczywiście odpowiada za naruszenie Konstytucji, ale tylko umyślnie, zaś premier i ministrowie za każde naruszenie. A zresztą: po co Prezydent miałby taką konstytucję naruszać!? W końcu Prezydent trafnie domyśla się, że Suweren chce, by rządziło PiS.

Art. 106 pozwala rządowi zabronić posłom wnoszenia poprawek do rządowej ustawy. Słusznie, wszak tym razem to rząd się domyśla, niczym marszałek Kuchciński, że gdyby była na sali wystarczająca liczba posłów PiS, to poprawek by nie było. A jaka liczba posłów PiS jest wystarczająca? Taka, jakiej chce PiS. To takie proste – łatwo się domyślić.

Art. 62 upoważnia rząd do udzielenia Prezydentowi prawa do wydawania dekretów z mocą ustawy; a przypomnijmy: rząd będzie zawsze taki, jak chce Prezydent, bo uchwała Sejmu co do składu rządu wcale go nie wiąże (art. 122), a trudno sobie wyobrazić, żeby Sejm, który może być w każdej chwili rozwiązany (art. 94, 103 i 105) uchwalił skład rządu, którego Prezydent nie chce. Prezydent wszak, jak zawsze trafnie, domyśla się woli Suwerena.

W praktyce Prezydent może tak długo rozwiązywać Sejm, aż będzie mu uległy i powoła rząd po jego myśli. Nazwijmy to wprost: Prezydent ustala skład Sejmu i rządu.

PiS-owski projekt Konstytucji ubezwłasnowolnia też Trybunał Konstytucyjny, którego wyroki będą ważne tylko wtedy, gdy zagłosuje za nimi 4/5 składu sędziów. Czyli jeśli 11 sędziów uzna ustawę za niekonstytucyjną a 4 będzie miało inne zdanie, to ustawa będzie konstytucyjna (art. 135). Na wszelki wypadek tych 4 – prezesa i jego zastępców

– powołuje... Kto? Oczywiście Prezydent! I to wedle uznania. Nikt mu nie zgłasza kandydatur. Sam je zgłasza (art. 128). Czy przypadkiem nie przypomina nam to projektu ustawy, którego przepchnięcie domyślnie przegłosował marszałek Kuchciński?

Art. 145 przewiduje, że Prezydent może odwołać każdego sędziego w każdym sądzie za „niemożność lub brak woli” rzetelnego wykonywania obowiązków sędziego. Jak zwykle Prezydent domyśla się, co jest słuszne i wyręcza w tym Suwerena, głosując za niego domyślnie.

I jeszcze ciekawostka: Prezydent zarządza wybory do Sejmu, ale bez żadnego terminu, w jakim ma to zrobić. Praktycznie może rozwiązać Sejm i zwlekać ile zechce z rozpisaniem wyborów. Nawet do końca kadencji. A co wtedy? Teoretycznie termin wyborów prezydenckich ogłasza marszałek Sejmu, ale przecież Sejm będzie rozwiązany, a więc Prezydent może trwać i trwać i trwać...

Na wszelki wypadek art. 183. daje Prezydentowi prawo użycia wojska przeciw demonstrantom, a cały projekt konstytucji według PiS nie przewiduje prawa do strajku i prawa do zgromadzeń. I słusznie! Wszak łatwo się domyślić, że nic by one nie dały. Jasno ujął to niedawno Joachim Brudziński: „Wy możecie sobie protestować, a my i tak będziemy robić swoje” (w programie „Kawa na ławę”, TVN).

Po tym wszystkim łatwo się domyślić, że gdy już zapanuje Kaczym Doskonały, zarówno Prezydentem, jak i Suwerenem, będzie kto? No jakże „kto”?! Jarosław Kaczyński. To dlatego przyszły Prezydent będzie tak trafnie domyślał się woli Suwerena, czyli własnej.

Militarny szum żółtych papierów

[27 października 2016 r.]

Minister Antoni Macierewicz jest człowiekiem wielkiej wiary – aż tak wielkiej, że uwierzył, iż zna się na wojnie. Mało tego: zna się aż tak, że tworzy nowatorskie wizje organizacji wojska.

Tylko te wizje nie są nowatorskie, niestety. Wręcz pachną naftaliną i drastycznie mijają się z dzisiejszą rzeczywistością. Obrona terytorialna już istniała w wojsku polskim, nie jest niczym nowym. W 1969 roku brała nawet udział w manewrach Odra-Nysa na poligonie w Drawsku. Później z tej formacji zrezygnowano – z powodu jej znikomej przydatności.

Nie jestem wojskowym, nie chcę pouczać mądrzejszych od siebie, ale mam pewne doświadczenia życiowe. Po pierwsze, w przeciwieństwie do Macierewicza odbyłem dosyć porządną służbę wojskową – nie studencką, tylko w jednostce liniowej pierwszego rzutu. Po drugie, jako podróżnik i reporter widziałem z bliska parę zagranicznych wojen i innych działań militarnych. Jako dziennikarz śledziłem dość uważnie doniesienia o przebiegu współczesnych konfliktów zbrojnych. I wreszcie, jako mistrz i trener wschodnich sztuk walki wiem, jaki typ psychiczny człowieka nadaje się na wojownika, a jaki nie (facet z „grupy rekonstrukcyjnej”, ganiający z drewnianym karabinem i wołający: „*pa, pa, pa...*” się nie nadaje). Resztę powinni już dopowiedzieć fachowcy od wojska, więc żeby nie udawać mądrzejszego niż jestem, na wszelki wypadek skonsultowałem moją opinię z trzema zawodowymi oficerami.

Antoni Macierewicz ogłosił ostatnio, że aerokluby będą wspierać obronę cywilną z powietrza. Aerokluby się ucieszyły, bo pomyślały, że

dostaną kasę. Antoni jednak, jak z jego wypowiedzi wynika, ma koncepcję raczej odwrotną – on narzuci aeroklubom zadania, zaś kasę mają sobie sami znaleźć od sponsorów.

Koncepcja wspierania obrony cywilnej przez szybowce i cesny jest dość zabawna. Przypomina mi pewien epizod z mojej ulubionej powieści Piotra Wojciechowskiego „Czaszka w czaszce”. Był tam pewien generał, który wybudował w Karpatach wielkie pochylnie do walki kawalerii z zeppelinami. To się jednak działo w szyderczej fikcji literackiej, zaś Antoni jest w realu. A szkoda, bo pomysł „kawalerią na zeppelin” jest z tej samej bajki, co „motolotnią na czołgi”.

Cała koncepcja obrony terytorialnej (w takim kształcie) jest mocno archaiczna. Może to było dobre, gdy toczono wojny pozycyjne i budowano kilometry okopów. Ale już od II wojny światowej wiadomo, że działania zbrojne wyglądają inaczej i czym bliżej dnia dzisiejszego, tym bardziej „inaczej”. Najnowsze konflikty zbrojne to wojna manewrowa, punktowe uderzenia samodzielnych dywizji lub co najmniej brygad, dalekie rajdy w głąb terytorium przeciwnika.

Czy partyzantka leśnych dziadków jest w stanie zatrzymać takie natarcie? Z pewnością nie. W takim punktowym uderzeniu biorą udział setki czołgów, wspierane potężną artylerią i lotnictwem. Tylko ktoś, kto nigdy nie widział (jak Antoni), jaką siłę ognia ma helikopter Mi-24 lub Apacz, kto nigdy (jak Antoni) nie był w prawdziwym wojsku, może sobie wyobrazić, że gromadka kiepsko wyszkolonych cywilów z kałasami może tu coś zdziałać. **To nie te czasy, kiedy można było zwalczać czołgi butelkami z benzyną.** Budowana wedle koncepcji Macierewicza formacja, w razie poważnego konfliktu przestanie istnieć po kilku godzinach, a jej żołnierze zasilą szereg poległych, nie zadawszy niemal żadnych strat przeciwnikowi.

A może jednak zapobiegną inwazji „zielonych ludzików”, jak w Donbasie? **Też nie.** „Zielone ludziki” to byli komandosi z doborowych rosyjskich jednostek, zawodowcy wojny, wyszkoleni na poziomie zbliżonym do żołnierzy naszego „Gromu”. Tymczasem, wedle projektu, obrona terytorialna Antoniego M. ma odbyć tylko krótkie, kilkutygodniowe szkolenie wojskowe...

I tu skorzystam z mojego doświadczenia trenerskiego. **Żeby wyszkolić wojownika – czy to żołnierza, czy to zawodnika sztuki walki – trzeba minimum 2-3 lat intensywnych ćwiczeń.** Taki wojownik szkolony przez rok jeszcze niewiele umie, a po szkoleniu przez miesiąc nie umie nic. Nie ma nawet elementarnej sprawności fizycznej. Owszem, może nauczyć się strzelać z kałasza na strzelnicy, ale niemal na pewno w nic nie

trafi na polu walki. Strzelnica to wygodna pozycja, nieruchoma tarcza, stała odległość od celu i spokój. Nic nie wybucha, nic się nie wali na głowę, żadne pociski nie lecą w naszą stronę.

Realna walka to zupełnie co innego. Nawet na treningu przed walką sportową można wspaniale wykonywać techniki, uderzenia, kopnięcia, rzuty – ale na macie czy na ringu podczas walki to już zupełnie inna bajka. W środowisku sportów walki są dwa istotne powiedzenia: „worki nie oddają uderzeń” i „zrobić można wszystko, tylko trzeba umieć i trzeba zdążyć”. Obydwa dotyczą też wyszkolenia wojskowego.

Reasumując: niewykształcona „cywilbanda”, słabo uzbrojona, wspomagana przez lotnie i awionetki, ma walczyć z czołgami, Mi-24 lub komandosami z jednostek specjalnych. W dodatku ma ona podlegać bezpośrednio Macierewiczowi, czyli człowiekowi, który nie ma żadnego pojęcia o dowodzeniu. Nawet jeśli po drodze będą zwodowi oficerowie, to mają wykonywać jego rozkazy, niekonsultowane ze sztabem generalnym. **Czyli wiódł ślepy kulawego na komendę pijanego.** Wojskowi, z którymi rozmawiałem, zgodnie uważają całe to przedsięwzięcie za czyste marnowanie czasu i pieniędzy, których brakuje na dozbrojenie i unowocześnienie armii.

Ale to nie jest jeszcze komplet poczynań ministra, wymieńmy więc:

- nocne najście na komórkę kontrwywiadu NATO i mianowanie jej szefem niejakiego Misiewicza, 26-letniego chłoptasia bez żadnego wykształcenia (tym bardziej w sprawach wywiadu wojskowego);
- zerwanie kontraktu na śmigłowce bojowe i pomysły zastąpienia ich cywilną wersją innych śmigłowców (bez nawigacji nocnej, noktowizji i całej zaawansowanej technologii wojskowej, na którą zgodę musi wyrazić Senat USA, a raczej nie wyrazi), śmigłowców o których budowie i zakupie nawet nie zaczęto jeszcze rozmowy;
- rewelacje z sufitu wzięte o przekazaniu okrętów mistral Rosji przez Egipt „za jednego dolara” (nawet nie trzeba sprawdzać, jaki interes miałby biedny Egipt w tym, by kupować okręty za olbrzymie pieniądze i przekazywać je za darmo państwu, które wcale nie jest jego sojusznikiem). Bzdura tak wielka, że żaden rząd nie raczył nawet na poważnie jej zdementować;
- wypowiedzi na temat kompetencji niejakiego Berczyńskiego, który miał ponoć „badać tysiące katastrof lotnictwa wojskowego w USA” (według instytucji amerykańskich nie badał żad-

nej). Aby to było możliwe, musiałyby badać kilkadziesiąt katastrof rocznie i żyć sto lat;

- rozgonienie Państwowej Komisji Badania Wypadków Lotniczych i zastąpienie ich „fachowcami” od „obłądu w oczach”, „gotowania parówek” i „zgniatania puszek”;
- przedziwna wypowiedź o „bronii elektromagnetycznej”, testowanej ponoć na Polakach w Zachodniopomorskim – czym ponoć MON „się zajmuje”.

I tak dalej i dalej...

Jeśli dodamy do kompletu postępowanie Antoniego po katastrofie w Smoleńsku (najpierw idzie do restauracji na obiad, a później wyjeżdża pociągiem, w którym karze zasłaniać okna)...

AŻ STRACH WYCIĄGAĆ WNIOSKI.

Pewien stary doktor mawiał: „jak się słyszy głosy, to się ich nie powtarza”. Nic dodać, nic ująć.

Nie to jednak jest w tej sprawie najgorsze.

Po pierwsze: **istnieje podejrzenie, że wojska obrony terytorialnej mają być w rzeczywistości partyjnymi bojówkami PiS**, rekrutowanymi spośród najbardziej radykalnej prawicy, w tym organizacji jawnie faszystowskich. To dlatego nie mają podlegać sztabowi generalnemu, tylko politykowi.

Po drugie: od dwóch lat obserwujemy narastanie napięcia na linii Rosja-NATO i narastanie zagrożenia wojną. W tej sytuacji **minister Macierewicz po prostu demoluje polską armię**. Wyrzuca kompetentnych oficerów, zastępując ich karierowiczami, marnuje pieniądze potrzebne na unowocześnienie uzbrojenia, właśnie pozbawił wojsko nowoczesnych śmigłowców; sprawia, że **jako minister nie jest w NATO traktowany poważnie**.

Ten człowiek, niezależnie od przyczyny takiego postępowania, jest dla Polski po prostu niebezpieczny.

Gdyby Putin chciał umieścić w MON dywersanta, to chyba lepszego by nie znalazł.

Czas na tortury. Ziobro chce KZ-tów

[29 października 2016 r.]

W cieniu bitwy o Trybunał Konstytucyjny, ustawy inwigilacyjnej, ustawy rolnej i innych wydarzeń, na których koncentruje się uwaga opinii publicznej, minister Zbigniew Ziobro, przy wsparciu większości parlamentarnej, wprowadza pozornie drobne zmiany w prawie karnym (k.p.k.), które mogą mieć wyjątkowo niebezpieczne konsekwencje w połączeniu z uchwaloną już i podpisaną przez Prezydenta ustawą o prokuraturze.

Zmiany te są tym groźniejsze, że **pozornie są niewinnymi korektami, a w istocie uderzają w podstawy państwa prawa, prawa obywatelskie i prawa człowieka.**

Zacznijmy od ustawy o prokuraturze. Art. 137 §1 i §2 tej ustawy mówią:

Art. 137 §1. Za przewinienia służbowe, w tym za oczywistą i rażącą obrazę przepisów prawa i uchybienia godności urzędu, prokurator odpowiada dyscyplinarnie (przewinienia dyscyplinarne).

§2. Nie stanowi przewinienia dyscyplinarnego działanie lub zaniechanie prokuratora podjęte wyłącznie w interesie społecznym.

Aby to przełożyć na język bardziej zrozumiały, znaczy to że:

– **prokurator za popełnienie przestępstwa w ramach działalności służbowej odpowiada tylko dyscyplinarnie, czyli nie ponosi odpowiedzialności karnej;**

– jeżeli popełnia przestępstwo „w interesie społecznym”, nie odpowiada wcale.

Szkopuł jednak w tym, że nie wiadomo, co to jest „interes społeczny”, bo w polskim prawie nie ma jego definicji. A więc istnieje całkowita dowolność interpretacji.

Ustawa ta stanowi także (art. 7 i art. 8), że prokurator musi wykonywać polecenia przełożonych, którzy mogą wymuszać na nim decyzje procesowe, mogą mu wręcz kazać kogoś oskarżyć, lub inne śledztwo umorzyć, nawet gdy prokurator uważa, że nie ma ku temu podstaw, a najwyższym przełożonym prokuratora jest minister, polityk z partii rządzącej (w tym wypadku Ziobro). Przełożony prokuratora (w tym Ziobro) może też zmienić każdą decyzję prokuratora (art. 8 §1)

W praktyce **ta suma przepisów ustawy pozwala prokuratorowi na bezkarne popełnianie przestępstw**, jeśli działa na polecenia lub choćby zgodnie z intencją przełożonych, w tym ministra, polityka partii rządzącej. Powiedzmy tu otwarcie: to nie Ziobro obecnie decyduje o działaniach prokuratury, lecz Jarosław Kaczyński.

Pomyślmy jeszcze, jakie przestępstwo może bezkarne popełnić prokurator? Ponieważ nie określono jakie, to każde, byle w myśl „interesu społecznego”, a co jest tym „interese społecznym” decyduje obecnie Kaczyński. A więc w „interesie społecznym”, a właściwie w „interesie kaczyńskim”, prokurator może także przesłuchiwanego bić, zastraszać, szantażować, może fałszować dokumenty i dowody.

Ale to nie wszystko. Zbigniew Ziobro zdołał już przeforsować zmianę w Kodeksie postępowania karnego stanowiącą, że **materiały dowodowe zdobyte w sposób nielegalny mogą być dowodami w sądzie**. Co więcej, **sąd nie może uznać takiego dowodu za niedopuszczalny**. **Warunek jednak, że śledczy nie może przesłuchiwanego zabić, ani spowodować jego uszczerbku na zdrowiu lub pozbawić go wolności (o ile już nie jest aresztowany lub zatrzymany)**. No, patrzcie Państwo, jak ta władza łagodna – wszystko może, byle nie zabił, nie skaleczył i nie porwał. Już samo sformułowanie w przepisach, że śledczy może działać bezprawnie, byle by tylko nie zabił, powinno wywołać alarm we wszystkich organizacjach i instytucjach stojących na straży praworządności i praw człowieka.

Art. 168a mówi, że:

Dowodu nie można uznać za niedopuszczalny wyłącznie na tej podstawie, że został uzyskany z naruszeniem przepisów lub za pomocą czynu zabronionego, o którym mowa

w art. 1 §1 Kodeksu karnego, chyba że dowód został uzyskany w związku z pełnieniem przez funkcjonariusza publicznego obowiązków służbowych, w wyniku: zabójstwa, umyślnego spowodowania uszczerbku na zdrowiu lub pozbawienia wolności.

Co to znaczy, że za pomocą czynu zabronionego, o którym mowa w art. 1 §1 Kodeksu karnego? Artykuł ten brzmi tak:

Odpowiedzialności karnej podlega ten tylko, kto popełnia czyn zabroniony pod groźbą kary przez ustawę obowiązującą w czasie jego popełnienia.

Przepiszmy to „z polskiego na nasze” czyli na język powszechnie zrozumiały: **sąd nie może nie uznać za niedopuszczalny dowodu tylko dlatego, że został uzyskany za pomocą czynu karalnego, czyli przestępstwa.**

Teoretycznie śledczy (jeśli nie jest prokuratorem, np. policjant), nie jest wyjęty spod odpowiedzialności karnej za działania przestępcze. Teoretycznie, bo kto go oskarży? Prokurator domagający się wydobycia zeznań, choćby i biciem, na polecenie Ziobry (o przepraszam! Kaczyńskiego)?

Powiecie Państwo, aż tak to nie, panie autorze, pan przesadza... Czyżby? Skoro można było użyć w kampanii wyborczej materiałów z afery podsłuchowej, a później szybciotko umorzyć śledztwo w sprawie tej afery, by przypadkiem nie wykryto mocodawców pana Falenty? Skoro pieniądze wyprowadzone ze SKOK-ów tak się przydały do finansowania prasowej szczujni, a po objęciu władzy błyskawicznie umorzono śledztwo na temat tego, gdzie się ta kasa podziała (drobne 5 miliardów, a co tam)?

To jest niezwykle chytre rozwiązanie. Prokurator, który na polecenie polityków nakazuje policjantowi torturowanie przesłuchiwanym (także świadków), pozostaje bezkarny. Policjant, wykonujący te polecenia, teoretycznie już nie, ale prokurator go kryje i śledztwa nie będzie. Ale gdyby ten policjant się buntował, to można mu wszczać wszystkie śledztwa o przestępstwa, które popełnił na polecenie prokuratora. Powiedzą Państwo, bardziej to przypomina mafię, niż państwo prawa. Ciepło, ciepło...

I co jeszcze ciekawe: przepis wyłącza z dopuszczalności dowód uzyskany w wyniku bicia lub porwania przez funkcjonariusza publicznego. A jeśli porwał i bił kto inny, np. „dorodna młodzież patriotyczna” (określenie J. Kaczyńskiego), a funkcjonariusz tylko spisał zeznanie? Wszak funkcjonariusz sam czynu karalnego nie popełnił.

Przepis mówi, że nielegalnie zebrane dowody muszą być przez sąd uznane za dopuszczalne, jeśli śledczy nie zabił, nie bił i nie więził bez postanowienia sądu. To już wiemy, czego nie wolno. A co zatem wolno na podstawie zbitki art. 7, 8 i 137 Ustawy o prokuraturze oraz art. 168a k.p.k.? Wolno, na przykład, stosować „konwejer” (wielogodzinne przesłuchania na przykład na stojąco, bez snu, bez jedzenia lub wody, z lampą w oczy)... Wolno stosować stójki w wymuszonych pozycjach – powiedzmy, na jednej nodze, albo w przysiadzie. Bić nie wolno, ale polewać zimną wodą, czemu nie? Albo podduszać torebką foliową, podtapiać, stosować groźby, szantaż. Dużo tego wolno.

Konwencja o Zakazie Tortur oraz Innego Okrutnego, Nieludzkiego lub Poniżającego Traktowania albo Karania, której Polska jest sygnatariuszem (jest u nas obowiązującym prawem), określa w art. 1 §1, co to są tortury:

(...)termin tortury oznacza wszystkie czyny, które przez dotkliwy ból lub cierpienie fizyczne lub psychiczne, są świadomie zadawane osobie w takich celach, jak uzyskanie od niej, lub od osoby trzeciej informacji lub zeznania(...).

Większość ludzi uważa, że tortury to musi być od razu wrywanie paznokci lub łamanie kołem. Wcale nie. Według definicji z tej konwencji, katalog tortur jest znacznie szerszy. Jeśli w czerwcu 1982 roku oficer milicji przystawił mi do głowy nabity i odbezpieczony pistolet (według art. 168a k.p.k. obecnie wolno), to już jest tortura, bo wywołuje strach, czyli cierpienie psychiczne. Konwencja definiuje: „cierpienie fizyczne lub psychiczne”. Torturą jest już groźenie porwaniem dzieci lub zastrzeleniem psa. Śledczy nie musi fizycznie bić, czy razić prądem. Nagminnie w historii naszej, w tym nie tak dawno jeszcze, stosowano takie metody, jak przesłuchiwanie na stojąco, nago (także wobec kobiet), umieszczenie w „celi wycisku” (bicie i gwałcenie nie przez śledczych, lecz przez więźniów), zbiorowe gwałty wobec kobiet (wedle nowelizacji Ziobry robić to wolno, bo się nie zabija i „nie powoduje uszczerbku na zdrowiu”), wymyślne stójki, wymyślne krępowanie (np. lewa ręka skuta za plecami z prawą nogą) i wiele innych. W stanie wojennym, chcąc zmusić mnie do uległości, umieszczono mnie na kilka dni w jednej celi z chłopakiem czekającym na wykonanie kary śmierci. Po co? Żebym oglądał jego strach i słyszał jego krzyk, gdy wyciągali go z celi. Ot, taka drobna „pieszczota”.

Wiele wymyślnych tortur wcale nie wymaga bicia, lub zadawania ran. Pomysłowość ludzka w tej dziedzinie jest ogromna.

Art. 15 Konwencji o Zakazie Tortur mówi:

Każde Państwo-Strona zapewni, by jakiegokolwiek oświadczenie, co do którego ustalono, iż zostało złożone w rezultacie tortur, nie było powoływane jako dowód w jakimkolwiek postępowaniu(...).

U nas właśnie wprowadzono zasadę odwrotną.

Ale wesoły pan Zbyszek ma jeszcze dalsze pomysły. Na razie to zapowiedzi. A więc pan Ziobro ogłasza, że „więźniowie będą pracować”. Ziobro jeszcze w więzieniu nie był, więc nie wie, że więźniowie chcą pracować, bo dzięki temu mniejsza jest monotonia odsiadki, można zarobić na „wypiskę” i na spłatę różnych należności, czy zasądzonych grzywien lub odszkodowań. Problem polega na tym, że w warunkach sporego ciągle bezrobocia, o pracę dla więźniów trudno. Ziobro chce jednak, by pracowali za darmo. Powiedział, że „będą budować hale fabryczne”. Po co? Nikt o zdrowych zmysłach nie buduje najpierw hali, jeśli nie wie, co ma być w niej produkowane i jak to sprzedać. Wygląda więc na to, iż celem tego „budowania hal” ma być praca katorżnicza, która nie ma niczemu służyć, poza znęcaniem się nad ludźmi. Wygląda na to, że Ziobro chce obozów pracy, KZ-tów. My to już znamy. W ZSRR więźniowie budowali Kanał Białomorski, który od początku nie był do niczego potrzebny (łączył jezioro Ładoga z Morzem Białym – jedno i drugie przez pół roku zamarza – droga wodna z nikąd do nikąd). Zmarły przy tym tysiące ludzi, a kanał okazał się za wąski i za płytki i chyba nie przepłynął nim nigdy żaden statek. Tak się kończy pomysł: budować, a po co, to się zobaczy.

Ustawę o zmianach w k.p.k. zaskarżył do Trybunału Konstytucyjnego Rzecznik Praw Obywatelskich, ale skupił się głównie na innym problemie, zezwoleniu na niemal nieograniczoną inwigilację i uznawaniu zdobytych nielegalnie dowodów za pomocą bezprawnej inwigilacji, a więc na art. 168b (a nie 168a) oraz na art. 237a. Tymczasem to zbitka artykułu 168a z omawianymi już artykułami ustawy o prokuraturze (art. 7, 8 i 137) jest moim zdaniem znacznie groźniejsza w skutkach. Ten stan prawny nie tylko pozwala na brutalne wymuszanie zeznań i tortury, ale wręcz do tego zachęca. **Z doświadczenia wieloletniego działacza obro-ny praw człowieka wiem, że nawet drobne przyzwolenie państwa na łamanie prawa przez resorty siłowe, bywa niezwykle ochoczo przez**

nie wykorzystywane i nadużywane. Takie praktyki bardzo szybko ulegają rozlaniu się na znacznie większą skalę. Nie rozumiem, dlaczego tego „dzieła” nie zaskarżyła żadna partia polityczna.

Na całe szczęście, PiS jeszcze nie podporządkował sobie sądów. Sąd, choć musi dopuścić taki dowód, to ciągle ma swobodę jego oceny. Ale nie cieszymy się za bardzo. Obecne prawo pozwala trzymać człowieka w więzieniu miesiącami, a nawet latami, nim stanie przed sądem. Coś mi to przypomina. W stanie wojennym SB-ek powiedział mi: „my panu zrobimy wyrok dokonany, posiedzi pan tak długo w areszcie, że sąd to będzie musiał przyklapać”.

Nawet jeśli Trybunał Konstytucyjny te rozwiązania obali, to Jarosław Kaczyński już zapowiedział, że jego wyroki nie będą publikowane. Przypomnę czytelnikom, iż **zasadę, że każdy akt prawny musi być opublikowany na piśmie wprowadzono w Polsce w 1505 roku, a zasadę zakazującą stosowanie tortur i nieuznawania wymuszonych zeznań za dowody w sądzie, w roku 1776.** A my mamy – podobno – wiek XXI...

Obecne władze wręcz nadgorliwie klęczały i biły pokłony papieżowi Franciszkowi. Ale cóż, wyjechał Franciszek, a został Zbyszek.

Suweren sam się odwiedził

[16 grudnia 2016 r.]

Swego czasu, w 1980 roku, Andrzej Zaorski ułożył taką bajeczkę – o ile wiem, nigdy nie publikowaną. Znam ją bezpośrednio od autora, z tak zwanego „przekazu ustnego”.

Oto ona:

Byli sobie Lech, Czech, Rus i Enerdowiec. No, tego ostatniego to nam dopisano. A więc byli Lech, Czech i Rus. Szli sobie razem aż doszli do pięknego kraju, pełnego gór i lasów.

– Tu mi się podoba, tu będzie mój dom, tu zostanę – powiedział Czech i został.

A Lech z Rusem szli dalej. Przeszli przez góry i zobaczyli kraj pełen łąk i lasów.

– Tu mi się podoba, tu będzie mój dom, tu zostanę – powiedział Lech i został.

A Rus szedł dalej i szedł, i dokąd doszedł? Do Afganistanu.

Ale to było później. Bo wcześniej raz przyszedł Rus do Lecha i odwiedzili Czecha.

Podobno, po wprowadzeniu stanu wojennego, Andrzej dorobił do tej bajeczki jeszcze jeden akapit:

A na koniec to Lech wyciął wszystkim numer: sam się odwiedził!

Wybacz Andrzej, jeśli coś przekręciłem, ale piszę z pamięci.

No i cóż my mamy teraz? Wypadałoby teraz dopisać kolejne zdanie po roku rządów PiS, rządów wybranych przez suwerena:

Ale to wcale nie był koniec. Po 35 latach Lech znowu sam się odwiedził!

No cóż? Tylko czy ten suweren ma świadomość, że sam się odwiedził? Że wybrał władzę, która łamiąc wszelkie prawa – od Konstytucji poczynając – dokonała zamachu stanu i ustanowiła dyktaturę? Bo zamach stanu już się dokonał. Może się tylko pogłębiać, ale już jest dokonany. **Powiedzmy to otwarcie: Polska nie jest już demokratycznym państwem prawnym. Jest bezprawną dyktaturą Jarosława Kaczyńskiego.**

Ale, jak to mawiał Stefan Kisielewski,

(...) nie to jest najgorsze, że jesteśmy w czarnej dupie, ale to, że zaczynamy się w niej urządzać.

Wańkowicz nazwał to zjawisko „kundlizmem”. A kundlizm, proszę Państwa, kwitnie. Mamy Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich opanowane przez PiS-owców, którego zarząd wyraźnie się cieszy z niszczenia wolności mediów i nie protestuje. Może powinni pozbawić Stefana Bratkowskiego honorowego członkostwa i zmienić nazwę na: Konfraternię Lizusów i Klakierów, w skrócie KLiK.

Mamy też nową „Solidarność” panów Śniadka i Dudy (Piotra) – osobliwy związek zawodowy, który działa na szkodę kraju i interesów pracowników, pluje na własną historię i własnych bohaterów, za to ochoczo łąsi się do dyktatorskiej władzy. Może też powinien zmienić nazwę: zamiast NSZZ (Niezależny Samorządny Związek Zawodowy) na Podległy Lizusowski Klub Klakierów (PLKK). No i nie „Solidarność”, tylko „Uległość”.

Przejawów kundlizmu jest więcej. Tylko 6 księgarń w Polsce sprzedaje „Raport Gęgaczy”, ale w niemal każdej stoi „Porozumienie przeciw monowładzy”, czyli fałszywa autobiografia Jarosława Kaczyńskiego. W wielu punktach sprzedaży prasy nie ma już „Gazety Wyborczej”, „Newsweeka” i „Polityki”, ale jest cała PiS-owska szczybnia. „Strach, strach, rany boskie...” Tylko czy strach, czy kundlizm?

Kiedy wprowadzono obowiązek rejestracji telefonów na kartę, czyli odebrano nam część wolności, natychmiast pojawiły się reklamy operatorów zachwalające, jak to wspaniale rejestrować się akurat u nich.

Wyobrażam sobie, że **jeśli właśnie ustanowiona dyktatura wyda nakaz dobrowolnego zakuwania się w kajdanki, natychmiast pojawiają**

się reklamy producentów kajdanek. Będą zachwalać nowe modele, kajdanki z wbudowanym zegarkiem, z aplikacją na smartfona, z brylancikami dla pięknych kobiet. Zostanie tylko przemianować Bal Dziennikarzy na Bal Kajdaniarzy.

Zapytałem, czy suweren ma świadomość, że sam się odwiedził? Pytam jeszcze, czy urządzając się po kundlowsku „w czarnej dupie”, nie czuje się obrzydzenia?

Zamiast zastanawiać się, co to będzie, jak dyktator zabroni nam legalnie demonstrować, jak całkowicie zlikwiduje wolność słowa, trzeba powiedzieć jasno: **Dyktatura jest nielegalna.** PiS uzyskał mandat wyborców do rządzenia w demokratyczny i prawny sposób, a nie do popełniania przestępstw i dokonywania zamachu stanu. Jeśli dokonaliście zamachu stanu, to nie społeczeństwo przestało być legalne – to wy przestaliście być legalnie ustanowioną władzą.

Jak nisko można upaść?

[20 grudnia 2016 r.]

Nie wyobrażałem sobie w najczarniejszych nawet snach, że „Solidarność” może wystąpić w roli ZOMO.

Usłyszałem przed chwilą skandaliczną wypowiedź Piotra Dudy. Przewodniczący tego, co zostało z wielkiej niegdyś „Solidarność”, oświadczył, że wyprowadzi swój związek na ulicę przeciw obecnym protestom i że „policzymy się z wami na ulicach”.

Związek zawodowy „Solidarność” w latach 1980-89 walczył nie tylko o płace i poziom życia, ale także – a może nawet przede wszystkim – o prawa obywatelskie, o wolność, wolne media, wolność wypowiedzi, demokrację, niezawisłe sądy, niezależne politycznie prokuratury. Wśród postulatów zawartych w programie „Solidarność”, przyjętym na pierwszym walnym zjeździe w 1981 roku, był postulat powołania niezależnego od władzy wykonawczej i ustawodawczej Trybunału Konstytucyjnego. Słowem, ta wielka „Solidarność” walczyła dokładnie o to, o co walczą dziś członkowie i sympatycy KOD i wszyscy inni protestujący obecnie przeciw poczynaniom polityków PiS.

Co więcej, ogromna część członków i sympatyków KOD – myślę, że nawet ponad połowa – to dawni członkowie tej pierwszej „Solidarność”. Gdy na kilku z kolei wiecach i spotkaniach KOD zadawałem pytanie: „*kto z was należał do „Solidarność” lub „NZS” w latach 1980-81?*”, podnosiło się mrowie rąk, w mojej ocenie 60-70%. Ostatnio zadałem to pytanie ze sceny podczas wiecu 13 grudnia. Rezultat obecni widzieli.

Piotr Duda, znany jest od dawna jako bezkrytyczny klakier – wręcz liuz – wszelkich pomysłów PiS i obecnej władzy. Piotr Duda ma prawo

mieć inne niż my zdanie. Ma prawo demonstrować to zdanie, ale **groźnie „policzeniem się na ulicach” ze społeczeństwem walczącym o wolność, państwo prawa i demokrację, w ustach związkowca, to absolutny skandal.** Tym bardziej robienie ze związku zawodowego bojówki przeciw społeczeństwu, czy nawet samo groźenie wystąpieniem w roli bojówki, jest nie tylko złamaniem prawa, jest otwartą zdradą wszystkich najważniejszych ideałów „Solidarności”.

Strajkując w sierpniu 1980 roku, biorąc udział w tworzeniu Solidarności, konspirując w podziemiu, siedząc w więzieniu za ideały „Solidarności”, nie wyobrażałem sobie w najczarniejszych snach, że „Solidarność” może wystąpić w roli ZOMO, że będzie ktoś, kto wpadnie na pomysł skierowania związku zawodowego przeciw Polakom, a w obronie niszczącego Polskę rządu. W dodatku w obronie rządu takiej partii, która od dawna opluwa największych bohaterów „Solidarności” i na ich miejsce kreuje bohaterów fałszywych.

Krzysztof Łoziński

(ciągle jeszcze członek honorowy NSZZ „Solidarność”)

Kto to jest „śmy”?

[23 grudnia 2016 r.]

„Śmy” to najbardziej tajemniczy element wywiadu Kaczyńskiego dla agencji Reuters.

Jarosław Kaczyński, wypowiadając się na temat gospodarki, raczył powiedzieć:

Podważamy cały [dotychczasowy] mechanizm gospodarczy i chcemy go zakończyć. (...) Traciliśmy miliardy(...), [a obecnie] jesteśmy świadkami buntu przeciwko temu, że po prostu zabieramy pieniądze elitom, które je gdzieś zagrabiły i podzieliły [między siebie].

Tak w skrócie brzmiały najważniejsze stwierdzenia wywiadu Prezesa na temat gospodarki. Poza oczywistym cynizmem i pogardą dla współobywateli, zawartej w wypowiedzi:

Byłbym skłonny zdecydować się na jakieś spowolnienie wzrostu ekonomicznego, jeżeli byłoby ono ceną przeforsowania mojej wizji Polski(...),

a cała reszta to jakiś koszmarny bełkot człowieka, który chyba nie umie nawet policzyć od jednego do dwóch. W tym wszystkim brak elementarnej logiki i kontaktu z rzeczywistością.

Zacznijmy od „traciliśmy miliardy” – oczywiście przez ten „cały [dotychczasowy] mechanizm gospodarczy”. Po pierwsze: jacy „śmy”? To

znaczy kto? Kraj, budżet państwa, społeczeństwo, wszystko razem? Nie wiadomo. Wiadomo tylko, że jacyś „**śmy**” tracili, bo „*elity(..) zagrabiły pieniądze*”. Wiadomo też, że „*zabieramy pieniądze elitom*”. Co ciekawe, ten wywód ma uzasadniać fakt, że gospodarka zwalnia i Kaczyński gotów jest to zaakceptować, jeśli dzięki temu spełni się jego „*wizja*”, wiemy czego: zostania dyktatorem.

Zaraz, zaraz...! Mechanizm gospodarczy był zły, przez to traciliśmy miliardy, które kradły elity, a teraz te pieniądze tym elitom zabieramy i dlatego gospodarka zwalnia i trzeba to zaakceptować(!?). Czyli w skrócie: ponosili**śmy** straty, gdy gospodarka rozwijała się **szybciej**, teraz te straty „**śmy**” odzyskujemy i dlatego gospodarka rozwija się **wolniej!**

Czyli:

X-1 > X+1

Rewelacja! Chyba się komuś pedał gazu z hamulcem pokićkał! Może tym „**śmym**”.

Zastanawiałem się przy tej okazji, czy słyszałem już równie cyniczną wypowiedź, niż zgoda na „*spowolnienie wzrostu ekonomicznego, jeżeli byłoby ono ceną przeforsowania mojej wizji*”? Owszem słyszałem. Wiele lat temu w Kalkucie przeprowadziłem wywiad z przewodniczącym jednej z partii komunistycznych, która wówczas rządziła w Bengalu Zachodnim (Indie). Usłyszałem od niego: „nie możemy likwidować obszarów skrajnej biedy, bo to nasz największy elektorat”.

I teraz już wszystko rozumiem. Genialne! Stąd jest deforma (przeciwnieństwo reformy) minister Zalewskiej. PiS nie może nie niszczyć edukacji. Potrzebuje jak najwięcej głupich, bo to jego największy elektorat!

A do kompletu, pełna szczerłość: Kaczyński stwierdził, że zmiany w Trybunale Konstytucyjnym „były potrzebne, żeby nie blokowano rządowych projektów”. A prezydent rzecz uzupełnił: „nie po to jestem prezydentem, by opozycja wygrała”.

No i wszystko jasne, choć wcale nie wesołe.

Bydło na salonach

[4 stycznia 2017 r.]

Motto:

*Byliśmy lwami i lampartami, po nas przyszły osły i barany.
Giuseppe Tomasi di Lampedusa, „Lampart”*

Gdy wsłuchamy się w propagandę partii niemiłościwie nam rządzącej, dowiemy się, że źródłem wszelkiego zła – wręcz samym złem wcielonym – są „elity” i „establishment”.

Zacytujmy Słownik Języka Polskiego (PWN), co te terminy znaczą.
Elita to

(...)grupa ludzi wyróżniająca się lub uprzywilejowana w stosunku do reszty społeczeństwa ze względu na posiadanie pewnych cech lub dóbr cenionych społecznie. Elita naukowa, artystyczna, intelektualna.

Establishment to

(...)grupa osób mających władzę i autorytet, wywierających wpływ na życie publiczne. Artystyczny, bogaty establishment”.

No to jesteśmy w domu. Wrogiem PiS-u jest „grupa ludzi wyróżniająca się lub uprzywilejowana w stosunku do reszty społeczeństwa” oraz „grupa osób mających władzę i autorytet, wywierających wpływ na życie

publiczne". No dobrze, powie ktoś, ale przecież politycy PiS to też „*grupa ludzi wyróżniająca się i uprzywilejowana w stosunku do reszty społeczeństwa*”, oraz „*mających władzę i wpływ na życie publiczne*". No to o co chodzi?

Uważny czytelnik zapewne zauważył, że zdania te nie są do końca takie same. Owszem, PiS to „*grupa ludzi wyróżniająca się i uprzywilejowana w stosunku do reszty społeczeństwa*”, ale nie „*ze względu na posiadanie pewnych cech lub dóbr cenionych społecznie*”, tylko dzięki dorwaniu się do władzy metodą oszukiwania społeczeństwa, szczucia, zmasowanego kłamstwa i chamskich zagrywek. Zwycięstwo PiS-u nie wyrosło na bazie „*cech cenionych społecznie*”, tylko dzięki odwoływaniu się najgorszych cech ludzkiej osobowości: do nienawiści, zawiści, rasizmu, ksenofobii, nieuctwa i głupoty. Tym właśnie się ta „*jelita*” różni od „*elity*”.

Podobnie z establishmentem. PiS dobrze wie, że do bycia establishmentem brakuje mu jednego, ale istotnego elementu: autorytetu. Obie słownikowe definicje nie pozostawiają wątpliwości, o jaki „autorytet” chodzi: „*naukowy*”, „*artystyczny*”, „*intelektualny*”... Oczywiście, wedle definicji establishment jest też „*bogaty*”, ale chyba nie tego ludziom PiS-u brakuje. Politycy PiS-u na pewno do biednych nie należą.

Propaganda PiS głosi też, że samym złem są ludzie którzy „utracili władzę i przywileje”, a samym dobrem są ludzie, którzy dorwali się do władzy i przywilejów. Ta dość osobliwa logika wyrażona została niedawno przez Prezesa Wszystkich Prezesów w wywiadzie dla agencji Reuters: „*Traciliśmy miliardy(...), [a obecnie] po prostu zabieramy pieniądze elitom, które je gdzieś zagrabiły*”. Toż to typowa logika Kalego: oni zabierali nam (to źle), a my im zabieramy (to dobrze). Przypomnijmy jeszcze, że nie ma tu mowy o bogatych, czyli establishmentie, bo w definicji elity nie ma mowy o „*bogactwie*”, tylko o cechach cenionych społecznie, naukowych, artystycznych, intelektualnych. Oczywiście to, że naukowcy, artyści i intelektualiści „*zagrabili miliardy*” istnieje tylko w chorej wyobraźni Prezesa.

Ale idźmy dalej: „wymieniamy elity” mówi Prezes i wtóruje mu dawny miłośnik cudzych adidasów oraz wzorzec cnót moralnych i religijnych, który niegdyś kradł radia z samochodów „*z pobudek patriotycznych*”.

Otóż, jak się coś wymienia, to wypadałoby powiedzieć na co. W starym sowieckim dowcipie „pomieniali” parowóz na wódkę. Tym razem podobnie – wymienia się naukowców, artystów i intelektualistów na posła-fryzjera, który nie słyszał o Carycy Katarzynie, wychodzi się demonstracyjnie z sali, gdy Sejm ma uhonorować Andrzeja Wajdę, Sejm przynosi się do kanciapy...

– *Co to dziś za Wersal* – pytały zajęce.

Odezwał się jeden:

– *Wybaczenie, że wtrączę: gdy bydło w salonie, to salon na łące.*

Zobaczyć Piotrowicza... bezcenne!

[9 lutego 2017 r.]

W sobotę 4 lutego, jako przedstawiciel Zarządu Głównego, obserwowałem wybory regionalne KOD w Rzeszowie. Nazajutrz, 5 lutego, samolotem LOT o godzinie 9.05, mam wracać do Warszawy, a stamtąd autobusem do siebie, na Mazury.

Jadę z hotelu na lotnisko taksówką. Lotnisko jest daleko od miasta i rachunek wynosi ponad 80zł. Tego się nie spodziewałem. Myślałem, że jak mam 70 złotych w gotówce to wystarczy. Po drodze rozmawiałem z sympatycznym kierowcą. Wiedział, że będę chciał rachunek na Stowarzyszenie KOD. Gdy podjeżdżamy pod lotnisko, mówię: *„Tu chyba jest jakiś bankomat? Bo ja mam w gotówce tylko 70 złotych, a rachunek to 82 złote”*.

A kierowca na to: *„Nie szkodzi, dla koderów mam zniżkę”*.

Sympatycznie się ranek zaczął. Gdy jestem już w hali odlotów pod bramką nr 3 i czekam na odprawę, dzwoni Agnieszka, moja żona. W domu jakaś niezrozumiała awaria sterowania piecem zasympowym i całą instalacją CO. Jest przerażona, bo temperatura płynu w instalacji przekroczyła już 85 stopni i nadal rośnie – grozi wybuch kotła. Agnieszka jest kompletnie „nietechniczna”. Poza tym nie potrafi mi dokładnie zrelacjonować, co się dzieje. W panice majstrowała coś w ustawieniach elektroniki pieca, ale nie pamięta już co i jak. Usiłuję z pamięci ustalić, jak wygląda instalacja i wymyślić na poczekaniu jaka może być przyczyna. A jest już nerwowo, bo mimo wyłączenia pieca temperatura nadal rośnie (pali się jeszcze kominek, którego płaszcz wodny jest w tym samym obiegu). W końcu, po wytłumaczeniu Agnieszce, gdzie są bezpieczniki

i sprawdzeniu, czy nie są wywalone, dochodzę do konkluzji, że musi nie działać pompa CO, choć nie wiem dlaczego. Przez telefon, kobiecie która zna się na technice na tyle, na ile inżynier Binienda zna się na fizyce i samolotach, tłumaczę jak odłączyć zasilanie pompy od pieca i jak ją na krótko podłączyć do prądu.

Wreszcie zadziałało, temperatura spada, ulga.

I wtedy pojawia się Stanisław Piotrowicz. Idzie wyraźnie na ten sam samolot do Warszawy. W czarnym płaszczu i czarnym kapeluszu. Tak, to ten czołowy harcownik PiS, były komunistyczny prokurator, metr sześćdziesiąt pięć w porywach i klata jak lej po bombie. Wszystko się zgadza.

Nagle mnie zobaczył. Na moment stanął, jakby wpadł na szybę. I zmienił kierunek. Nie poszedł usiąść na krzeselkach pod bramką numer 3, tylko dalej, pod wyjście, skąd żaden samolot nie miał być odprowadzany.

Nie widziałem jak wsiadał do samolotu. W samolocie siedział na samym końcu. Na Okęciu wsiadam do lotniskowego autobusu. Jako ostatni wsiada Piotrowicz. Kapelusz na oczy i twarzą do ściany. Gdy drzwi się otwierają, rusza szybkim krokiem do przodu. O nie idzie – on zwiewa z lotniska. Gdy dość szybkim krokiem docieram do wyjścia, już go nie widać.

Miło dzień się zaczął, a potem było coraz śmieszniej...

Ktoś mi powiedział, że operacja demolowania Polski ma w PiS-ie kryptonim: „Regulacja Wisły” czyli „osiągnąć dno nie odrywając się od koryta”.

I to by było na dziś tyle.

Sędzia ma sędzić a Prezes nim rządzić

[15 lutego 2017 r.]

W najbliższych dniach ma wejść pod obrady Sejmu skandaliczny projekt ustawy autorstwa Ziobry, który przywróci polityczną dyspozycyjność sądów, jak za czasów PRL. Młodsze pokolenie, które tego szczęścia nie zaznało, zdaje wie kompletnie nie rozumieć, o co chodzi.

Nowelizacja ma spowodować, że większość członków Krajowej Rady Sądownictwa ma być wybierana przez Sejm, czyli w praktyce przez posłów PiS (czytaj: Jarosława Kaczyńskiego), a ustawa ma być podpisywana oraz publikowana przez dwa zdalne długopisy marki „Duda” i „Szydło”. Pozwoli to Kaczyńskiemu, Ziobrze, Jakiemu i paru innym, na ręczne sterowanie sądami, wymienianie sędziów na dyspozycyjnych, a nawet na dyktowanie sądom wyroków.

Ponieważ, jak już napisałem, młode pokolenie kompletnie nie kojarzy, co oznacza polityczna dyspozycyjność sądów, postaram się rzecz przybliżyć na przykładach.

Zacznę od drobiazgów.

Nie pamiętam już, w którym to było roku, ale podczas zakończenia ostatniego etapu „Wyścigu Pokoju” na stadionie w Warszawie, doszło do bijatyki publiczności (wcale nie kiboli) z milicjantami. Zostałem wówczas ukarany przez Kolegium ds. Wykroczeń karą grzywny za „stał i nie chciał się rozejść”. Podstawą było zeznanie ZOMO-wca: „Myśmy bili, a oni nie chcieli się rozejść”.

Innym razem, z niezującym już Bogdanem Zalegą, napisaliśmy niecenzuralne słowo na plakacie głoszącym: „Wyborco, czy sprawdziłeś się na liście wyborców?”. Podziemie polityczne wzywało wówczas do

bojkotu wyborów (nieuczciwych). Kolegium orzekło: „Stał i się przepychał”. Grzywna, o ile pamiętam, 2000 zł (wówczas niezła pensja).

W stanie wojennym, a właściwie już „wisielczym” (bo w stanie „zawieszenia stanu wojennego”), zostałem skazany przez Sąd Rejonowy dla Warszawy Woli na 1,5 roku bezwzględnego więzienia za „kierowanie nielegalnym związkiem”, który miał dokonywać „akcji terrorystycznych na funkcjonariuszach MO, kradzieży urządzeń poligraficznych z państwowych zakładów pracy i innych akcji sabotażowo-dywersyjnych”. Uzasadnienie ustne brzmiało: „**W czasie rozprawy nie udowodniono czynu karalnego, ale oskarżony działał z dużym natężeniem złej woli. Sąd wziął pod uwagę, że braki w materiale dowodowym wynikają z uprzejmej odmowy zeznań oraz arogancji oskarżonego świadków**”.

W uzasadnieniu pisemnym ten sam sędzia napisał, że organizacja, za którą mnie skazał „nie istniała”, a w akcie oskarżenia było: „celem działania oskarżonego było przywrócenie swobód demokratycznych”. Wyrok, przypominam, półtora roku kicia.

Nie śmieć się młodziki, nie śmieć się, bo to wcale nie jest śmieszne. PRL wraca szybkimi krokami.

Ale, żeby nie było, że tylko mnie dotyczyły takie pieszczoty, przypomnę sprawę z Warszawy, z 1977 roku. Posłużę się tu skanami dwóch stron z „Raportu Madryckiego” Komisji Helsińskiej:

- 93 -

W pierwszym dniu Wielkanocy ok. 13,00 oskarżeni wrócili tramwajem linii 19 ze świątecznego śniadania u rodziny. Wysunięta strytowo proteza inwalidy Cyburskiego spowodowała sprzeczkę między jedną pasażerką tramwaju a oskarżonym i stającą w jego obronie przed pretensjami pasażerki Zofią Flaskotą. W sprzeczkę wkroczył nagle mąż pasażerki oświadczając, że jest oficerem MO /był to późniejszy świadek oskarżenia sierż. MO Zdzisław Wiśniewski/, i sądząc od inwalidy i Zofii Flaskoty, aby z nim wysiedli. Podczas rozprawy sierż. Wiśniewski cały czas wyrażał się o swojej żonie jako o "pasażerce" lub "kobiecie", w której obronie stanął. Stwierdził, że oskarżeni zachowywali się wobec niej niegrzecznie.

Ryszard Cyburski i Zofia Flaskota odmówili wykonania rozkazu Wiśniewskiego. Wówczas inny pasażer tramwaju, którym okazał się funkcjonariusz WSW Pierschała /świadek oskarżenia/, wezwał na pomoc milicjantów z posterunku na Dworcu Centralnym. Na polecenie sierż. Wiśniewskiego Zofii Flaskocie i inwalidzie Cyburskiemu skuto z tyłu ręce i siłą wyciągnięto ich z wozu. Nie pozwolono odejść również Elżbiecie i Jerzemu Sobistom, którzy wprawdzie nie wzięli udziału w sprzeczce z żoną sierż. Wiśniewskiego, ale znajdowali się w towarzystwie oskarżonych i usiłowali stawać w ich obronie wobec brutalnej interwencji MO.

Świadek sierż. Wiśniewski zeznał w sądzie, że w tramwaju był przez oskarżonych bity i kopany /także przez inwalidę Cyburskiego/. Przedstawił wyniki obdukcji zadrapania nosa. Na wyrażoną przez sąd wątpliwość, czy inwalida bez jednej nogi mógł go kopać, Z. Wiśniewski odpowiedział: "niech zostanie, że nie kopał".

Według zeznań świadków - milicjantów oskarżeni stawiali opór podczas wyciągania ich z tramwaju. Sierżant Wiśniewski przyznał, że interwencji nie dokonywano "w białych rękawiczkach". Czterech funkcjonariuszy wlokło Zofię Flaskotą, dwu - Cyburskiego, oboje ze skutymi rękami. Z pomocą funkcjonariuszem wlokącym inwalidę pośpieszył przebiegający lekarz PCK Bechowiec.

Na posterunku Dworzec Centralny oskarżeni zostali akstwowani. Zofii Flaskocie wybito ząb, wyrwano z głowy pęk włosów /na przestrzeni wielkości dużej 5-złotówki/, wskutek uderzeń doznała ograniczenia słuchu. Wyników jej obdukcji przez trzy miesiące areszt śledczy nie przesłał sądowi. Po licznych pomaganiach obroncy obdukcja doszła przed ostatnią rozprawą. Zawierała tak pobieżny opis obrażeń, że obrońca zakwestionował jej rzetelność. Elżbiecie Sobisz uderzeniem w twarz strącono okulary, które sierż. Wiśniewski rozdeptał, a gdy krzyknęła "jesteście gorsi jak gestapo", skuto ją i katowano w oddzielnym pokoju /przez dwa

tygodnie nie była zdolna do pracy/. Usiłujący jej przyjść z pomocą mąż Jarzy Sobisz został związany w kaftan bezpieczeństwa, a jego głową bito w ścianę. Zeznał on na rozprawie, że gdy doprowadzono go na posterunek, inselida Gyburaki leżał nieprzytomny w kałuży krwi na podłodze. Cybur-ski przedstawił obdukcję lekarską; stwierdzającą liczne siłose, w tym także na głowie i podbrzuszu.

Zofię Plaskotę i Jerzego Sobisza zatrzymano na 2,5 miesiąca w areszcie, przy czym Jerzemu Sobiszowi odnowiono dokonania obdukcji.

Mimo złożonego przez oskarżonych zażalenia na bestialskie obchodzenie się z nimi, prokurator nie zajął w tej sprawie żadnego stanowiska. Przeciwnie: skonstruował akt oskarżenia, powołując na świadków zajęcia - obok innych funkcjonariuszy MO i MSW - również sierż. Zdzisława Wiśniewskiego, sierż. Ryszarda Komodę i funkcjonariusza MSW Zygmunta Chybowskiego, a więc bezpośrednich sprawców pobicia oskarżonych. Podczas rozprawy obrońca oskarżonych dr Witold Lis-Olszewski wniósł sprzeciw wobec zachowania się świadka Wiśniewskiego, który na korytarzu sądowym nakłaniał motorniczych do zeznań potwierdzających jego wersję wydarzeń. W odpowiedzi na sprzeciw obrońcy Z. Wiśniewski wyjaśnił, że rozmawiał ze świadkami o sprawach czysto osobistych, ponadto jest człowiekiem na stanowisku, a nie byle g.... i ma także samo prawo do rozmów ze świadkami, jak adwokat, który rozmawia z oskarżonymi.

Sąd nie wyciągnął wniosków zni ze skargi na ciężkie pobicie ludzi o nienaganych opiniach przez funkcjonariuszy MO, którzy nie zaprzeczali nawet, że tego pobicia dokonali - ani z faktu, że ciężko pobici stanęli przed sądem jako oskarżeni - ani wreszcie z groteskowej sytuacji, w której świadkami oskarżenia są sprawcy tego ciężkiego pobicia, tak pewni w dodatku swaj bezkarności, że - jak sierż. Wiśniewski - nie wahają się używać przed sądem wyrażań drastycznie wulgarnych.

Wymierzone oskarżonym kary od 6 miesięcy do 1 roku więzienia z zawieszaniem na 2 lata i grzywny, z których po zaliczeniu aresztu /Zofii Plaskocie i Jerzemu Sobiszowi/ pozostało do zapłacenia po 500 i 7000 zł.

22 marca 1978 r. przed Sądem Wojewódzkim w Warszawie odbyła się rozprawa rewizyjna. Komplet sędziowski w składzie: przewodnicząca Helena Kopytowska oraz sędziowie Tadeusz Kasprzyk i Henryk Szczepański - podtrzymał wyrok niższej instancji. Sędzia Kopytowska uzasadniając wyrok stwierdziła, że w jej przekonaniu czyn miał znamiona chuligańskie.

Podczas rozprawy sędzia Kopytowska nagawiała możliwość pobicia oskarżonych przez milicję, gdyż żaden ze świadków /na dziesięciu świadków - siedmiu milicjantów/ tego nie potwierdził.

Ale to jeszcze nie rekord. Mój nieżyjący już przyjaciel Janek Walc (znaliśmy się całe życie, od dziecka, a nasi rodzice znali się jeszcze z Powstania) opisywał – jako obserwator KOR-u – sprawę wiceprokuratora generalnego R., który raczył po pijaku zastrzelić małe dziecko. Pan prokurator R. pojechał na polowanie do leśniczówki. Poprzedniego dnia, w okresie ochronnym, zastrzelił dwa jelenie i ich skóry powiesił na płocie leśniczówki. W nocy pogryzły te skóry psy leśniczego, więc pan R. postanowił psy zastrzelić. Siedział więc od rana ze strzelbą przy ognisku i pił wódkę. Jak zeznał na procesie, wypił parę butelek tego napoju. W pewnym momencie w bramie posesji stanęło małe dziecko, syn leśniczego. Pan R. wziął je za psa i strzelił. Zabił na miejscu.

Funkcjonariusze milicji stwierdzili w jego krwi poziom alkoholu „0,0%”, choć sam oskarżony zeznawał o paru butelkach gorzały. Zeznając zaznaczył z dumą, że ognisko rozpałał zapalniczką marki Ronson (niech chamy wiedzą, że nie było czym!). Wyrok był wręcz symboliczny i – o ile pamiętam – w zawieszeniu (opisuję z pamięci, więc nie podaję pełnego nazwiska pan R.).

Przejdźmy do poprzednich rządów PiS-u, gdyż już wtedy upolityczniono prokuraturę, choć nie zdołano na szczęście upolitycznić sądów. Posłużę się dla ilustracji fragmentem tekstu z „Raportu gęgaczy”:

Jedną z metod okłamywania społeczeństwa przez PiS jest wymyślanie nieistniejących afer oraz przedstawianie rzeczy zupełnie normalnych tak, jakby były wielkim skandalem.

26 marca 2011 roku uprawomocnił się wyrok sądu Okręgowego w Warszawie, z którego wynika, iż słynna „inwigilacja prawnicy”, którą przez lata straszycie nas PiS jako rzekomą zbrodnią „służb”, w ogóle nie miała miejsca. Co ciekawe, nie jest to jedyny przypadek powiadamiania przez polityków PiS o przestępstwach, do których nigdy nie doszło. Jest to wręcz stała metoda prowadzenia walki politycznej.

Przypomnijmy: Sąd Okręgowy orzekł, że instrukcja nr 0015/92 nie pozwalała na inwigilację prawnicy. Orzeczenie to poparł Sąd Apelacyjny. Instrukcja 0015/92 powstała w sierpniu 1992 roku. Jej autorem był Piotr Niemczyk, wówczas dyrektor Biura Analiz i Informacji UOP. Według Jarosława Kaczyńskiego miała umożliwić inwigilację ugrupowań prawniczych. Na jej podstawie miały również powstać komórki zajmujące się tym zadaniem w każdej z delegatur UOP w Polsce. Instrukcję ujawnił w marcu 1993 r. Jarosław Kaczyński, oskarżając UOP o inwigilację

prawicy i rozpętując aferę na całą Polskę („szafa Lesiaka”, rzekome fałszowanie lojalki Kaczyńskiego itp.).

Sąd ocenił zeznania Jarosława Kaczyńskiego i Antoniego Macierewicza w tej sprawie jako „mało wiarygodne”, raczej insynuacje i konfabulacje niż fakty. Z kolei historyk IPN prof. Antoni Dudek zeznał, że: „nie są mu znane żadne fakty i okoliczności, które potwierdzałyby tezę, że na podstawie instrukcji 0015/92 była prowadzona inwigilacja partii prawicowych.” Tak oto słynna „inwigilacja prawicy” poległa w sądzie jak długa.

(...)

Zawiadamianie prokuratury i robienie gigantycznych politycznych awantur na temat zmyślonych przestępstw jest stałą metodą działania tej partii. Tu warto też przypomnieć **rzekome zabójstwo pacjenta przez doktora Garlickiego i ogromną liczbę zarzutów korupcyjnych, które nie miały pokrycia w faktach.** Zupełnie nieprawdziwe były zarzuty korupcyjne wobec dyrektora szpitala MON przy ul. Szaserów w Warszawie. Rzekomy handel organami przez transplantologów, który nigdy nie miał miejsca. PiS walczył wówczas ze środowiskiem lekarskim i ogólnie inteligencją.

Wcześniej miała miejsce „afery billboardowa”, czyli **kłamstwo Jacka Kurskiego na temat rzekomego nielegalnego finansowania PO przez firmy ubezpieczeniowe.** Jak wykazało postępowanie prokuratorskie i sądowe, nic takiego nie miało miejsca.

Kolejna sprawa to **rzekome pobicie aktorki Anny Cugier-Kotki** (ponoć przez bojówkę PO), na które brak jakichkolwiek dowodów, łącznie z tym, że nie stwierdzono śladów obrażeń. Brak świadków, brak obrażeń, brak potwierdzających nagrań monitoringu, a zeznania zainteresowanej nie trzymają się kupy.

Skoro jesteśmy przy pobiciach, to rzekomo jeden z „obrońców krzyża” miał zostać pobity pod krzyżem na Krakowskim Przedmieściu i wskutek tego pobicia umrzeć. Prokuratura sprawę zbadała i stwierdziła, że śmierć nastąpiła z przyczyn naturalnych, a żadnego pobicia nie było.

Przypomnijmy też próby sfabrykowania nieistniejących przestępstw i nawet fałszowania w tym celu dokumentów (afery gruntowa, afery hazardowa, afery Weroniki Marczyk-Pazury, rzekomy dom Jolanty Kwaśniewskiej w Kazimierzu...).

Na początku 2011 roku PiS oskarżyło państwo o rzekomą „inwigilację Lecha i Marii Kaczyńskich”. Prokuratura sprawę zbadała i stwierdziła, że żadnej inwigilacji nie było.

A TERAZ PRZEJDŹMY DO DNIA DZISIEJSZEGO.

Mamy już dyspozycyjną prokuraturę, a więc umorzono natychmiast śledztwo w sprawie wyprowadzenia z sytemu SKOK-ów ok. 5 miliardów złotych, by nie wykryć sprawców i tego, gdzie się te pieniądze podziały. Umorzono sprawę niepublikowania wyroków Trybunału Konstytucyjnego z powodu „braku znamion przestępstwa”. Natomiast mamy już zarzuty karne wobec demonstranta spod Sejmu, za to, że machnął kartką przed kamerą TVP.

WRACA NOWE, PROSZĘ PAŃSTWA.

A morał z tego wszystkiego taki: **Szanowna opozycjo wszelka, zjednoczcie wysiłki, ruszcie tyłki i zdobądźcie się na naprawdę potężny protest, by Prezes znowu miał pełne pampersy, bo w przeciwnym wypadku, za parę miesięcy pobije was policja, a sąd was skáže za pobicie policji.**

Ta wojna już trwa

[15 maja 2017 r.]

Zacznijmy od historii. Powszechnie przyjmuje się 1 września 1939 roku za datę początku II wojny światowej. Czy słusznie?

W rzeczywistości różnego rodzaju agresywne działania państw Osi trały już od wielu lat. W Chinach II wojna światowa zaczęła się w 1931 roku od najazdu japońskiego i podboju Mandżurii. W 1937 roku następuje otwarta inwazja wojsk japońskich na Chiny. Wcześniej, w 1932 roku, wojska japońskie zagrażają już rejonowi Pekin-Tianjin i Szanghajowi (enklawie brytyjskiej). Na przełomie 1937 i 1938 roku, w grudniu i styczniu wojska japońskie dokonały słynnej rzezi Nankinu. W ciągu 2 tygodni zamordowano ok. 400 tysięcy ludzi.

Również w innych częściach świata dochodziło do agresywnych działań Niemiec, Włoch i Japonii. W 1936 roku Włochy dokonały najazdu na Abisynię (dziś Etiopia). W latach 1936-1939, wojska Włoch i Niemiec biorą udział w wojnie domowej w Hiszpanii. Po drugiej stronie frontu walczą ochotnicy z wielu krajów – późniejszych aliantów w wojnie z Niemcami oraz niejawnie (oficjalnie nie wypowiedziano wojny) formacje Francji, Brazylii, Meksyku i duże siły wojsk specjalnych ZSRR (jawnie działa NKWD i Komintern, sowieci mają w Hiszpanii nawet swoje więzienia). Praktycznie po dwóch stronach frontu spotykają się żołnierze z przyszłych frontów wojny w Europie. Wojny, której teoretycznie jeszcze nie ma.

W 1936 roku hitlerowskie Niemcy zajmują Nadrenię, w 1938 dokonują przyłączenia Austrii a w 1939 zajmują Czechy. To wszystko działo się jeszcze przed 1 września 1939 roku.

Trochę podobną sytuację mamy obecnie. Jawnie, otwarcie, nie ma wojny między Rosją i Chinami a Zachodem. Są jednak coraz agresywniejsze zachowania Rosji i pełzająca inwazja Chin na Pacyfiku (Morze Południowochińskie). Od około 3 lat systematycznie narasta napięcie między Rosją a NATO. Trwa żarzący się konflikt na Ukrainie, Wojska USA, Turcji i paru innych krajów walczą w Syrii – i to wcale nie po tej samej stronie, co wojska rosyjskie. Już niemal co kilka dni dochodzi do drobnych incydentów między państwami NATO i UE a Rosją. A to służby rosyjskie, za pośrednictwem Internetu, starają się wpłynąć na wynik wyborów w USA, a to rosyjscy hakerzy atakują sieci energetyczne

państw bałtyckich, a to jakieś rosyjskie samoloty przelatują niebezpiecznie blisko NATO-wskich samolotów lub okrętów. Trudno też nie zauważyć coraz większej ilości wojsk obu stron w pobliżu granic.

U mnie, na Mazurach, gdzie o rzut beretem mamy granicę z Obwodem Kaliningradzkim, krąży dowcip, że wymieniono nam w lesie zwierzynę. Dawniej po lasach chodziły łosie i żubry, a teraz kręcą się rosomaki i leopardy.

WOJNA HYBRYDOWA CZY INTERNETOWA?

W pierwszej fazie konfliktu na Ukrainie mówiono o „zielonych ludziach” i wojnie hybrydowej. Tak naprawdę „zielone ludziki” nie są niczym nowym. W niejednym konflikcie w przeszłości, zarówno służby i wojska ZSRR, jak i USA działały udając, że ich tam nie ma. Cały okres zimnej wojny (1954-1990) polegał w dużym stopniu na toczeniu wojen zastępczych i walk cudzymi rękami. Wojska obu bloków walczyły, teoretycznie nie ze sobą, w Korei, Wietnamie i Afganistanie. W dwóch pierwszych przypadkach ZSRR udawał, że jego wojsk tam nie ma (a były, choć na zapleczu), w Afganistanie, w okresie wojny z ZSRR, Amerykanie udawali nieobecnych. Podobnie było w wielu, pozornie tylko lokalnych konfliktach. Pamiętam, jak mój ojciec, czytając o działaniach wojska „Che” Guevary w Kongo, powiedział: „Nareszcie zrozumiałem, co to są Kozacy Kubańscy”.

Od końca lat 80. XX wieku pojawiło się nowe pole walki – internet. W książce „Życie pod wiatr” opisałem początki działania wywiadów w internecie. Jakie to było jeszcze raczkujące... Koniec lat 80. Wywiad USA uzyskał program śledzący jednocześnie 1600 osób. Taka inteligentna baza danych i automatyczny włamywacz do cudzych komputerów w jednym. Program zbierał wszelkie ślady elektroniczne (przelewy, płatności kartą, maile itp.) i szedł własnym śladem, włamując się do kolejnych komputerów i wyciągając wnioski. Np.: jeśli wzrosły komuś rachunki za prąd i wodę to znaczy, że ktoś dodatkowy zamieszkał. CIA zrobiło w programie tajną furtkę i sprzedało go Mosadowi. Mosad zrobił kolejną i sprzedał do kilku krajów. W efekcie CIA i Mosad zbierały informacje zdobyte przez kilka innych krajów. W porównaniu z możliwościami dzisiejszych systemów, to była dziecinna zabawa. Ludzie, firmy, instytucje i państwa zostawiają dziś tysiące razy więcej śladów elektronicznych, a oprogramowanie wywiadowcze jest naprawdę potężne. W dodatku rozbudowano do perfekcji zwiad satelitarny i lotniczy, także z użyciem dronów. Żyjemy w świecie, w którym dowiedzieć się o przeciwniku można wszystkiego, kwestia tylko nakładów finansowych, pracy i pomysłowości.

I tu pojawia się nowa metoda walki: wpływanie przez internet na proces decyzyjny przeciwnika.

A MOŻE WOJNA SOCJOTECHNICZNA?

Służby co najmniej kilku państw autorytarnych – w tym Rosji – rozumiały, że internet może być znakomitym narzędziem do destabilizacji wewnętrznej państw demokratycznych i co więcej: demokracje są wobec tego bezradne. Ale sam internet to za mało. Dopiero szeroki dostęp do informacji, jaki daje Internet, w połączeniu z perfidną socjotechniką, staje się groźnym narzędziem. Służby ZSRR stosowały socjotechnikę w propagandzie od dawna. Metoda kreowania nieistniejących zdarzeń w celu wywołania odpowiednich nastrojów społecznych nie jest niczym nowym.

W latach 80. XX wieku komunistyczne media podały na przykład fałszywą informację, że biskup Tokarczuk współpracował z gestapo. Gdyby tak po prostu napisano to w „Trybunie Ludu”, efekt byłby żaden. Nikt by w to nie uwierzył, więc „Trybuna Ludu” powołała się na mało znaną włoską pravicową gazetkę, która to podała taką informację, powołując się z kolei na „źródła w Watykanie”, czyli mętne (jakie?, które?, kogo konkretnie?). Ta ultrapravicowa gazetka była we Włoszech niemal nieznaną, niemal nikt jej nie czytał, bo i nie miał czytać. Tę gazetkę założyło KGB – właśnie po to, by ją następnie cytowano: „jak podaje włoska prasa, powołując się na źródła w Watykanie...”. No, to już brzmiało lepiej niż po prostu jakiś artykuł Gontarza w „Trybunie Ludu”. **Ale to było jeszcze nic w porównaniu z tym, co dzieje się teraz.**

Kreowanie nieistniejących zdarzeń nie jest już takie prymitywne, jak tylko wrzucenie zmyślonej informacji w kilkuset miejscach w internecie. Dziś takie programy, jak wspomniany już program do szpiegowania ludzi, śledzą już nie 1600 osób, tylko znacznie więcej i w większości wcale nie po to, by tych ludzi podsłuchiwać i podglądać. Zbierane są informacje o milionach osób i przetwarzane. Przez to, że istnieje taki program, ludzie do takich działań nie są już potrzebni. Maszyna stosuje odpowiednie filtry i tworzy model osoby: ile ma lat, czym się interesuje, gdzie bywa, kogo zna... Znakomicie sprzyja takim akcjom Facebook.

Teraz już fałszywa informacja o nieistniejącym zdarzeniu trafia w sposób sterowany, selektywny. W innej formie podsunęta jest nastolatce, w innej matronie, w innej cwaniakowi, a jeszcze inaczej intelektualistcie. Co więcej, każda z tych osób może otrzymywać tylko dobrane fragmenty informacji, która w świadomości społecznej sama ułoży się w całość.

Dalej dział już czysta psychologia. Większość ludzi nieświadomie powieła informację, która z jakiegoś powodu ich zainteresowała. Powieła lajkując albo oburzając się – nie ma to znaczenia. Fałszywa informacja zostaje podchwycona przez media karmiące się sensacją i już po kilku godzinach wiedzą o niej miliony ludzi. Jest już w tylu miejscach, że nie sposób stwierdzić, że jest fałszywa. Nawet jeśli znajdzie się świadek, który będzie to dementował, nikt go nie już posłucha – zostanie zignorowany lub uznany za wariata.

DESTABILIZACJA STEROWANA I TWIERDZENIE CZOKA

Swego czasu byłem świadkiem rozmowy świetnego polskiego alpinisty, Andrzeja Czoka, z dziennikarzem. Rozmawiali o górach i egzotycznych krajach. W jakimś momencie dziennikarz spytał, jakie jest najbardziej niebezpieczne dla podróżników zwierzę. Andrzej odpowiedział: „*Idiota w składzie wyprawy*”. Powinniśmy uświadomić sobie, że dotyczy to nie tylko wypraw. **Kto jest najbardziej niebezpieczny dla państwa, dla społeczeństwa? Idiota u władzy, idiota na urzędzie, idiota poseł, idiota minister...**

Od dłuższego czasu obserwuję, jak za pomocą sterowanej dezinformacji, służby rosyjskie (wcześniej ZSRR) starają się wpływać na wyniki wyborów w demokratycznych krajach. Głośno zaczęło być o tym przy okazji wyborów prezydenckich w USA, ale działania takie były już wcześniej prowadzone i – jestem o tym przekonany – były prowadzone także w Polsce. Wiemy przecież o wsparciu Rosji dla Radia „Maryja”, o zdziwiająco wielu ludziach powiązanych z Rosją w otoczeniu Macierewicza. Sygnał telewizji „*Trwam*” nadawany był do satelity z anteny położonej w obwodzie Kaliningradzkim i na częstotliwości przeznaczony dla GRU. W czasie, gdy Rosja wyrzucała ze swego terytorium polskich księży, sygnał Radia „Maryja” można było odbierać nawet na Sachalinie.

I tu dochodzimy do sedna sprawy. Czy rosyjskie FSB lubi księdza Rzyka? Wątpię. **Oni po prostu wiedzą, że jest niezwykle szkodliwy dla polskiego Kościoła i dla Polski w ogóle.** Otoczenie Putina zapewne uważa, że wymyśliło znakomity patent na podbicie znacznie silniejszej niż Rosja Europy. Trzeba państwa europejskie kolejno pozbawiać siły, rozbijając ich jedność, wkraczać do nich dopiero, kiedy same się doprowadzą do stanu bezbronności.

A jak to zrobić? **Trzeba spuścić ze smyczy te najbardziej niebezpieczne polityczne zwierzęta – populistów, karierowiczów, egoistów, nawiedzonych, nieuków...** Trzeba pomóc im zdobyć władzę. Resztę zrobią już sami, z głupoty.

Dzisiejsze służby rosyjskie są już znacznie inteligentniejsze od służb dawnego ZSRR. Nie popierają już „swoich”, tylko szkodliwych. Macierewicz może być fanatycznie antyrosyjski. Nie szkodzi – ważniejsze, że szkodzi Polsce. Trzeba otoczyć go swoimi ludźmi i podpuszczać. Niech zrywa umowy na śmigłowce, niech marnuje pieniądze na obronę terytorialną... Z punktu widzenia Rosji ta obrona terytorialna może sobie być, wybije się ją w kilka godzin – i to bez strat własnych. Ważniejsze, że polskie wojsko marnuje na nią pieniądze, za które można obsadzić wakujące żołnierskie etaty albo kupić nowoczesny sprzęt.

Nie wiem, w jakim stopniu służby rosyjskie wpłynęły na poglądy Polaków przed wyborami 2015 roku, ale podejrzewam, że niektóre operacje wymyślili i wspomagali ludzie znacznie inteligentniejsi niż Kaczyński, w dodatku ich widzenie nie było zaburzane przez ideologię. Pomyślny, jak to się stało, że wbrew oczywistym faktom tak duża część społeczeństwa uwierzyła w „Polskę w ruinie”? Jak to się stało, że społeczeństwo zarabiające coraz więcej i żyjące na coraz lepszym poziomie uwierzyło, że jest mu coraz gorzej? Powszechnie zaćmienie mózgu? A może masowo i w przemyślany sposób kreowana fałszywa informacja?

Niezależnie od tego, czy moja teoria jest prawdziwa, albo w jakim stopniu jest prawdziwa, warto sobie uświadomić że to, co dzieje się w Polsce, może być wstępem do znacznie gorszych scenariuszy, niż tylko parę lat kaczynizmu. Być może przesadzam, ale **z ostrzeżeniami jest tak, że lepiej przesadzić i najwyżej się nie spełni, niż zlekceważyć, bo może się spełnić.**

Jedno jest pewne: gdyby Putin chciał mieć w Polsce dywersantów, to lepszych niż Kaczyński, Macierewicz i Ziobro by nie znalazł. Polska jest coraz bardziej osamotniona, ośmieszona, lekceważona. Polska armia jest w dużym stopniu zdemolowana, a tysiące stanowisk w państwie i gospodarce obsadzone jest przez ludzi niekompetentnych, źle wykształconych i nieuczciwych.

Warto się zastanowić, czy nie stoimy przed znacznie większym niebezpieczeństwem, a to, co się dzieje, nie jest do niego tylko przygrywką.

Pan prokurator ma rację...

[31 maja 2017 r.]

*Pan prokurator ma rację,
mamy w Polsce demokrację...
(z piosenki marcowej, 1968 r.)*

Sąd Najwyższy orzekł, że prezydent Duda nie miał prawa ułaskawić Mariusza Kamińskiego, gdyż ten nie był prawomocnie skazany.

Kornel Morawiecki powiedział w TVN24, że „gdy prawo nie służy narodowi, to staje się bezprawiem”. Podobny pogląd wyraził już kiedyś niejaki Adolf H. z sąsiedniego kraju, a wspomniany Kornel już raz z mównicy sejmowej go dosłownie zacytował: „nie interesuje mnie prawo, tylko sprawiedliwość”. Mariusz Kamiński ogłosił zaś, że „sąd stawia się ponad prawem”, zaś poseł Łapiński dodał: „demokracja to nie sędziokracja”. Pogląd skądinąd ciekawy.

*O północy się zjawili jacyś dwaj cywili(...)
(z tej samej piosenki marcowej)*

Tego samego dnia sąd ostatecznie uniewinnił doktora Garlickiego, który wedle nadprokuratora Zbiory miał być nie tylko łapówkarzem, ale i mordercą. Wedle sądu nie był ani jednym ani drugim. To chyba ta „sędziokracja” „łże-elit” zachęcana przez „wysztalciuchów”.

(...)nic nikomu nie mówili,

tylko w mordę bili(...)
(z tej samej piosenki)

We Wrocławiu rok temu w komisariacie Policji torturowano i zabito niewinnego człowieka. Próbowano na nim – za pomocą elektrowstrząsów – wymusić zeznanie, że jest tym, kim nie jest, ale policjantom przydałoby się, żeby był – bo rachunek by się zgadzał.

Albośmy to jacy tacy błaszczakowi wilkołacy(...)
(z innej piosenki marcowej, w oryginale było „moczarowi”,
ale „błaszczakowi” to niemal to samo)

Od roku w tej sprawie nic nie zrobiono. Nikt z policjantów, którzy torturowali i zabili człowieka, nie został nie tylko skazany, ale nawet aresztowany ani oskarżony. Podobno „trwają procedury” by zwolnić jednego ze sprawców ze służby. Trwają i trwają...

Stalowa czapeczka, gumowa pałeczka
i łzawiące gazy na wszystkie zarazy(...)
(z tej samej piosenki)

PiS-owcy natychmiast powiedzieli, że na kanwie tej sprawy trzeba zmienić konstytucję, oczywiście na tę – według PiS-u – w której nie ma prawa do strajku i zgromadzeń, za to jest prawo strzelania do cywilów przez wojsko w czasie pokoju. Przy okazji, na posiedzenie Sądu Najwyższego przybyła bojówka z KPN-u, którą musiała usuwać policja (jeszcze nie zreformowana). Trwa też budowanie „obrony terytorialnej”, bo jest obawa, że normalne wojsko strzelać do cywilów nie zechce.

Strach się bać, strach się bać,
Nie ma jak przed demokracją zwiać...
(tym razem z piosenki zespołu „Lady Punk”)

To wszystko wcale nie jest do śmiechu.

Jak podpisałeś, to się nie dziw

[25 września 2017 r.]

Motto:

Głupio nie myśl.

Jak pomyślałeś, to nie pisz.

Jak napisałeś, to nie podpisuj.

Jak podpisałeś, to się nie dziw,

(że i ciebie dotyczy).

Pan Prezydent, z zapałem zdalnego długopisu, podpisywał wszystko, co z wolą Prezesa Sejm wymodził. Podpisał więc ustawę podporządkowaną prokuraturę Ziobrze, by Ziobro mógł prowadzić „politykę karną”, co jest jednym z poważniejszych przestępstw przeciwko prawu. Podpisał ustawę o prokuraturze, w której jak byk stoi, że prokurator musi wykonywać polecenia Ziobry, oraz że prokurator może popełniać przestępstwa i pozostaje bezkarny, jeśli działa w „interesie społecznym”. Pan prezydent, jako prawnik i polityczny praktyk wiedział, że w polskim prawie nie ma definicji „interesu społecznego” oraz że Prezes pod tym pojęciem rozumie „interes swój”.

W końcu Prezes nigdy nie ukrywał, że w jego państwie obywatele (czytaj: „poddani”), będą realizować swoje interesy poprzez interes swych przedstawicieli. Coś jak w ZSRR, gdzie lud jadł kawior (ustami swych przedstawicieli). Pan prezydent zaś doskonale wiedział, iż wszystko co podpisuje, jest niekonstytucyjne, niezgodne z prawem unijnym i z konwencjami, które Polska ratyfikowała. Ale co tam – podpisał.

Pan prezydent podpisał też zmiany w Kodeksie Postępowania Karnego stanowiące, że informacje zdobyte nielegalnie – także wymuszeniem, biciem czy szantażem – muszą być uznane przez sąd za dowody. Zdobyte legalnie mogą, a te muszą. Ot, takie fajne prawo.

Pan prezydent ułaskawił też bezprawnie Mariusza Kamińskiego, skazanego nieprawomocnie za fabrykowanie fałszywych dowodów, by ten mógł stanąć na czele służb.

W końcu pan prezydent podpisał niekonstytucyjną i godną Białorusi ustawę o sądach powszechnych, dającą Ziobrze (prokuratorowi) władzę nad sądami i możliwość wpływania na składy sędziowskie.

Jednym słowem, pan prezydent pośrednio dał Ziobrze, Prezesowi i Kamińskiemu ogromną władzę nad służbami, prokuraturą i sądami. Dał im też możliwości fałszowania, manipulowania, kręcenia, kantowania – i wszystko to *lege artis!*

A teraz pan prezydent się dziwi, że ci panowie wykorzystują przeciw niemu tą władzę, którą on dał im – swoim podpisem. Pan prezydent nie przewidział bowiem prostej rzeczy: spuszczenie ze smyczy prawnego potwora jest groźne także dla niego, że narzędzia prawne, do których powstania się przyczynił, mogą być wykorzystane także przeciw niemu.

Czyli jak w motto: „jak podpisałeś, to się nie dziw”. Nie dziw się także, iż potwór prawny może ugryźć i tę rękę, która go wykarmiła, bo potwór jest potworem i empatii mu brak.

Już na poważnie – do wszystkich zwolenników PiS-u: potwory prawne, które za waszym przyzwoleniem powstają, kiedyś także w was uderzą. Macie tego znakomity przykład. A nigdy nie wiadomo, kto w przyszłości będzie trzymał smycz. Skoro już dziś można manipulować śledztwem przeciw prezydentowi, to w przyszłości będzie można tak potraktować każdego z was. Skoro można było odwoływać ustawę uchwałą, to można kiedyś także uchwałą odwołać prezydenta i powołać innego. Na przykład „meleks drinkera” Karskiego albo fryzjera Suskiego. Skoro nie ma ustawy o służbie cywilnej, to ktoś będzie mógł jednym ruchem usunąć ze spółek skarbu państwa wszystkich Misiewiczów. Skoro można fabrykować dowody i politycznie dobierać sędziów, to musicie uważać, by łaska pańska się od was nie odwróciła. Każdy potwór prawny jest tępy jak młot. Prędzej czy później wali także po swoich.

Czekając na Breivika

[24 stycznia 2018 r.]

Po jednym reportażu TVN24 wszyscy się nagle obudzili. Obudzili się zwłaszcza ci, którzy przez lata sami głosili faszystowskie poglądy – oczywiście udając, że nie są faszystowskie.

Nagle politycy partii, która pieśczośliwie hodowała skrajne nacjonalistyczne ruchy, której politycy wyrażali dla nich „rozumienie” (Beata Mazurek po pobiciu przez Młodzież Wszechpolską pokojowych demonstrantów w Radomiu), którzy nazywali młodocianych faszystów „dorodną młodzieżą patriotyczną” (Jarosław Kaczyński), którzy nazywali pobitych „prowokatorami” i „nie widzieli” faszystowskich transparentów (Mariusz Błaszczak po pobiciu członków KOD w Gdańsku i po ostatnim Marszu Niepodległości), nagle oni wszyscy ruszyli do działań przeciw jednej niewielkiej organizacji faszystowskiej, kompletnie przy tym nie widząc tych naprawdę dużych. **W dodatku kłamią, że problem jest marginalny, a w ogóle istnieje z winy poprzedników.**

A problem jest znacznie poważniejszy, niż tylko istnienie jednej z wielu faszystowskich organizacji. Jest znacznie poważniejszy, niż samo narastanie profaszystowskich nastrojów wśród młodzieży.

Mamy do czynienia z kilkoma bardzo groźnymi zjawiskami:

- narastanie nastrojów skrajnie nacjonalistycznych i faszystowskich wśród młodego pokolenia, jako wynik wieloletnich zaniechań w wychowaniu i edukacji;
- propagowanie takich poglądów przez partię rządzącą, oraz – niestety – przez znaczną część kleru, a nawet przez wysokich hierarchów Kościoła Katolickiego;

- tworzenie przez czołowych polityków i instytucji państwa parasola ochronnego nad ugrupowaniami faszystowskimi;
- tworzenie wobec nich atmosfery bezkarności i przyzwolenia na używanie przemocy;
- wskazywanie im wroga: obcokrajowców, opozycję demokratyczną i „elity”.

Zestawienie pochwalania faszystowskich poglądów z sugerowaniem bezkarności i wskazywaniem wroga, to proszenie się o polskiego Breivika i o pogromy. Twierdzę, że wielu z obecnie rządzących po cichu o takim scenariuszu marzyło. To bardzo wygodne: faszyci sterroryzują, a może nawet wymordują opozycję i będzie można powiedzieć: „to nie my”.

Zastanówmy się, skąd to się wzięło.

Znalazłem przypadkiem swój własny fotoreportaż ze Święta Niepodległości z 2004 roku.

Jeszcze 14 lat temu było to radosne święto, bez żadnych incydentów, bez przemocy, bez skrajnych haseł. **Cóż się takiego stało, że tak bardzo zmieniły się nastroje w polskim społeczeństwie?**

Pozwolę sobie przytoczyć swój własny komentarz napisany zaraz po wiadomym reporcie TVN24:

To jest przede wszystkim klęska polskiej edukacji ostatnich 28 lat. Dzisiejsza młodzież kompletnie nie zna najnowszej historii. Ich wiedza o faszyzmie i komunizmie jest znikoma, albo komiksowa. O czasach PRL, o KOR-ze, „Solidarności”, podziemiu nie wiedzą nic. Jest to niezwykle wygodne dla PiS-u. Z jednej strony neofaszyści są nadzieją Kaczyńskiego na dorobienie się bojówek, które sterroryzują opozycję (i będzie można powiedzieć: to nie my), a z drugiej – brak znajomości najnowszej historii pozwala kreować fałszywych bohaterów, a prawdziwych nazywać „komunistami”. Niedawno rozmawiałem w pociągu z młodymi ludźmi (ok 20 lat, wcale nie pisiory). Oni naprawdę myślał, że strajk w Stoczni Gdańskiej zorganizował Lech Kaczyński. O roli Borusewicza nie słyszeli. Takich nazwisk jak Bujak, Rulowski, Słowik, Jedynek... nie znają. Jedna paniienka wiedziała, że „Bujak to był taki fotograf przed wojną”. Na temat ONR wiedzą, że „to patrioci”, „i co w tym złego”. Najbardziej zaskoczyła mnie odpowiedź na stwierdzenie, że hitlerowcy wymordowali w Polsce 6 milionów ludzi: „ale głównie Żydów”. Skąd to wiecie? „Na religii uczyli”.

Jeżeli jeszcze nie wiecie, skąd takie poparcie wśród młodzieży dla skrajnej prawicy, to macie odpowiedź. Z takiego poziomu edukacji.

Do tego dochodzi twórczość (przez duże „tfu”) filmowa i telewizyjna. Próbowałem niedawno obejrzeć film „Miasto 44”. Wymiękłem po 20 minutach. Skrzyżowanie „Love Story”, komiksu i „Gwiazdnych Wojen”. Chała nieprawdopodobna. Młody człowiek żyje szczęśliwie z rodziną i nagle, nie wiadomo dlaczego, wstępuje do AK. Wybucho powstanie (też nie wiadomo dlaczego). Chłopiec całuje się z dziewczyną wśród gradu kul, które widać jak lecą (???!!!!). Niektóre kule skręcają w locie, prawie zataczają kółka. Moja odporność na bzdurę została wyczerpana i wyłączyłem.

Mam duży sentyment do historii Powstania. Walczyła w nim cała moja rodzina ze strony matki. Mój dziadek był dowódcą jednej z powstańczych formacji. Zginął w Powstaniu ówczesny narzeczony mojej matki, zginęła jej siostra z mężem i dwoma synami, druga siostra została ranna. Gdy widzę, że ktoś z tej tragicznej historii robi sobie kpiny i komiksik, to szlag mnie trafia. Ale ta młodzież dzisiejsza zna właśnie taki obraz.

Nie byłoby tak źle, gdyby chodziło tylko o to. Młody człowiek ma, między innymi, trzy ważne potrzeby: poczucia własnej wartości; posiadania autorytetu w który wierzy i przynależności do grupy w której jest akceptowany.

Przez poprzednie 27 lat **wszystkie kolejne rządy nie miały czasu zająć się problemami edukacji i wychowania**. Wychowywanie młodego pokolenia oddano bez walki katechetom. Żeby to jeszcze był poziom księdza Bonieckiego, ale najczęściej ci katecheci reprezentowali poziom gosposi księdza proboszcza. Młodzieży wpajano jakieś koszmarnie bzdury o kreacjonizmie, fałszywą historię i jarmarczną dewocję. Instytucje kulturalne, szkoły, nie potrafiły młodym ludziom zaoferować nic, co pozwoliłoby im rozwijać się i nabierać poczucia własnej wartości. Uznano, że jak rynek to rynek, a na tym rynku wolna amerykanka. Jedni znaleźli się w tej sytuacji znakomicie, kosili studia i dobre posady. Ale drudzy uciekali w bezradność i bierność. Tymi drugimi zaopiekowała się Młodzież Wszechpolska i ONR.

Zagubiony młody człowiek, bezradny wobec brutalnych reguł wolnej amerykanki, zostawał członkiem wspólnoty, w której dostawał sztandar, opaskę i pasowanie na „patriotę”. To jest typowy mechanizm ucieczki przed rzeczywistością, z którą człowiek nie potrafi sobie poradzić.

Można uciekać w grę w czołgi, w alkohol, w narkotyki, albo w opaskę z powstańczą kotwicą, miano „patrioty”, „prawdziwego Polaka”... No właśnie, w nadczłowieka, übermenscha.

Młody człowiek w szeregach faszystowskiej organizacji nie jest już nieudacznikiem, jest „patriotą” i übermenschem – nie ma już poczucia słabości, ma poczucie siły. Przechodzi pranie mózgu, a kupuje ten kit bez problemu, bo szkoła nie nauczyła go historii. My oburzamy się na „hajlowanie”, ale tych młodych ludzi to nie dziwi, bo w ich otoczeniu „wszyscy tak robią”, bo to tylko „takie pozdrowienie”.

I tu pojawia się język polityków, pojawia się wróg: „obcy”, opozycja i „elity”. No bo przecież ta opozycja to „komuniści i złodzieje” (Jarosław Kaczyński i Joachim Brudziński), „przekupieni przez Sorosa” (TVP i wszystkie niemal gadzinówki PiS-u), ludzie „gorszego sortu”, „mający gen zdrady”, „animalni”, „odzwierzęcy”, „Targowica” (Jarosław Kaczyński)... A „obcy” „przenoszą pasożyty” (Jarosław Kaczyński), „terroryści”, „gwałcą kobiety” (Mariusz Błaszczak).

Zauważmy, że to hasła typowe dla faszyzmu. Jest übermensch (nadczłowiek), „prawdziwy Polak”, „patriota” i „gorszy sort” czyli podczłowiek. **To właśnie w ideologii faszystowskiej dzieli się ludzi na nadludzi i podludzi.** To właśnie naziści mówili o Żydach i Polakach, że „nie są ludźmi”, że są prawie zwierzętami, przenoszą pasożyty i choroby. **Dziś w Polsce najwięcej takich poglądów i najbardziej otwarcie, publicznie, wygłasza Jarosław Kaczyński i to jego słowa mają największy zasięg, nie ksiądz Międlar, nie Piotr Rybaka, nie innych osób z MW i ONR.**

Proszę nie bzdurzyć, że problem jest marginalny. Przyzwolenie na takie słowa, na taką ideologię, idzie samej góry. Tak samo z samej góry idą sygnały, że te środowiska są chronione, że nic im nie grozi.

Jeżeli minister spraw wewnętrznych, a więc przełożony policji głosi, że pobici przez młodocianych faszystów to „prowokatorzy”, a rzeczniczka partii rządzącej „rozumie” bijących, jeżeli policja i prokuratura notorycznie „nie dopatrują się czynu zabronionego”, to **jak ma to rozumieć gimnazjalista, który wstąpił do ONR?**

Ten młody człowiek widzi też, że policja chroni agresywnych żuli z faszystowskimi hasłami, a jednocześnie przyzwala – nie reagując – na bicie bezbronnymi kobiet, które są usuwane z drogi faszystom. Docierają do niego informacje, że sprawy organizacji skrajnie prawicowych są ciągle umarzane lub niewyszczynane, a jednocześnie toczy się już blisko tysięcy postępowań wobec ludzi, którzy w pokojowy sposób protestują przeciw takim praktykom. **Z jednej strony władze robią wszystko co mogą, by nie ścigać bijących żuli, a z drugiej wszczynają wobec opozycji sprawy**

o machnięcie kartką przed kamerą TVP lub o wznoszenie okrzyku „Lech Wałęsa”.

To wszystko nie jest niczym innym, jak tylko odgórne przyzwoleniem i zachętą dla organizacji faszystowskich do przemocy. W końcu to – według Jarosława Kaczyńskiego – „dorodna młodzież patriotyczna”.

Co gorsza, w tej kampanii promowania faszyzmu i nienawiści w stosunku do przyzwoitych ludzi, bierze udział znaczna część Kościoła Katolickiego. Wydaje się czymś niezrozumiałym łączenie symboliki patriotycznej z faszystowską i wielu to oburza. A ja nie rozumiem, jak można łączyć faszyzm z miłością bliźniego. Nie rozumiem, jak księża na błoniach pod Jasną Górą mogą nie reagować na bicie kobiet z opozycyjnej organizacji przez hołotę, jaką sami tam przyprowadzili. Nie rozumiem, jak przeorowi z Jasnej Góry nie przeszkadzają „pielgrzymi” maszerujący z pochodniami na wzór NSDAP i wznoszący okrzyki „heil Hitler”.

To nie jest odosobniony przypadek. Msze z ONR-em odbywały się w wielu polskich kościołach. **Duchowni, celebrujący mszę w Gdańsku – w tym biskupi – nawet słowem się nie zająknęli, gdy żulia pobiła ludzi przed wejściem do katedry.**

Od paru lat, jadąc przez Łomżę, obserwuję osobliwy napis na murze kościoła w Piątnicy (przedmieście Łomży). Wielkimi na 2 m literami, gotykiem, na czerwonym tle (typowa symbolika nazistowska) wypisane jest „Bóg – Honor – Ojczyzna”. To by jeszcze nie było tak złe, gdyby nie malunki temu towarzyszące. Po słowie „Bóg” umieszczono znak krzyża, po słowie „Honor” powstańczą kotwicę „Polski Walczącej”, a po słowie „Ojczyzna” sylwetkę mężczyzny w hitlerowskim hełmie i z ręką uniesioną w geście „sieg heil”. obrońcy tego dzieła twierdzą, że to nie jest dokładnie znak „sieg heil”, tylko podobny, że to „uniesiona pięść”, ale ja bym to raczej przypisywał nieudolności malarza, a nie jego zamiarowi. To malowidło jest starannie wykonane i nieusuwane od lat, więc nie wierzę, by powstało bez wiedzy i zgody księdza. Zresztą nie przypominam sobie, by w polskich kościołach pisywano czarnym gotykiem na czerwonym tle.



Na stronie Radia Białystok znalazłem taki opis tego „muralu”:

Dla jednych to wyraz patriotyzmu młodzieży, dla innych „kibolskie” hasło na kościelnym murze – tak rozbieżne emocje wzbudza nowy mural w Piątnicy.(...) Przeciwnicy muralu zwracają uwagę na to, że napis wykonano pismem neogotyckim, które na swoich banerach wykorzystują środowiska kibiców i pseudokibiców, zaś ogrodzenie terenów kościelnych nie jest odpowiednim miejscem do propagowania ich ideologii.

Z kolei zwolennicy piątnickiego malunku uważają, że to przejaw patriotyzmu młodych ludzi i ich przywiązania do tradycji. 1 sierpnia, w rocznicę wybuchu Powstania Warszawskiego, właśnie pod tym murałem uczczono Godzinę W i zapalono znicze. Na opinię proboszcza parafii w Piątnicy, jak i głównego wykonawcy muralu, trzeba poczekać do czasu, gdy wrócą z wakacji. (ad/ zmj, wsz)

Coś widać, że ów proboszcz długo z wakacji nie wraca, skoro **malowidło powstało w lipcu 2014 roku**. Dla mnie, potomka powstańców warszawskich, czczenie godziny „W” pod czymś takim jest po prostu obelgą. Tak samo jak „kotwica” w takiej symbolice. A swoją drogą, to wszystko świadczy o tym, jakie pomieszanie z poplątaniem mają w głowach tamtejsi młodzi ludzie.

Nie winię ich za to. Taką wodę z mózgu zrobili im starsi, w tym cyniczni politycy i niedouczeni księża.

Ostatnim elementem układanki jest szcucie na „elity”. Napisałem już o tym dwa artykuły (które wyraźnie nie wszyscy zrozumieli), więc nie będę się powtarzał. Zwróćmy tylko uwagę na dwa aspekty. Młody człowiek potrzebuje autorytetu, z którym by się utożsamiał. Nie ma jeszcze jasno skryształizowanych kryteriów. Tymczasem słyszy niemal cały czas, że samo zło to „elity” i „poprawność polityczna”, więc kogo ma sobie obrać za autorytet? Nie „elitę”, czyli najlepszych, najlepiej wykształconych, najmądrzejszych, najuczciwszych – więc kogo? No, ich przeciwnieństwo.

A skoro najgorszym złem jest **Poprawność Polityczna**, to przypomnijmy, co to jest. **To jest po prostu przyzwoitość i kulturalne manieiry.** Od paru lat wpaja się młodym ludziom, że jest to zło.

Młodzież jest taka, jak czasy, w których żyje. Dziś około 40% polskiej młodzieży popiera MW i ONR, ma wpojona ideologię, jest zachęcana do przemocy i ma wskazanego wroga.

Polski Breivik to tylko kwestia czasu.

Pucowanie rasizmu

[7 lutego 2018 r.]

„**Pucować**”: czyścić, myć coś dokładnie, szorować, glansować –
„Słownik języka polskiego PWN”

W gwarze więziennej: „pucować się”: tłumaczyć się, kajać się.

Motto:

*Wysokiego nie można poniżyć, małego nie da się wywyżżyć.
Lao Tsy, Tao Te King („Księga drogi i cnoty”), VI w. p.n.e.*

Co zamierzają robić politycy PiS po uchwaleniu i podpisaniu przez Prezydenta fatalnej nowelizacji ustawy o IPN? Będą tłumaczyć całemu światu, że to, co w niej jest napisane, to nie jest w niej napisane, bo nawet, jeśli jest napisane, to nie znaczy to, co znaczy, tylko to, co nie znaczy. Ot, klasyczne „pucowanie się” według więziennej grypsery (której panowie jeszcze nie znają, ale liczą na to, że ją poznają).

Ugrupowanie polityczne przesiąknięte rasizmem, a nawet posuwające się do wręcz faszystowskich tekstów, od lat współpracujące z ludźmi i organizacjami jawnie antysemickimi, postanowiło narzucić całemu światu i okolicom swój punkt widzenia. Oczywiście w obronie swojej godności, bo ta godność jest ponoć szargana na prawo i lewo i trzeba ustawowo dać tym praktykom odpór.

Taka zawzięcie „godnościowa” postawa jest charakterystyczna dla małych, zakompleksionych ludzi. To jest właśnie to, o czym pisał 2700

lat temu Lao Tsy i co cytuję w motto tego artykułu. Człowiek świadomy swojej wartości, mający istotny życiowy dorobek, nie ma potrzeby niczego udowadniać, nie boi się krytyki i nie wpada na pomysł, by krytyki – a nawet dyskusji – ustawowo zakazać. Człowiek, który zna swoją wartość, nie bredzi, że cały świat się na niego uwziął i że cały świat go nie rozumie i nawet jak narozrabiał, to nie jego wina, a sytuacja, w której się znalazł, to nie jest skutkiem jego czynów, tylko wrogich sił wszelkich. Tak postępuje zakompleksiona miernota. Ot, niewiniątko, świeczkę zjadło i siedzi po ciemku („ale nie ze swojej winy”).

To, co robi PiS, to całe „wstawanie z kolan”, bredzenie o „polityce godnościowej”; to jest właśnie to, o czym pisze Lao Tsy: próba wywyższenia małego. Taka próba nie może się udać. Małe wywyższone nie zaczyna być wielkie, tylko żałosne albo śmieszne.

Innym aspektem sprawy jest fakt, że PiS od lat flirtuje z antysemityzmem, że politycy PiS „nie dopatrują się” niczego złego w antysemickich i wręcz faszystowskich hasłach, że policja nie reaguje na transparent „zdejmij jarmułkę i podpisz ustawę”, znajdujące się pod pałacem prezydenckim, że państwowe media nadal zapraszają Rafała Ziemkiewicza, mówiącego o Żydach: „pazerne parchy” i żartującego z komór gazowych.

Władza jakoś nie reaguje nawet na innego „geniusza” nazywającego żonę prezydenta „Żydową”. W ulubionym ośrodku propagandy biznesmena Rzyzka w najlepszej funkcjonuje zdeklarowany antysemita, Jerzy Robert Nowak i całe stado jemu podobnych publicystów.

Gdy tylko powstał KOD, środowisko PiS natychmiast wygenerowało narrację, że jest finansowany przez „żydowskiego biznesmena Sorosa”. Już w pierwszych dniach istnienia KOD-u ze środowiska PiS wypłynął paszkwil „KOD rozkodowany” głoszący, że wszyscy założyciele KOD-u to Żydzi (przy okazji zapisano do założycieli KOD-u osoby, które wcale założycielami ani członkami KOD nie byli, ale albo są Żydami, albo to środowisko ich za Żydów uważa).

To taka ciekawostka: politycy, którzy zapewniają publicznie, że antysemitami nie są – gdy chcą zdyskredytować swoich przeciwników, nazywają ich Żydami. A czemu nie Gruzinami, Litwinami...?

No właśnie, dlatego że całe to PiS-owskie towarzystwo jest do gruntu antysemickie, tylko ten fakt z politycznej kalkulacji ukrywa.

To jest taka narracja: „my nie jesteśmy antysemitami” tylko pielgrzymujemy prawie na kolanach do antysemickich mediów księdza Rydzka; tylko uważamy, że palenie kukły Żyda to właściwie nic takiego; tylko tolerujemy środowiska głoszące, że „Hitler nie dokończył roboty”.

Tak poza tym, nie da się podzielić rasizmu na kawałki. Jeżeli głosi się rasistowskie teksty, że imigranci przenoszą pasożyty i choroby, jeżeli dzieli się społeczeństwo na lepszy i gorszy sort, na prawdziwych i nieprawdziwych Polaków, jeżeli przez lata, chcąc zdyskredytować „Gazetę Wyborczą”, nazywa się ją „koszerną”, to nie da się skutecznie udawać, że nie jest się przy tym antysemitą.

Polska pod rządami PiS brunatnieje i widać to już nawet na ulicy. Zaledwie kilka dni temu widziałem na ulicy dużego polskiego miastą młodego człowieka w koszulce z krzyżem celtyckim, na nim trupa czaszką i symbolem brygady SS Dirlewanger. Ten chłopak zapewne nie wiedział, co ta symbolika oznacza. Być może nie wiedział, że ta brygada dokonywała rzezi ludności cywilnej podczas powstania warszawskiego. Pewnie nie wiedział też, że trupia czaszka była odznaką na czapkach oficerów SS.

Ale ktoś te koszulki w Polsce produkuje, ktoś je w Polsce sprzedaje i służby, które powinny to ścigać, nie reagują. Zgodnie z dotychczasową ustawą o IPN, taki młodzieniec nie powinien w tym stroju dojść ulicą dalej, niż do pierwszego policjanta. Ale przecież za rządów PiS odebrano policji instrukcję, jak rozpoznawać faszystowskie symbole.

Cała ta „walka o polską godność” w kontekście stosunków polsko-żydowskich jest kompletnie niepotrzebna. Przez ostatnie dwadzieścia parę lat coraz bardziej otwartego opisywania trudnej wspólnej historii, opinia o Polaku-antysemitcie zaczęła już blednąć. Sprawy pogromów z 1944 roku (w 122 miejscowościach, nie tylko w Jedwabnem), pogromu kieleckiego, obrzydliwej kampanii antysemitkiej z 1968 roku, stawały coraz bardziej wyłącznie daleką historią. Stosunki polsko-żydowskie – nie tylko te dyplomatyczne i biznesowe, ale i międzyludzkie – w Polsce zaczynały być coraz bardziej normalnie. Gdyby nie ta obecna heca, za kolejne 20 lat prawie nikt by się już tym nie zajmował.

A tak, mamy rezultat. Na skutek także innych PiS-owskich zagrań, jesteśmy dziś skonfliktowani z niemal wszystkimi dotychczasowymi sojusznikami. I to nawet z tak ważnymi dla naszej obronności, jak Stany Zjednoczone i Izrael (producent istotnego uzbrojenia dla polskiego wojska).

Jesteśmy pokłóceni na ostro z Niemcami, Francją (najsilniejsze państwa UE), Ukrainą, Litwą. Nawet w Czechach i na Słowacji nie mamy dziś najlepszej opinii. Jedynym neutralnym sąsiadem Polski pozostał dziś Bałtyk. Jak na zagrożenie ze strony coraz bardziej agresywnej Rosji to dość kiepski sojusznik.

Co to jest, do cholery?

[15 lutego 2018 r.]

Widok Władysława Frasyniuka w kajdankach dziwnie znajomy. Wracca nowe jednym słowem. W dodatku, jak wtedy, filmuje to telewizja, ta sama i taka sama. Tyle tylko, że „tamtych” zastąpiły ich nowsze wydania.

Wielka sprawa, proszę Państwa, wielka sprawa – lekko odepchnął policjanta, który go szarpał. Ktoś inny ma sprawę, że przeszkadzał w pracy Rachoniowi, ktoś o to, że machnął kartką przed kamerą jedynie słusznej stacji, ktoś wreszcie krzyknął „Lech Wałęsa”.

No i zbrodnie straszne się dzieją. Ktoś na drzwiach biura PiS-u coś napisał, ktoś dziurki od klucza zakleił. Policjanci z Wrocławia ponad rok temu zabili bez powodu niewinnego człowieka. Dokładnie wiadomo, którzy. Jest to nawet sfilmowane. Żaden z nich jeszcze nie stanął przed sądem, żaden z nich nie został zatrzymany, o aresztowaniu nie mówiąc.

Podczas tak zwanego „Marszu Niepodległości”, facet z faszystowskiej organizacji kopał w plecy siedzącą na ziemi starszą kobietę. Dokładnie go sfilmowano, cała Polska tę gębę widziała. No i co? Zgadnijcie Państwo: siedzi? Ktoś go w kajdankach wyprowadzał? TVPiS filmowała? Ależ skąd! Minister Błaszczak „się nie dopatrzył”. Tacy jak on nie siedzą. Tacy jak on maszerują. „Dorodna młodzież patriotyczna”, jak mawia Kaczyński.

Inny młodzian, też „dorodny”, ciągnął kobietę za włosy po asfalcie, jeszcze inni kopali człowieka w Radomiu, kolejny przybyli pod Jasną Górę z pochodniami na wzór i podobieństwo NSDAP. Gdzieś między modłami a hajlowaniem pobili ludzi, pod pobłażliwym okiem prowadzących ich księży.

Mam tak dalej, czy może już wystarczy?

Zbliża się 50 rocznica wydarzeń Marca'68. Wodzowie rasistowskiej i antysemickiej partii mają prowadzić państwowe obchody. Czego? Tego, że ich pierwowzory: Moczar, Gomułka, Kąkol, Gontarz, urządzili paskudną antysemicką i antyinteligentką nagonkę, podobną do tej, którą oni urządzili właśnie teraz. Tyle że teraz już może Żydów z Polski nie wyrzucą, bo już ich w Polsce prawie nie ma.

Kaczyński zarzeka się, że nie jest antysemitą, ale jego wiarygodność jest zerowa, bo prawie zawsze kłamie. Także jego postępowanie świadczy o czym innym. On „antysemitą nie jest” ale organizacje faszystowskie, jawnie antysemickie toleruje, a nawet chwali i dopieszcza. „Gazetę Wyborczą” nazywał „koszerną” i „prasą polskojęzyczną”. Flirty z Janem Kobyłańskim też były. Propaganda jego partii głosi, że opozycję finansuje Soros „żydowski biznesmen”. Ale nie, nie! Kaczyński antysemitą nie jest. Zupełnie jak ten, co żony nie bije, tylko ją mocniej dopieszcza.

Nie wykluczam też powtórki z napadu na zebranie związku literatów. W końcu głównym wrogiem PiS-u są łże-elity, wykształciuchy i lumpeninteligencja. Andrzejewskiego i Wańkowicza zamknąć już się nie da, ale jest przecież tylu innych pisarzy... Na przykład Jan Tomasz Gross.

Studentów też spałować się nie da. Zestarzeli się. Dziś robi im się procesy o machnięcie kartką. Tak, tak, tym samym ludziom, których wówczas pałowano.

Prezes wali też raz po raz regularnie rasistowską i faszystowską mową: „gorszy i lepszy sort”, „prawdziwi i nieprawdziwi Polacy”. Na obchody 40 rocznicy Marca jego brat nie zaprosił Adama Michnika, a dziś jego urzędnicy nie zaprosili Ireny Lasoty.

Dziś rektor Uniwersytetu Warszawskiego odmawia sali na konferencję, bo ma w niej uczestniczyć KOD. Ja już raz byłem relegowany z tej uczelni, właśnie w Marcu'68. Dziś znowu mnie z niej usuwają. Nadzieja tylko, że tym razem do wojska z karnego poboru nie wezmą. A może?

Dziś odmawia się sali KOD-owi z tego samego powodu, z jakiego wówczas mnie (i wielu innych) z tej uczelni wyrzucono; z powodu tego, że KOD walczy o to samo, o co walczyliśmy w Marcu'68 – o wolność, demokrację, praworządność.

„Śmy tam razem z bratem tam byli na tym wiecu” powiedział 10 lat temu Lech Kaczyński. Niedawno ten brat napisał książkę, w której opisuje ten ich udział. Tyle że ten opis jest najmocniejszym dowodem na to, że ich tam nie było.

A czemu nie chcą zaprosić Michnika? Może podejrzewają że jest Szwedem?

Może trzeba przypomnieć jedną z Marcowych piosenek:

*O północy się zjawili jacyś dwaj cywili.
Nic nikomu nie mówili, tylko w mordę bili.
Pan prokurator ma rację,
mamy w Polsce demokrację
Pan Prokurator ma rację,
Demokracja jest... jak cholera.*

Igranie z ogniem

[13 marca 2018 r.]

*Gdy jesteś daleko udawaj, że jesteś blisko.
Gdy jesteś blisko, udawaj, że jesteś daleko.
Wprowadź zamieszanie w szeregi wroga i uderz.
Sun Tsu, „Sztuka wojny”*

**Od około trzech lat, mniej więcej od początku agresji Rosji na Ukrainie, obserwuję stałe, choć powolne, narastanie zagrożenia militarne-
go w Europie ze strony Rosji. Odnoszę wrażenie, że coraz bardziej
agresywna Federacja Rosyjska postępuje dokładnie według przyto-
czonej powyżej starożytnej nauki mistrza Sun. Niby nic się nie dzie-
je, ale w pobliżu naszych granic jest coraz więcej wojska i coraz bar-
dziej widać, że dowództwo NATO zaczyna traktować zagrożenie po-
ważnie. Jednocześnie Rosja czyni cały czas uspokajające gesty, a mili-
tarnie jest coraz bliżej.**

Tym czasem nasz kraj zachowuje się tak, jakby zewnątrzni dywersanci
wprowadzali zamieszanie w nasze szeregi. Wszystko to zaczyna już wy-
glądać groźnie, przy pozorach, że właściwie to nic się nie dzieje.

Polska w coraz szybszym tempie wyobcowuje się ze świata i coraz mi
trudniej uwierzyć, że jest to tylko nieudolność i polityczna niekompeten-
cja, a nie świadomy plan wyprowadzenia nas z Unii Europejskiej (a może
i z NATO), by móc w nieskrępowany sposób sprawować dyktatorskie rządy.

Szczególnie niepokojące jest ostatnie skłócenie naszego kraju z naj-
ważniejszymi sojusznikami w sferze militarnej, przede wszystkim z USA.

Wyjście z Unii Europejskiej (o ile taki plan jest brany pod uwagę), ze względu na potencjał militarny i gospodarczy Polski, a także jej położenie geopolityczne, naraziłoby nasz kraj na poważne niebezpieczeństwo. Zagrożona byłaby niezależność ekonomiczna, energetyczna, a w konsekwencji również polityczna Polski. Groziłby nam los Ukrainy – państwa osamotnionego, destabilizowanego od wewnątrz i z zewnątrz, z ogromnymi problemami ekonomicznymi, niestabilnym systemem politycznym i otwartym konfliktem zbrojnym na części jej obszaru. Poczucie zagrożenia to najbardziej dotkliwa, powszechna i nieunikniona konsekwencja opuszczenia Wspólnoty, uderzająca w podstawowe potrzeby każdego polskiego obywatela, w bezpieczeństwo narodowe i indywidualne.

Z kolei jedynie formalne pozostanie w Unii (co oznacza automarginalizację) także nie jest dobrym rozwiązaniem z punktu widzenia bezpieczeństwa. W obliczu postępującej integracji strefy euro i powstania w jej wyniku „Europy dwóch prędkości”, Polska dryfuje na peryferia cywilizacji europejskiej. Lansowanie wielokrotnie już w historii zweryfikowanego negatywnie projektu „Międzymorza” osłabia także naszą pozycję w Europie Środkowowschodniej.

Pamiętajmy, jakie przyczyny legły u podstaw powstania wspólnoty europejskiej. Podpisany w roku 1948 przez państwa Beneluksu, Francję i Wielką Brytanię „*Traktat Brukselski*” był reakcją na stałą obawę przed możliwością odrodzenia się militarystyki niemieckiego oraz rosnącym w siłę blokiem wschodnim i jego liderem Związkiem Sowieckim. Jego celem było przede wszystkim zapewnienie bezpieczeństwa i stabilizacji w Europie Zachodniej wraz z tworzeniem warunków do rozwoju gospodarczego i społecznego. Rojenia polityków obecnej władzy i ich sojuszników o – z jednej strony – korzyściach wynikających z integracji gospodarczej, a – z drugiej strony – o zagrożeniach płynących z integracji politycznej, świadczą o ich kompletnym braku rozumienia problemu i idei Unii. Wygląda to tak, jakbyśmy chcieli uczestniczyć w korzyściach gospodarczych wynikających z bycia w Unii, a jednocześnie rezygnowali ze wspólnej polityki zagranicznej i obronnej, rojąc sobie, że dla bezpieczeństwa wystarczy nam członkostwo w NATO.

Należy tu zadać obecnie rządzącym dwa podstawowe pytania:

(1) jak wyobrażają sobie nasz udział w integracji gospodarczej Unii bez obecności Polski w strefie euro?

(2) jakie zagrożenia mogą wynikać dla Polski z integracji politycznej, która realizowana jest w ramach wspólnej unijnej polityki zagranicznej i bezpieczeństwa?

Wprawdzie pozostajemy w NATO i formalnie mamy zagwarantowaną pomoc sojuszników w razie zewnętrznej agresji wynikającą z art. 5 Traktatu Północnoatlantyckiego. Jednak sprawy zaczynają się komplikować w razie tzw. wojny hybrydowej, podczas której trudno zdefiniować, gdzie kończy się incydent lub seria incydentów, a zaczyna jednoznaczna agresja. Problemy te są dostrzegane w państwach NATO i organizacja ta prowadzi właśnie poważny dialog wewnętrzny na temat koniecznej redefinicji wspomnianego artykułu 5. O realności takiego zagrożenia świadczy konflikt w Ukrainie, gdzie pojawili się rosyjscy żołnierze, ale bez żadnych oznak pozwalających zidentyfikować jednostkę, a nawet kraj pochodzenia. Tak zwane „zielone ludziki” początkowo nic nie robiły, tylko stały z bronią. W dodatku używały tego samego języka, co ludność miejscowa. Tak naprawdę wszyscy wiedzieli, że są to rosyjscy komandosi, którzy wtargnęli na teren innego kraju, ale trudno było to udowodnić. Taka sytuacja dawała też alibi politykom, którzy zwlekali z podjęciem konkretnych decyzji, a nikt z zagranicy nie pospieszył z pomocą osłabionej i źle uzbrojonej ukraińskiej armii.

W podobnej sytuacji może znaleźć się Polska, a mrzonki o tym, że bardzo słabo wyszkolona obrona terytorialna powstrzyma zawodowych komandosów Federacji Rosyjskiej, mających za sobą doświadczenia kilkukrotnego udziału w realnej walce, nie powinny być poważnie traktowane.

Jest to jedna z takich sytuacji, gdy realizacja traktatowego zobowiązania udzielenia pomocy napadniętemu zaczyna zależeć od interpretacji faktów i od chęci udzielania pomocy, a ta z kolei zależy w dużym stopniu od opinii o kraju, który pomocy potrzebuje. Co więcej, każdy kraj realizuje zobowiązania traktatowe chętniej, gdy uważa, że leży to w jego własnym interesie. A jaki interes mogą mieć w obronie Polski kraje, których politycy – a nawet narody – są bezustannie przez obecnie rządzących obrażane, do których marginalizująca się na własne życzenie Polska ma stosunek coraz bardziej nieprzyjazny, z którymi zrywa umowy lub wysuwa absurdalne roszczenia? Jak możemy oczekiwać solidarności ze strony naszych europejskich partnerów i sojuszników, jeśli nie potrafimy okazać naszej solidarności w obliczu kryzysu związanego z uchodźcami w Europie?

Trzeba też pamiętać, że odpowiedzialny polityk nie podejmuje pochopnych decyzji, mogących mieć poważne skutki. Niejasna sytuacja pozwala mu zwlekać z podjęciem działań. Widzimy to na przykładzie konfliktu USA i Korei Południowej z Koreą Północną. Korea Północna wielokrotnie wysyłała na terytorium sąsiada uzbrojonych żołnierzy,

ostrzeliwała z armat cywilne osiedla, atakowała kutry patrolowe lub cywilnych rybaków z Południa. Teoretycznie w każdej z tych sytuacji Korea Południowa i USA powinny rozpocząć działania wojenne, ale... Ale Korea Północna ma potężną armię, bardzo trudny teren i broń atomową. W dodatku prowadzi politykę sinusoidy. Doprowadza napięcie do zenitu, grożąc światu niemal wojną atomową, a później nagle łagodnieje, proponuje rozmowy, pozwala na odwiedziny podzielonych rodzin, wysyła na olimpiadę na południu swoją drużynę i proponuje wspólny start... Takich ociepleń było już sporo i wszystkie kończyły się niczym. Po każdym z nich KRL-D wznawiała program nuklearny i jeszcze bardziej powiększała swój militarny potencjał. Można zapytać, dlaczego świat się ciągle na to nabiera.

Politycy, którzy mają podjąć decyzję, stoją przed dylematem: czy z powodu incydentu rozpocząć wojnę, w której zginą tysiące żołnierzy i cywilów i która pochłonie gigantyczne koszty, czy też incydent zignorować, licząc ciągle na rozwiązanie polityczne? Przypomnijmy sobie z historii, że agresja hitlerowskich Niemiec nie zaczęła się od Polski. Wcześniej była interwencja w Hiszpanii, zajęcie Austrii i Czechosłowacji i świat demokratyczny nie reagował, bo właśnie agresor dawał mu alibi do zwlekania z decyzją.

Dla zmarginalizowanej Polski, pokłóconej ze wszystkimi sąsiadami i potencjalnymi sojusznikami, najbardziej niebezpieczna jest taka miękka agresja, za pomocą drobnych incydentów, drobnych faktów dokonanych, dywersantów, sabotaży i nowego narzędzia walki – internetu.

Rosja na coraz większą skalę prowadzi wojnę informacyjną, w ramach której stosuje postprawdę oraz tzw. „fake news”, czyli informacje kłamliwe. Ocenia się, że w internecie funkcjonuje obecnie 35% takich właśnie informacji. Ich adresatami są główne środowiska skrajnie prawicowe – nacjonalistyczne (70% informacji o tym charakterze) oraz lewackie (30%). Pomysł jest dwojaki:

- **po pierwsze:** za pomocą wpływania na opinię publiczną osłabić maksymalnie kraj (za pomocą fałszywych informacji, wzmacniania propagandy środowisk skrajnych, wspierania destrukcyjnych koncepcji politycznych i gospodarczych), powodować podejmowanie błędnych decyzji wyborczych obywateli oraz błędnych decyzji politycznych i gospodarczych przez rządzących;
- **po drugie:** szkodzić instytucjom i infrastrukturze za pomocą ataków hackerskich.

Główne cele takiej polityki są dwa: destabilizowanie sytuacji w Unii Europejskiej oraz ułatwienie przejmowania w jej państwach władzy przez partie populistyczne, które najczęściej działają w interesie długofalowej

i neorealistycznej polityki Kremla. Jak dotąd jednak, silne społeczeństwa obywatelskie demokracji zachodnich są odporne na tę retorykę, choć agresorowi udało się pewne cele osiągnąć, a przynajmniej im sprzyjać. Coraz więcej wskazuje na to, że działania Rosji miały wpływ na wybory w USA oraz na referendum dotyczące „brexitu” czyli wyjścia Wielkiej Brytanii z UE. Nie można wykluczyć, że wpływano także na wybory w Polsce (szereg poszlak i śladów dotyczących afery podsłuchowej prowadzi do Rosji).

Bardzo niepokojące są ataki hakerskie na sieci energetyczne państw bałtyckich oraz ataki na sieci rządowe w tych państwach. Jest to prawdopodobnie ćwiczenie, test możliwości, a przecież wiemy, że odcięcie prądu skuteczniej obezwładnia kraj niż naloty dywanowe. Staje przemysł, handel, komunikacja, łączność, nie działa radio i telewizja, ludzie nie mają dostępu do pieniędzy na kontach bankowych.

A jaki to ma związek z marginalizacją naszego kraju? Bardzo istotny, i to z dwóch powodów. **Po pierwsze:** bez współpracy z państwami bardziej zaawansowanymi technologicznie w obszarze cyberbezpieczeństwa i cyberobrony mamy małe szanse na rozwijanie własnych możliwości.

Po drugie: w ramach działań doraźnych nie możemy liczyć na pomoc ze strony tych państw. Kto udostępni tak wrażliwe technologie krajowi, do którego nie ma się całkowitego zaufania?

Zaufanie między sojusznikami jest kwestią podstawową. Od zaufania uzależnia się udostępnianie najnowszych technologii (nie tylko wojskowych), informacji wywiadowczych, najnowocześniejszego uzbrojenia. Bez zaufania ze strony sojuszników modernizacja polskiego wojska będzie bardzo trudna, bo w tej chwili prawie żaden kraj nie jest w stanie produkować wszystkiego, czego armia potrzebuje, w dodatku na odpowiednio wysokim poziomie.

W dodatku, po dwóch latach ministrowania Antoniego Macierewicza, polskie wojsko nie ma śmigłowców wielozadaniowych dla wojsk operacyjnych, skutecznej obrony przeciwlotniczej i przeciwrakietowej, ma starzejące się wojska pancerne, za to rozwija ogromnym kosztem obronę terytorialną, formację o drugorzędnym znaczeniu.

Kończąc, należy podkreślić z całą mocą, że obecna polityka wewnętrzna i zagraniczna sypcha nasz kraj na margines cywilizacyjny obszaru europejskiego i euroatlantyckiego. Polska racja stanu wymaga, by nasze uczestnictwo w Unii Europejskiej i NATO miało charakter podmiotowy, co jest możliwe tylko wtedy, jeśli będziemy respektować przyjęte w tych organizacjach zasady i wartości oraz łączyć prawa, jakie nam z tego tytułu przysługują, z zaciągniętymi zobowiązaniami. Stanowi to

naszą historyczną szansę na rozwój cywilizacyjny Polski oparty na tych wartościach, w tym przede wszystkim na wartościach ujętych w Karcie Praw Podstawowych Unii Europejskiej.

Kontynuacja natomiast obecnej polityki wyższości godności nad rozsądkiem coraz bardziej zagraża bezpieczeństwu kraju. Zaczyna już zagrażać naszej niepodległości.

Konsultacja:

Ppłk rez. Tadeusz Korablin, doktor nauk społecznych w dziedzinie nauk o bezpieczeństwie. Specjalizuje się w problematyce strategii NATO i polityki bezpieczeństwa UE. W latach 1998-2004 I Sekretarz w Stałym Przedstawicielstwie RP przy NATO i UZE w Brukseli. Uczestniczył w pracach Grupy Koordynacji Polityki (Policy Coordination Group) oraz Rady Północnoatlantyckiej (NAC) W latach 2003-2004 Przedstawiciel Polski w Radzie Administracyjnego Centrum Satelitarnego UE.

Polityka sinusoidy i wiara w słowo zbója

[23 marca 2018 r.]

PiS znowu łagodnieje. Wycofuje się rakiem z paru paskudnych ustaw, nie chce już ścigać Piątka za książkę o Macierewiczu, mizdrzy się do Angeli Merkel... Co jest grane?

Grane jest cały czas to samo, czyli polityka wznoszącej sinusoidy. PiS poczuł, że doszedł do ściany i trzeba zrobić unik. A nuż uda się oszukać Komisję Europejską i polską opozycję. Tak już było wiele razy. Oleksy już nie był wstrętnym komuchem, tylko „politykiem o lewicowych poglądach”, Kaczyński gadał „do przyjaciół Rosjan”, Duda wetował ustawy o sądach, a potem wnosił jeszcze gorsze, i tak dalej, i tak dalej... A później wracali do ostrego tonu i szli jeszcze dalej, niż przedtem.

Doświadczenie z historii jest takie, że wszystkie reżimy stosują tę taktykę i ona działa, bo świat demokratyczny niezmiennie od lat, po raz nie wiadomo który, gotów jest uwierzyć zbójom na słowo, że teraz będą już dobrzy. Nie będą i pora to zrozumieć. **To kit, błaga, pic na wodę i fotomontaż.**

PiS wcale tej taktyki nie wymyślił. Jest stara jak świat.

W 1938 roku świat demokratyczny zgodził się na aneksję Czechosłowacji w zamian za obietnicę Hitlera, że na tym już koniec. Brytyjski premier Chamberlain, wysiadając z samolotu w Londynie, wymachiwał umową z Monachium głosząc: „Przywożę wam pokój”. Rok później Hitler zaatakował Polskę mając w d... wszystkie swoje obiecanki, a Anglia i Francja były kompletnie nieprzygotowane do wojny.

Później w Jałcie alianci zgodzili się na włączenie Polski do sowieckiej strefy wpływów, a Stalin zgodził się na to, że w Polsce odbędą się wolne wybory. Co się odbyło, sami wiemy.

W 1945 roku, po kapitulacji Japonii, wojska Kuomintangu w Chinach zaczęły spychać komunistyczne armie Mao do Mandżurii. Komuniści przez całą wojnę z Japonią unikali walki z okupantem, licząc na to, że po wojnie bez trudu pokonają wykrwawione w walkach wojska Republiki. Ale się przeliczyli. Świetnie wyszkolony, zaprawiony w walkach żołnierz Kuomintangu miał nad nimi wyraźną przewagę. Komuniści zaczęli być spychani pod granicę z ZSRR i jeszcze chwila, zostaliby definitywnie wygonieni z Chin.

Ale w tym momencie znalazł się dobrotliwy amerykański generał Marshall (ten od planu Marshalla) i zagroził Czang Kai-Szekowi wstrzymaniem wszelkiej pomocy, jeśli nie zgodzi się na rozejm. Taki był pokojowy. W rezultacie, po dwóch latach rozejmu, wojska komunistyczne, przeszkolone przez sowieckich instruktorów i uzbrojone po zęby w sowiecką broń, przeszły do ofensywy i zajęły niemal całe Chiny.

Tak się kończy nieodmiennie wiara w dobrotliwego zbója.

Ale świat się niczego nie nauczył. W 1950 roku Korea Północna bez ostrzeżenia zaatakowała Południową. Zaskoczeni byli wszyscy, łącznie ze Stalinem i Mao, bo Kim Ir Sen ich też oszukał. Przypadkowo w Radzie Bezpieczeństwa ONZ nie było przedstawiciela ZSRR (bo Sowieci się właśnie obrazili) i dzięki temu na pomoc napadniętemu ruszyły wojska ONZ, głównie amerykańskie, ale także mniej liczne australijskie i brytyjskie. Zanim alianci zdążyli przerzucić wojska na Półwysp Koreański, komuniści z Północy doszli już prawie do końca Półwyspu. Nastąpiła kontrofensywa – Amerykanie i sojusznicy przekroczyli dość szybko 38 równoleżnik (czyli granicę) i wkroczyli do Korei Północnej. Wówczas na pomoc Północy ruszył „milion ochotników” czyli dwa miliony trzysta tysięcy żołnierzy Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej pod dowództwem marszałka Peng Dehuaia.

Ale Amerykanie mając potężne lotnictwo i superfortece B-29 czynili spustoszenie w szeregach wojsk chińskich (wojska Kim Ir Sena już nie istniały). I nagle na niebie pojawiają się sowieckie MIG-15, odrzutowe myśliwce o pułapie 15 kilometrów i prędkości ponad 1100 km/godz. Lotnictwo USA (i mniej liczne brytyjskie) zaczyna ponosić potężne straty.

I tu pytanie: skąd nagle Rosjanie zaczęli mieć tak nowoczesne samoloty? Ano stąd, że wcześniej brytyjski premier, chcąc nieco załagodzić zimnowojenne stosunki z ZSRR, podarował Stalinowi silniki odrzutowe rolls royce'a i technologię ich produkcji, dzięki czemu Rosjanie udający Koreańczyków zaczęli zestrzeliwać pilotów jego własnego lotnictwa i ich sojuszników.

Świat demokratyczny nadal niczego się nie nauczył. Mimo otwartego niemal wejścia do wojny wojsk chińskich i rosyjskiego lotnictwa, ofensywa Amerykanów i ich sojuszników parła naprzód. Chińczycy stosowali taktykę „ludzkiej fali”. Kolejne tyraliery atakowały licząc, że przeciwnikom skończy się amunicja. W rezultacie Chińska Armia Ludowo-Wyzwoleńcza straciła ponad 700 tysięcy zabitych i 1.200 tys. rannych, czyli blisko 70% ówczesnego stanu osobowego. Mao i Stalin zgodzili się na rozejm, bo zrozumieli, że jak tak dalej pójdzie, to za pół roku będą mieli MacArtura w Pekinie. Wojska ONZ potulnie wycofały się na linię 38 równoleżnika. Dzięki temu Kim Ir Sen odbudował swój reżim, który dziś, pod wodzą Kim Dżong Una, straszy świat bronią atomową. Mao rozwinął swą dyktaturę i przez 30 lat rządów wymordował ok. 200 milionów ludzi we własnym kraju.

Korea Północna prowadziła przez następne lata właśnie politykę wznoszącej sinusoidy. Rozwijała program zbrojeń i prowokacji zbrojnych, a gdy doszła do ściany, do groźby wybuchu kolejnej wojny, nagle łagodniała, godziła się na „słoneczną politykę”, odwiedziły rodziny, spotkanie z przywódcą Południa (za potężną łapówkę – 500mln USD), wysyłała drużynę na olimpiadę i proponowała Południowi wspólny start... Ale za każdym razem wracała do rozbudowy arsenału i agresji. Po każdym złagodnieniu budowała jeszcze większy potencjał militarny, na który bez tego złagodnienia sojusznicy Południa dawno by zareagowali.

Dokładnie tę samą taktykę stosuje PiS. **Łagodnieje, gdy dojdzie do ściany, ale później wraca do dalszego niszczenia praworządności i demokracji, do dalszej budowy dyktatury. Tak jest i teraz.** Niby nowe otwarcie, niby bardziej światowy premier, nowy minister spraw zagranicznych, schowany Macierewicz, ale tylko do czasu. Do czasu, gdy Komisja Europejska się cofnie i zrezygnuje z uruchamiania art. 7 Traktatu o Unii Europejskiej.

Mógłbym tak dalej (dwie wojny w Zatoce, bo po pierwszej zostawiono Saddama u władzy i trzeba było robić drugą, i tak dalej, i tak dalej...). Świat demokratyczny nie uczy się niczego. Demokrat nie jest mądry po szkodzie. Niestety jest przed szkodą i po szkodzie głupi, a potwierdzi to dobitnie, gdy dziś Kaczyńskiemu uwierzy.

Demokrata musi w końcu zrozumieć, że rozmawia z bandytą, który ma w d... prawo własne, prawo międzynarodowe, Traktat o UE, Traktat Akcesyjny, podpisane konwencje, rezolucje Rady Bezpieczeństwa, mandaty ONZ... **Bandyta rozumie tylko siłę, czy jest to bandyta sowiecki,**

koreański, iracki, czy nasz krajowy. Wiara w to, że bandyta się poprawi, jest głęboko naiwna.

Szanowna Unio Europejska, Szanowna Komisjo Europejska, bądź pierwszą demokracją, która się czegoś nauczyła. Nie daj Kaczyńskiemu zrobić się w trąbę.

Demagogia i jej skutek: 18 lat

[4 kwietnia 2018 r.]

Głośna ostatnio sprawa Tomasza Komendy, który spędził niewinnie 18 lat więzieniu, ma pewne tło, o którym mało kto pamięta. Tomasz Komenda został aresztowany w maju 2000 roku, w związku z gwałtem i morderstwem, które miało miejsce w Sylwestra 1996 roku. Kilkunastu świadków zeznało, że znajdował się gdzie indziej. Prokuratura nie sprawdziła, czy w ogóle mógł w tym czasie dostać się do miejscowości, w której dokonano zbrodni.

Dziś wiemy, że musiałby przemieszczać się szybciej, niż to w ogóle możliwe, a autobus, którym miał tam rzekomo dojechać, nie istniał. Prokuraturze nie chciało się sprawdzić „drugorzędnych wątpliwości” (ulubione sformułowanie Lecha Kaczyńskiego).

Tomasz Komenda został aresztowany w maju 2000 roku, gdy ministrem sprawiedliwości i prokuratorem generalnym był Lech Kaczyński (rząd AWS-UW), a jego zastępcą Zbigniew Ziobro. Obaj panowie prowadzili „politykę karną” (co w krajach praworządnych jest poważnym przestępstwem przeciw prawu) w efekcie której, po szeregu lat spadania poziomu przestępczości, ponownie zaczęła ona rosnąć (później znowu spadła).

Tomasz Komenda został przez policję ciężko pobity, biciem i wrzaskiem wymuszono na nim przyznanie się do winy, a „drugorzędne wątpliwości” pominięto. Warto przypomnieć czytelnikom atmosferę tego czasu oraz poglądy ówczesnego ministra (i jego brata) oraz jego zastępcy. Polecam Państwu mój artykuł na ten temat z lipca 2004 roku. Proszę

zwłaszcza zwrócić uwagę na dwa cytaty z Lecha Kaczyńskiego (drugi dotyczy tej sprawy):

Bywa, że w sprawach oczywistych mniejsze, wręcz wymyślone wątpliwości są tarczą dla wyjątkowo okrutnych i zdegenerowanych przestępców.

Są ślady zębów tego zbira (tzn. sprawcy gwałtu i zabójstwa), ślady DNA, wszelkie możliwe znaki – i nie można postawić zarzutu.

A oto tekst:

DEMAGOGIA I MITY

Krzysztof Łoziński, 2004-07-13.

Uporczywe powracanie przez PiS do pomysłu zaostrzenia prawa i przywracania kary śmierci świadczy o tym, że partia braci Kaczyńskich cierpi na poważny deficyt pomysłów na państwo, politykę i gospodarkę. Zamiast programu – populizm.

W niedzielę, 11 lipca, prezes Prawa i Sprawiedliwości Jarosław Kaczyński ogłosił, że jego ugrupowanie domagać się będzie przywrócenia kary śmierci. Była to odpowiedź PiS na czyn dwóch bandytów, którzy dla „uczczenia” urodzin jednego z nich, zabili (pobili i wyrzucili z pociągu) 21-letnią dziewczynę.

To wydarzenie pokazuje, że dotychczasowe zmiany w prawie karnym prowadzą do degradacji wartości życia ofiary, a z drugiej strony do wyniesienia wartości życia zbrodniarza. Z tym trzeba skończyć(...)

– oświadczył Kaczyński. Jego zdaniem, przywrócenie kary śmierci obniżyłoby poziom pewności sobie środowisk przestępczych i niejednemu Polakowi uratowałoby życie.

Wprowadzenie kary śmierci z całą pewnością jest moralnie uzasadnione, jest moralnie konieczne(...)

– twierdzi Kaczyński.

Moim zdaniem obecne słowa lidera PiS-u świadczą o zupełnie czym innym – o tym, że ta populistyczna partia nie ma żadnego pomysłu na realną politykę, na realne rozwiązywanie problemów kraju, a jedynie przy każdej okazji forsuje swój pomysł zaostrzania kar jako panaceum na wszystko: na nieurodzaj, recesję, inflację, stonkę ziemniaczaną, na wszystkie społeczne lęki, itp. Znamienna była dla mnie rozmowa telefoniczna z Lechem Kaczyńskim, byłym ministrem sprawiedliwości w rządzie AWS, którą przeprowadziłem ponad rok temu, jeszcze jako dziennikarz „Wprost”. Pisałem wówczas artykuł o niebezpiecznych dzielnicach w różnych miastach i dzwoniłem do prezydentów miast pytając, jaki mają pomysł na poprawę bezpieczeństwa w tych dzielnicach. **Lech Kaczyński, który był już wówczas prezydentem Warszawy, okazał się jedynym, który nie miał pomysłu żadnego. Wyrecytował mi natomiast swą ulubioną śpiewkę o zaostrzaniu kar i przywracaniu kary śmierci.**

W tym artykule postaram się wykazać na licznych przykładach publicznych wypowiedzi braci Kaczyńskich oraz ich najbliższego doradcy, Zbigniewa Ziobry, iż panowie ci w rzeczywistości nie mają żadnego realnego pomysłu na walkę z przestępczością, zaś ich głośne deklaracje mają na celu tylko budowanie popularności wśród najsłabiej wykształconych warstw społeczeństwa. Są bowiem czystą demagogią.

Dyskusja na temat kształtu prawa karnego nie toczy się między dwiema koncepcjami, liberalną i konserwatywną, lecz pomiędzy wiedzą, wynikającą z dorobku nauk prawnych, reprezentowaną przez grono profesorów prawa karnego oraz ignorancją, demagogią i populizmem byłego ministra Lecha Kaczyńskiego i jego otoczenia.

Poglądy głoszone przez byłego ministra sprawiedliwości Lecha Kaczyńskiego, jego brata Jarosława i czołowego doradcę Zbigniewa Ziobrę, trafiają do przekonania większości Polaków i nie pomagają protesty środowiska prawniczego. Ludzie chcą wierzyć, że Lech Kaczyński poskromi przestępców, że znaleziono cudowny lek na patologię, której większość ludzi się boi. Ów rzekomo cudowny lek, czyli surowe prawo, pasuje do wyobrażeń większości ludzi i współgra z ich emocjami.

O ile zwykły człowiek może mieć naiwne wyobrażenia o prawie karnym, o tyle wyznający podobne poglądy minister jest postacią niepokojącą. Głoszenie antynaukowych koncepcji przez byłego członka rządu i odwoływanie się, w dyskusji z naukowcami, do opinii „prostego ludu”, przypomina praktyki niechlubnego okresu.

Kwestionowanie dorobku nauki nie jest zjawiskiem nowym. W ilustrowanych tygodnikach wyśmiewano teorię powszechnej grawitacji, rysując Newtona, któremu włosy stawały dęba w kierunku przelatującej

nad nim kuli. Wielu filozofów, ale nie fizyków, „niezbicie wykazywało” absurdalność teorii względności i fizyki kwantowej. Dziś nauki przyrodnicze przyzwyczyły nas do niezwykłych teorii. Dziś – na gruncie „zdrowego rozsądku” – kwestionuje się dorobek nauk prawnych. Niepokojące jest to, że na czele nagonki, kwestionującej autorytet profesorów, sędziów i prawa, stoi były minister sprawiedliwości z gronem doradców.

W starciu z ludową „logiką”, nauka zawsze stoi na przegranej pozycji. Jeśli ktoś padł ofiarą przestępstwa, czuje się przerażony i poniżony. Najchętniej widziałby sprawcę na dożywocie. Demonizuje możliwości przestępcy. Ciężko przestraszony człowiek chętnie daje posłuch wezwaniom do zaostrzania kar, uproszczenia procedur, ograniczania prawa do obrony, pogarszania warunków w więzieniach. Jakkolwiek rozumie się te emocje, to państwo powinno kierować się wiedzą a nie ludowymi przekonaniami. Nie można w tworzeniu prawa ignorować dorobku nauk prawnych. Człowiek, który propaguje ignorancję, nie powinien być ministrem.

ODWRACANIE FAKTÓW I MYLENIE POJĘĆ

Obaj bracia Kaczyńscy, Lech i Jarosław, nazywają swoich przeciwników „zwolennikami łagodnego karania” oraz określają koncepcję nowoczesnego prawa karnego jako „liberalną ideologię”.

Nazwanie grona profesorów prawa „zwolennikami łagodnego karania” jest przeinaczeniem faktów. Według nowoczesnej koncepcji prawa karnego, wysokość kary ma być wynikiem rozważenia wszelkich za i przeciw, jak: zagrożenie recydywą, szansa resocjalizacji, szkodliwość społeczna, skuteczność itp. Nie ma natomiast takiej dyrektywy, że kara ma być z założenia łagodna. Bracia Kaczyńscy stosują demagogiczny chwyt odwracający role w dyskusji. Pogląd naukowy nazywają ideologią, przypisując mu zarazem tezę, której on wcale nie głosi (łagodność) i przeciwstawiają mu swój pogląd, że kary mają być z założenia surowe, czyli właśnie pogląd czysto ideologiczny.

Demagogicznie odwołują się do powszechnego wyobrażenia, że kara kilku lat więzienia jest łagodna. W Polsce mówi się „rok to nie wyrok”. Mówi się: „posiedzi kilka lat i wyjdzie”, jakby te kilka lat to było nic. Tymczasem w większości cywilizowanych krajów uważa się karę roku pozbawienia wolności za wyrok duży, a kilka lat – za bardzo duży. Wybaczcie Państwo osobisty odnośnik, ale ja też myślałem, że rok więzienia to łagodna kara, dopóki sam nie znalazłem się w więzieniu. Zapewniam Państwa, że pozbawienie wolności, nawet bez dodatkowych szykan, jest strasznym przeżyciem.

Są tacy, których nikt nie przekona, bo dla nich wszystko poniżej 20 lat więzienia jest łagodne. Ludzie tak myślący w średniowieczu twierdziliby, że wbicie na pal jest zbyt łagodne, bo pal powinien być tępy. Czy jednak ludzie tworzący prawo powinni odwoływać się do poglądów tej właśnie grupy?

Dlaczego rzekoma „ideologia łagodnego karania” ma być „liberalna”? Koncepcje liberalne mówią jedynie o tym, że prawo ma być jednakowe dla wszystkich i bezwzględnie przestrzegane. Rzecz w tym, że pojęcie „liberalizm” uważane jest w kręgach skrajnej prawicy za epitet. W tych kręgach, wszystko co znajduje się na lewo od prawej ściany jest „liberalne”.

ZAOSTRZANIE KAR A PRZESTĘPCZOŚĆ

W każdej dziedzinie nauki kryterium prawdziwości teorii jest jej weryfikacja empiryczna. Choćby teoria była kryształowo logiczna, to jeśli przeczą jej fakty obserwacyjne, jest błędna. Teorii, o tym, że surowe kary są lekiem na przestępczość, przeczy doświadczenie historyczne, informacje o stanie przestępczości na świecie oraz zjawisko recydywy.

Koncepcja zwalczania przestępczości za pomocą surowych kar była realizowana przez całą historię ludzkości. Gdyby była skuteczna, to środowiska przestępcze powinny nie istnieć od wieków. Tymczasem mimo tortur i obcinania rąk, złodziei nie ubywało. Wiara, że jeśli zaostrzy się kary to zmaleje przestępczość, jest wiarą naiwną.

Gdyby ta teoria była prawdziwa, to w krajach o surowym prawie przestępczość powinna być znacząco mniejsza niż w tych o prawie łagodniejszym. Tymczasem dzieje się dokładnie odwrotnie. Na ponad 180 państw świata, w około 150 prawo lub praktyka karna, jest znacznie surowsze niż w pozostałej trzydziestce, którą stanowią głównie państwa Europy i Ameryki Płn. To właśnie w tych 150 surowych systemach, a nie w łagodnej Europie, liczby groźnych przestępstw na 100 tys. mieszkańców – a ściślej czynów, które nasz kodeks uważa za przestępstwa – są od kilkunastu do kilkuset razy większe niż u nas.

Z tych 150 państw, ludność trzech (Chiny, Indie, Indonezja) stanowi w sumie połowę populacji ludzkiej. W tej połowie ludzkości prawo jest niezwykle surowe, a przestępczość bardzo wysoka. **Jeżeli dla kogoś połowa ludzkości nie jest próbą reprezentatywną, to cierpi na poważny defekt logicznego myślenia.**

Większość opracowań podaje tylko statystyki dotyczące trzydziestu najbezpieczniejszych, zarazem najbogatszych i najbardziej praworządnych państw. Z uzyskaniem danych o tych państwach nie ma kłopotu,

natomiast co do całej reszty, to albo dane oficjalne są niewiarygodne albo wcale ich nie ma i trzeba szukać specjalistycznych opracowań. Nie można twierdzić, że ta trzydziestka państw to cały świat, bo w roczniku statystycznym skończyła się tabelka. Z tego pominięcia 150 państw wyciąga się nieuprawnione wnioski, że jesteśmy „w światowej czołówce pod względem liczby groźnych przestępstw” (Lech Kaczyński i Zbigniew Ziobro). Nieprawda. Jesteśmy w drugiej połowie drugiej setki.

Tu powie ktoś: „Co nas obchodzą Chiny, Indie i reszta świata? Jesteśmy w Europie!” Dobrze, ale w takim razie powiedzmy otwarcie, że porównujemy polską przestępczość do grupy najbezpieczniejszych państw świata i że sami do niej należymy.

Jeśli popatrzymy na zjawisko przestępczości w skali świata to zauważymy, że najważniejszymi przyczynami tego zjawiska są: niski poziom praworządności i nędza względna, czyli duża rozpiętość zamożności, nędza sprawców i zamożność ofiar. Twierdzenie, że sama zmiana polegająca na zwiększeniu surowości prawa karnego, a więc czynnika, który ma znaczenie drugorzędne, spowoduje istotny spadek przestępczości, jest mydleniem oczu.

HODOWLA DESPERATÓW

Człowiek skazany na wiele lat więzienia nie ma innej szansy niż starać się uciec i popełniać następne przestępstwa, bo do normalnego życia wrócić nie może. Jeśli wyjdzie po ośmiu, dziesięciu latach, to nie ma pracy, nie ma gdzie mieszkać i nie ma pieniędzy. To jest desperat, który może być bardziej groźny, niż przed pójściem do więzienia.

Jeżeli według obecnej koncepcji prawnej, mówi się o wyważaniu wyroków, o unikaniu większej surowości niż potrzeba, to nie dla mitycznego „dobra przestępców”, lecz dla dobra społeczeństwa. W trosce o to, by nie hodować desperatów, by więzienie nie było miejscem, gdzie z przypadkowych złodziei amatorów produkuje się zawodowych bandytów.

Nikt nie mówi, że w niektórych przypadkach nie powinny zapadać wyroki bardzo surowe, bo są i tacy przestępcy, których trzeba trwale izolować. Sąd powinien mieć jednak możliwość oceny konkretnej sprawy, a nie realizować odgórną ideologiczną dyrektywę, że ma karać surowo.

Lech Kaczyński traktuje odstraszącą rolę kary tak, jakby działała zawsze oraz wyłącznie pozytywnie. Rzeczywistość jest bardziej skomplikowana. Około połowy zabójstw w Polsce jest wynikiem awantur w rodzinie. On nie chciał żony zabić, tylko za mocno ją trzepnął. O odstraszącym działaniu kary nie ma mowy, bo ten sprawca w ogóle nie myślał. Inna kategoria: rozróbę po alkoholu. Ci sprawcy niczego nie kalkulują

i nic ich nie odstrasza, bo są zamroczeni. Kolejna kategoria: sprawcy tak głupi, że nie są w stanie prawidłowo przewidywać.

O tym, że kara nie zawsze odstrasza, świadczą zabójstwa dla zdobycia małych sum pieniędzy. Gdyby „Łomiarz” tylko wyrwał kobietom torebki, nie groziłoby mu dożywocie, a policja mniej intensywnie by go szukała. Przypomnę jeszcze jedną sprawę: podwójne zabójstwo dokonane dla zakładu, by pokazać, że sprawcy nie boją się kary śmierci. Bywa że wysoka kara nie odstrasza, lecz prowokuje. Bywa też, że sprawcy, by uniknąć wysokiej kary, decydują się na zabicie świadków.

Lech Kaczyński twierdzi, że „przestępcy jednak kalkulują”. To jest „prawda niezupełna”, kalkulują niektórzy i jest pewien ważny aspekt tych kalkulacji. Wariantem, którego nie biorą pod uwagę, jest odstępianie od przestępstwa. Co najwyżej kalkulują, jaka metoda przestępstwa grozi mniejszą karą. Skutkiem odstrasżającego działania kary może być lepsze przygotowanie przestępstwa i trudniejsze jego wykrycie. Kary działają odstrasżająco na zwykłych ludzi, którzy nie są zbyt uczciwi, ale nie ukradną, bo się boją. Istnienia odstrasżającego działania kary na groźnych przestępców nikt dotąd nie udowodnił.

MANIPULACJA FAKTAMI

Argumentacja Lecha Kaczyńskiego i jego zwolenników ma charakter dobierania faktów do założonej z góry teorii. Przytacza się prace paru naukowców z uczelni zachodnich.

Na każdej uczelni znajdzie się paru dziwaków, którzy dowodzą odosobnionych poglądów a internet daje możliwość znalezienia prac dowodzących niemal wszystkiego, nawet tego, że słońce wschodzi na zachodzie. Te opracowania, dowodzące cudownego działania wysokich kar, rzeczywiście istnieją. Trzeba tylko przemilczeć, że naukowcy, w swojej zasadniczej masie, się z nimi nie zgadzają. To nie przypadek, że z poglądami Lecha Kaczyńskiego i polemizuje duża grupa profesorów prawa, a nie widać podobnie licznej grupy autorytetów, która by ministra popierała.

Podobnie rzecz się ma z przykładami krajów, w których – ponoć – zaostrenie kar przyniosło spadek przestępczości. Najchętniej wymienia się tu USA lub jego poszczególne stany (oczywiście pomijając te, w których przestępczość wzrosła). Manipulacja polega znowu na przemilczeniu części prawdy. W Stanach Zjednoczonych, poza zaostreniem prawa karnego, wprowadzono szereg innych działań antyprzestępczych. Była, na przykład, ogromna akcja skupywania broni, będącej w prywatnym posiadaniu (opracowania amerykańskie podają zgodnie powszechny

dostęp do broni jako podstawową przyczynę wysokiej przestępczości). Były działania burmistrza Nowego Jorku, Gulianiego, który zmniejszył liczbę przestępstw w mieście nie zmieniając prawa (tak, nie zmieniając prawa – bo burmistrz nie jest prezydentem, Senatem ani Izbą Reprezentantów i zmieniać prawa nie może). Tymczasem zwolennicy koncepcji Lecha Kaczyńskiego mają niezbitą pewność, że spadek przestępczości spowodowało zaostrzenie kar, a nie coś innego. Nie podają jednak żadnych dowodów, z których ta pewność wynika. Pomijają przy tym milczeniem wyraźnie widoczną korelację z całego świata, świadczącą o tendencji dokładnie odwrotnej.

Kolejny element manipulacji: odwoływanie się do fałszywych wyobrażeń. Większość Polaków uważa nasz kraj za bardzo niebezpieczny, bo nie widziała krajów, w których przestępczość jest naprawdę wysoka. Kudy nam do bandziorstwa na Kubie, w Kolumbii, w Chinach, w Indonezji, na Filipinach, w Pakistanie, w Afganistanie... Jak tu porównywać początkujące gangi Pruszkowa i Wołomina do mafii neapolitańskiej, sycylijskiej, marsylskiej, nowojorskiej, a tym bardziej do gangów chińskich, posiadających więcej sztuk broni maszynowej niż Wojsko Polskie, czy do Yakuzy, obracającej pieniędzmi większymi niż budżet naszego państwa. Bez przesady, panie ministrze. Jak na razie, **żaden polski gang nie wygrał bitwy z wojskiem, bo miał lepsze czołgi i śmigłowce (a to miało miejsce np. w Chinach, w prowincji Yunnan), ani nie zbudował łodzi podwodnej do celów przemytu (Kolumbia). Zwalczajmy naszych przestępców, ale nie plećmy, że są najgroźniejsi.**

Lech Kaczyński, zapytany przez Monikę Olejnik, dlaczego w Rosji jest wysoka przestępczość, choć są surowe kary odpowiedział, że gdyby kary nie były surowe, to przestępczość byłaby jeszcze większa. To wniosek, który z niczego nie wynika, poza ideologicznym przekonaniem. Rosyjska przestępczość jest skutkiem anarchizacji i kryminalizacji państwa, braku praworządności, biedy i powszechnej demoralizacji. Wysokość kar niewiele ma tu do rzeczy.

Obaj bracia Kaczyńscy, gdy nie mają argumentów, strzelają wnioskami i faktami wziętymi z sufitu. Jarosław Kaczyński, zapytany o przestępczość w Chinach odpowiedział, że „tam wykrywalność jest promilowa”. To nieprawda. Jarosław Kaczyński nie wie, jaka jest wykrywalność przestępstw w Chinach, tylko strzelił „faktem z sufitu”, podobnie jak jego brat strzelił „z sufitu” wnioskiem na temat Rosji i twierdzeniem, że Polska jest „w światowej czołówce pod względem liczby groźnych przestępstw”.

W innym wywiadzie Lech Kaczyński stwierdził: „jest taka praktyka, że sprawcy groźnych przestępstw wychodzą na wolność”. To kolejny „fakt”

wzięty z potocznych wyobrażeń i nie oparty o rzetelne dane. W Polsce sprawcy groźnych przestępstw na ogół otrzymują wyroki znacznie wyższe niż w innych krajach europejskich. Jeśli „jest taka praktyka”, to kto siedzi w przepelnionych więzieniach? Niewinni?

Najczęściej używaną metodą manipulacji przez grono zwolenników surowych kar są nieuprawnione uogólnienia. Taką metodą posługują się ludzie prości, formułujący sądy typu: „kobiety są przewrotne” lub „koty są wredne”. Ten poziom uogólnień nie powinien mieć miejsca w poważnej dyskusji. Tymczasem formułowane są takie zdania, jak: „sędziowie są skorumpowani”, „sądy wypuszczają bandytów” itp. W każdym, liczącym tysiące ludzi środowisku znajdują się skorumpowani i niekompetentni. Ale skorumpowany sędzia ma imię i nazwisko a błąd w orzekaniu ma konkretnych autorów.

ANTYNAUKOWA KRUCJATA

W jednym z wystąpień telewizyjnych Lech Kaczyński zapytany o list 42 profesorów prawa i adwokatów, którzy publicznie zaprotestowali przeciw jego koncepcjom, odparł, że „z tymi autorytetami, to nie jest sprawa taka prosta, jak w fizyce czy chemii”. Jest to niczym nie uzasadnione kwestionowanie kompetencji autorów listu.

Patrząc na sprawę z boku, trudno nie zauważyć, że adwersarze pana ministra autorytetami w dziedzinie prawa karnego są, zaś jego poplecznicy autorytetami nie są. Jak dotąd Lecha Kaczyńskiego nie poparł żaden wybitny znawca prawa karnego, nawet żaden poważny publicysta prawny. „Z tymi autorytetami” sprawa jest zupełnie prosta, panie ministrze. Jednoznacznie wypowiadają się przeciw panu.

Lech Kaczyński sugeruje, że prawidłowości formułowane przez nauki społeczne nie obowiązują obiektywnie, jak prawa fizyki. Jest to pogląd antynaukowy. Na negowaniu tego obiektywizmu zbudowano marksizm i skutki znamy. To, że prawa nauk społecznych nie dają się zapisać w postaci wzorów nie oznacza, że można w tak delikatnej materii, jaką jest społeczeństwo, dowolnie majstrować, ignorując naukową wiedzę. O antynaukowym charakterze koncepcji Lecha Kaczyńskiego świadczy to, że na wszystkie problemy przestępczości zaradzić ma jedno, przy tym toporne lekarstwo: surowe kary. Przestępczość to wiele różnych zjawisk, o różnych mechanizmach i różnych przyczynach. Inne są przyczyny korupcji, inne rozbojów, inne burd po alkoholu a jeszcze inne gwałtów i nie można twierdzić, że na wszystkie zarazy wynalazło się uniwersalną aspirynę.

Odpowiadając na list 42 prawników Lech Kaczyński mówi:

Są w tym liście sprawy wysoce niepokojące. Twierdzi się na przykład, że liberalne prawo – a więc łagodność wobec morderców, gwałcicieli i bandytów – jest składnikiem pojęcia wolności.

To przykład typowej dla braci Kaczyńskich metody dyskusji: wmawianie przeciwnikowi poglądów, których on wcale nie głosi, a z którymi łatwiej jest dyskutować niż z rzeczywistymi argumentami. Jak dotąd żaden z krytyków pana ministra nie twierdził, że „łagodność wobec morderców, gwałcicieli i bandytów jest składnikiem wolności”. „Liberalne prawo” nie ma nic wspólnego z „łagodnością wobec morderców”. Lech Kaczyński wmawia ogółowi, że w kodeksie karnym (wedle niego „liberalnym”) znajdują się rzeczy, których w nim w ogóle nie ma. Za morderstwo grozi dożywocie, a nie „łagodność”.

Gdy nie ma się argumentów i nie ma się racji, przypisuje się adwersarzowi jakieś bulwersujące opinię publiczną zdanie, którego on wcale nie wypowiedział, starając się wzbudzić gniew ludu i zastraszyć rozmówcę wrzaskiem. Każdy, kto ma inne zdanie, zostaje okrzyknięty „zwolennikiem łagodnego karania”, poplecznikiem „morderców, gwałcicieli i bandytów” i oczywiście „liberałem” (np. Lech Falandysz „liberał”?!).

W wypowiedziach Lecha Kaczyńskiego jest wiele elementów świadczących o tym, że nie zna on lub udaje że nie zna, metodyki badań naukowych. Na stwierdzenie:

Polska nadal jest krajem dużo bezpieczniejszym niż Francja czy Wielka Brytania,

Lech Kaczyński odpowiada:

To wierutna bzdura. W tych krajach jest wyższa przestępczość ujawniona – to znaczy ta, którą ujmują statystyki. U nas jest nieporównywalnie większa ciemna liczba przestępstw.

Pan minister myśli, że naukowcy to niekompetentne dzieci, które ślepo wierzą w liczby podawane przez policję, że przestępstw nie zgłoszonych statystyki nie obejmują! Zdumiewająco naiwne wyobrażenie o metodzie sporządzania statystyk i znów argument wzięty z sufitu. Lech Kaczyński nie wie, czy dane, o których myśli rozmówca, obejmują przestępstwa niezgłoszone, czy też nie, bo nie podał on żadnych liczb. Skąd wniosek, że miał na myśli tylko przestępstwa zgłoszone? Znikąd. Trzeba było szybko coś palnąć w odpowiedzi, nie dbając o to, czy to prawda.

Ulubionym argumentem zwolenników Lecha Kaczyńskiego i jego samego, jest twierdzenie, że „statystyki nie oddają rzeczywistości”. To by znaczyło, że statystyki sporządzane są przez ignorantów. Nieprawda. Statystyki sporządzane przez instytucje naukowe oraz takie jak np. GUS, oddają rzeczywistość. Uwzględniają „ciemną liczbę”, bo istnieją algorytmy pozwalające na oszacowanie wielkości zjawiska na podstawie niepełnych danych.

Czy pan minister nie wie, że w statystykach podaje się liczby przestępstw zgłoszonych, wykrytych oraz „wszystkich” i że są to różne liczby? Że dla oceny stanu bezpieczeństwa w różnych krajach porównuje się nie liczby przestępstw w ogóle, tylko liczby takich samych czynów na sto tysięcy mieszkańców rocznie, bo kraje mają różną liczbę ludności, a ten sam czyn w jednym kraju może być przestępstwem, a w innym nie? **Gdyby stosować rozumowanie Lecha Kaczyńskiego, to okaże się, że najbezpieczniej jest w Somalii, Laosie i Arabii Saudyjskiej, bo tam nie ma kodeksu karnego i statystyk.** Mimo to liczba zabójstw na sto tysięcy mieszkańców rocznie istnieje i naukowcy potrafią ją oszacować. Dla Polski wynosi ona ok. 3, a dla Somalii ok. 300.

Lech Kaczyński twierdzi, że

(...) na całym świecie liberalizacji prawa karnego towarzyszył wzrost przestępczości. Narzuca się wniosek o związku przyczynowo-skutkowym między tymi dwoma zjawiskami. Autorzy listu świetnie wiedzą, że wyniki badań naukowych w tym zakresie są zróżnicowane.

„Na całym świecie” nastąpiła „liberalizacja prawa karnego”?! W ogromnej większości państw, żadnej „liberalizacji prawa karnego” nie było (w kilkudziesięciu państwach do dziś nie ma skodyfikowanego prawa). A więc znowu: świat nie kończy się równo z tabelką w europejskich statystykach. Co zaś do owej „liberalizacji” w ok. trzydziestu najbogatszych krajach, która następowała stopniowo od początku XX wieku, to tak się składa, że właśnie w tych krajach przestępczość jest znacznie mniejsza niż w krajach pozostałych. W tych krajach później następowały różne niewielkie wzrosty lub spadki liczby przestępstw, cały czas wokół tego niskiego poziomu, które zbiegały się w czasie – lub nie – ze zmianami w prawie. Na tych wahaniach spekulują zwolennicy Lecha Kaczyńskiego. Jeśli patrzeć na cały proces, a nie na dowolnie wybrany wycinek, to jest on dokładnie odwrotny, niż Lech Kaczyński twierdzi. Świadczą o tym różnice bardzo duże, a nie subtelne. Spekuluje się na niewielkich

wahaniach stanu bezpieczeństwa w i tak bezpiecznej Anglii, czy USA, a pomija się milczeniem kraje o prawie potwornie surowym i przestępczości wprost gigantycznej (np. Kolumbię, RPA).

Sama zbieżność w czasie jeszcze nie dowodzi związku przyczynowo-skutkowego. W niektórych krajach w tym samym czasie zwiększono znacznie zakres wolności, zwłaszcza gospodarczej, co pozwoliło łatwiej kraść i łatwiej sprzedawać kradzione, i zliberalizowano prawo karne. Nie wszędzie jednak tak było. W Polsce nastąpił skokowy wzrost liczby przestępstw przeciwko mieniu w tym samym czasie, gdy wprowadzono wolny rynek. Niewielkie złagodzenie niektórych sankcji karnych nastąpiło kilka lat później. W odniesieniu do Polski, mówiąc o związku przyczynowo-skutkowym, **Lech Kaczyński buduje wehikuł czasu. Przyczyna jest, według niego, osiem lat późniejsza niż skutek.** Złagodzenie prawa karnego spowodowało wzrost przestępczości osiem lat wcześniej, niż się dokonało.

„Wyniki prac naukowych” podają inne przyczyny zjawiska niż zmiany w prawie karnym. Twierdzenie, że obecnie kradnie się więcej samochodów, bo złagodzono prawo, to demagogia. Piętnaście lat temu było w Polsce 2 mln samochodów, a obecnie jest 16 mln. Poza tym łady i traby były dla złodziei mniej atrakcyjne niż mercedesy. I to chyba jest przyczyna wzrostu liczby kradzieży. Piętnaście lat temu przemycano do Polski mniej narkotyków, bo nasz rynek był za biedny dla wielkich gangów. Rzadziej napadano na osoby wychodzące z banków, bo mało kto trzymał pieniądze w bankach, itd. Przez kilka lat w stanie zapaści były służby policyjne, które dopiero później zaczęto reformować. Ale dla Lecha Kaczyńskiego, to wszystko nie są przyczyny wzrostu przestępczości, tylko to, że osiem lat później nieco złagodzono prawo.

Lech Kaczyński udaje, że nie wie, iż zbieżność w czasie złagodzenia kar i wzrostu przestępczości lub zaostrzenia kar i jej spadku, nie zawsze istnieje. Swego czasu, w USA, znaczne zaostrzenie prawa – w postaci ustaw prohibicyjnych – spowodowało ogromny wzrost przestępczości zorganizowanej. Wzrost, a nie spadek.

Obie powyższe metody manipulacji faktami jednocześnie zastosował Zbigniew Ziobro („Gazeta Wyborcza” z 26 lipca 2000 r.). Pisał on:

Na przestrzeni ostatnich kilkadziesiąt lat w Europie Zachodniej i USA warunki społeczne i standard życia systematycznie się poprawiały. Politykę kryminalną oparto na modelu łagodzenia kar(...). Zgodnie z receptą prof. Widackiego przestępczość powinna wyraźnie spaść(...). Stało się wprost przeciwnie. Poziom przestępczości generalnie wzrósł.

Manipulacja pierwsza: dowolnie wybrany wycinek czasu, w którym jednocześnie występuje zjawisko innego rodzaju sprzyjające przestępczości (wzrost zamożności społeczeństwa). **Manipulacja druga:** niczym nie udowodnione przypisanie przyczyny wzrostu przestępczości polityce karnej, a nie np. wzrostowi zamożności, lub innym czynnikom. Zbigniew Ziobro wyraźnie nie rozumie, iż zbieżność w czasie, a nawet istnienie korelacji w sensie statystycznym, nie dowodzi jeszcze związku przyczynowego, a tym bardziej nie dowodzi kierunku związku przyczynowego. Rozumując tak jak on, można ze zbieżności w czasie zapadania zmroku i zachodu słońca wyciągnąć wniosek, że zapadanie zmroku jest przyczyną zachodzenia słońca – słońce się chowa, bo jest mu za ciemno! **Korelacja w czasie istnieje też pomiędzy początkiem matur i wysypem chrabąszczy.** W cytowanej wypowiedzi Zbigniewa Ziobro wysoce wątpliwa historycznie jest także teza o „oparciu polityki kryminalnej na modelu łagodzenia kar”. W jednych bowiem kategoriach prawo łagodzone, ale w innych wprowadzano kary, tam, gdzie ich wcześniej wcale nie było (przykład najprostszy: karanie za bicie żony i dzieci, za molestowanie seksualne, za szereg przestępstw gospodarczych).

Przyczyn zmian poziomu przestępczości może być dużo. Na przykład, wzrost zamożności społeczeństwa powoduje, że kraj staje się atrakcyjniejszym rynkiem dla przestępców. Z tego powodu w Polsce, w ostatniej dekadzie XX wieku, następował powolny wzrost liczby przestępstw przeciwko mieniu. Mówiąc obrazowo, coraz bardziej było co kraść i coraz bardziej było komu sprzedać kradzione.

Przyczynami wzrostu przestępczości mogą też być zjawiska demograficzne, wzrost gęstości zaludnienia, migracje, a nawet zmiany klimatu (każdy policjant wie, że w dni deszczowe jest mniej bójek). Nie można wszystkich zjawisk mierzyć jednym parametrem.

Wbrew twierdzeniu Zbigniewa Ziobry „recepta prof. Widackiego”, czyli nowoczesna koncepcja prawa karnego, sprawdza się. Mimo różnych wahań poziomu przestępczości, spowodowanych innymi czynnikami, w Europie Zachodniej i USA przestępczość nigdy nie zbliżyła się do poziomu krajów, w których tej recepty nie stosowano.

DEMAGOGIA PRAWNA

Oto czołowy argument Lecha Kaczyńskiego: „Prawa człowieka interpretowane są w sposób groźny dla społeczeństwa – przestępcy są bezkarni a ofiary bezbronni”.

Proszę podać mi choć jeden przypadek groźnego przestępcy, któremu udowodniono winę i pozostał bezkarny ze względu na prawa człowieka!

A może myśli pan minister o przestępcach, którym nie udowodniono winy, lub ich nie złapano? Ale co mają do tego prawa człowieka?

Klucz do rozwiązania tej zagadki tkwi w innych wypowiedziach pana ministra, z których wynika, że jest on zwolennikiem skazywania ludzi bez udowodnienia im winy. Lech Kaczyński mówi:

Bywa, że w sprawach oczywistych mniejsze, wręcz wymyślone wątpliwości są tarczą dla wyjątkowo okrutnych i zdegenerowanych przestępców.

Ten bełkot logiczno-prawny niestety trafia do przekonania wielu ludzi. Wielokrotnie słyszałem wypowiedzi w stylu: „Sąd go uniewinnił z braku dowodów, ale wiadomo, że jest winien”. Nieprawda. Jak nie ma dowodów, to „nie wiadomo”. Można przeboleć, że nie rozumie tego człowiek niewykształcony, ale nie minister sprawiedliwości!

Co to znaczy „sprawy oczywiste”? Dla sądu sprawa jest oczywista dopiero, gdy udowodni się winę. Co to znaczy „mniejsze wątpliwości”? W cywilizowanym systemie prawnym, by kogoś skazać, wątpliwości musi nie być – ani większych, ani mniejszych. Lech Kaczyński chciałby zanegować zasadę domniemania niewinności. Poza tym proszę o konkrety: który to sąd, i w jakiej sprawie, „wymyślił wątpliwości”, by stały się one „tarczą dla wyjątkowo okrutnych i zdegenerowanych przestępców”? **Wydaje mi się, że „wymyślanie wątpliwości” przez sąd wymyślił Lech Kaczyński.**

Jakie prawa człowieka „źle się interpretuje”? Żadna z konwencji praw człowieka nie precyzuje, jakiej wysokości mają być wyroki. Lech Kaczyński podaje przykłady:

Są ślady zębów tego zbirą (tzn. sprawcy gwałtu i zabójstwa), ślady DNA, wszelkie możliwe znaki – i nie można postawić zarzutu.

Jeżeli prokurator nie może postawić zarzutu, to są dwie możliwości: albo – wbrew temu, co pan mówi – nie ma wystarczających dowodów albo prokuratura źle pracuje. Co to ma za związek z prawami człowieka? Znowu ten sam. Lech Kaczyński chce, by ludzi skazywano bez dowodów. Inny przykład:

Niedawno władze jednej z uczelni uznały, że nic nie mogą zrobić profesorowi, który wynajął swój dom na agencję towarzyską.

Lech Kaczyński chce, by karano za czyn niebędący przestępstwem! Po co zmieniać kodeks, skoro nie ma obowiązywać?

W artykule dla „Wprost” (nr 49 z 2000 r.) Lech Kaczyński stwierdza, że chciałby, żeby minister sprawiedliwości mógł odwoływać sędziów i żeby w organach dyscyplinarnych samorządu sędziowskiego znalazły się „osoby spoza środowiska sędziowskiego”. Jest to postulat likwidacji niezawisłości sądów.

Innym razem Lech Kaczyński mówi:

(...) należałoby zastosować środki absolutnie drastyczne. A więc karę śmierci, zwiększenie liczby więźniów(...), przywrócenie trybu uproszczonego w niektórych sprawach, więzienia przypominające te z lat 70-tych, a nie obecne. (...) Policja nie powinna bawić się z przestępcami. Tutaj należałoby wrócić do praktyk z lat 70-tych.

Na czym polegały „praktyki z lat 70-tych”? Milicja zabezpieczała ślady, zakładała teczkę i w ogóle nie szukała sprawców, a gdy później przypadkowo wpadali, dostawali pałami i przyznawali się do wszystkiego co zrobili, lub do tego co milicji pasowało. Wtedy wyciągano teczkę i sprawa była gotowa.

Zapytany otwarcie przez Jarosława Kurskiego, Lech Kaczyński zaprzecza, że chce wymuszać zeznania biciem, ale już w następnym zdaniu potwierdza:

(...) potrzebne są działania bardziej stanowcze. (...) na nieszczęście dla naszego społeczeństwa, w tej chwili takie działania nie przejdą.

Wyjaśnijmy: „nie przejdą”, bo zabrania ich konwencja przeciw torturom.

Za każdym razem Lech Kaczyński powtarza, że nie jest przeciwnikiem praw człowieka, tylko są one „źle interpretowane”. Jest tylko zwolennikiem: przywrócenia kary śmierci, zniesienia zasady domniemania niewinności, zniesienia niezawisłości sądów, karania za czyny niekaralne, wymierzania kar nie w proporcji do czynu, tylko z założenia surowych, wprowadzenia nieludzkich warunków w więzieniach i stosowania tortur w śledztwie. Ale nie jest przeciwnikiem praw człowieka!

Pan minister chce stosowania „obligatoryjnego tymczasowego aresztowania” czyli takiego, które stosuje się nawet, gdy nie ma ku temu

powodu. Zapytany przez Monikę Olejnik o ewentualne pomyłki odpowiada, że „są przepisy o rekompensatach za takie pomyłki”. Przypomina mi to rozumowanie nastolatka malującego graffiti na samochodach, który tłumaczył, że „oni i tak mają auto casco”.

W tym samym wywiadzie Lech Kaczyński mówi:

(...)obecna praktyka jest taka, że sprawcy groźnych przestępstw nie są aresztowani.

Nieprawda. Sprawcy naprawdę groźnych przestępstw na ogół są aresztowani. Pomyłki sądów, lub przypadki niedbałego osądzenia nie są nieodwracalne. Istnieją takie instrumenty prawne, jak apelacja, ponowne rozpatrzenie sprawy i kasacja. Jeżeli sąd się pomyli, to podległy ministrowi prokurator lub on sam, może tę decyzję zaskarżyć. Zresztą brak tymczasowego aresztowania nie oznacza bezkarności.

Minister sprawiedliwości nie rozumie instytucji tymczasowego aresztowania. Lech Kaczyński mówi:

W przeciętnej sprawie gospodarczej zastosowanie aresztu tymczasowego jest oczywistością, natomiast w sprawie o porwanie(...) aresztowania nie stosuje się.

W praworządnym państwie nie trzyma się ludzi w więzieniach bez prawomocnego wyroku. Tymczasowe aresztowanie jest odstępstwem, stosowanym w wyjątkowych przypadkach, gdy sprawca może się ukrywać, popełniać następne przestępstwa lub utrudniać śledztwo. Jest uzależnione od wystąpienia jednej z tych przesłanek, a nie od rodzaju przestępstwa. Może się zdarzyć, że sąd zastosuje areszt w sprawie gospodarczej, a nie zastosuje wobec porywacza, ale nie ma takiej „oczywistości”, że stosuje się areszt w sprawie gospodarczej, a wobec porywaczy nie. To ewidentna nieprawda.

Pan minister mówi:

(...)w Polsce wyrok w zawieszeniu oznacza w praktyce bezkarność.

Wyrok zawiesza się nie „ot, tak”, tylko „warunkowo”. Jeżeli sprawca w okresie zawieszenia nie złamie jego warunków, to nie jest karany. Na tym polega wyrok w zawieszeniu, nie tylko w Polsce, ale wszędzie. Co pan minister chce tu zmieniać?

PARA W GWIZDEK I HIPOKRYZJA

Z jednym twierdzeniem Lecha Kaczyńskiego się zgadzam: ofiary przestępstw rzeczywiście najczęściej są bezbronne.

Z tym tylko, że koncepcje pana ministra zmierzają do tego, by ofiary były bezbronne jeszcze bardziej. Pomysł, by ponowny atak na ofiarę, zastraszanie świadków, prokuratury lub sądu, były uważane za ciężkie przestępstwo, jest słuszny, ale dokąd gangster będzie wiedział, że dzięki zastraszaniu nie zostanie skazany wcale, nic to nie da. Ofiarom przestępstw nie potrzeba przywilejów, tylko zapewnienia skutecznej ochrony.

Tymczasem pan minister i jego zwolennicy społeczeństwo straszą opowiadając o „bezkarności przestępców”, o tym, że „wychodzą oni na wolność”, że są najpotężniejsi na świecie itp. Podważają autorytet prokuratury, sądów i prawa gadaniem, że sądy nic innego nie robią, tylko przestępców wypuszczają sugerując, że środowisko sędziowskie jest skorumpowane i współpracuje z przestępcami, a prawo jest złe. Skutki są takie, że ludzie przestają zgłaszać przestępstwa policji, boją się zeznawać i w efekcie sprawców coraz trudniej złapać i udowodnić im winę. Tym postępowaniem otoczenie Lecha Kaczyńskiego, i on sam już bardzo zaszkodziło stanowi bezpieczeństwa w Polsce.

Pan minister, zamiast obywateli straszyć, powinien zachęcać ludzi do składania zeznań, współpracy z policją i prokuraturą oraz podjąć realne działania dla zapewnienia im ochrony. Nawet najcudowniejszy kodeks sam przestępca nie złapie i nie udowodni mu winy.

Recepta jest całkowicie błędna i wręcz samobójcza. Zaniechanie realnych działań na rzecz poprawy bezpieczeństwa, jak: reforma policji, reforma sądownictwa i – co najtrudniejsze – znalezienie na te reformy funduszy, puszczenie całej pary w gwizdek, czyli projekty „surowego prawa”, które nie mają żadnych szans być zrealizowane, podgrzanie atmosfery zagrożenia, to w praktyce działania na rzecz przestępców.

Pomysły Lecha Kaczyńskiego są nierealne, bo stoją sprzeczności z podpisanymi przez Polskę konwencjami, z dostosowywaniem polskiego prawa do standardów Unii Europejskiej i nie przejdą przez Sejm, Senat i Prezydenta. PiS ma za mało poparcia, by je przeforsować wbrew opinii środowiska prawniczego. Początkowa euforia dla rzekomego pogromcy bandytów już mija i coraz więcej ludzi zaczyna patrzeć krytycznie na jego poczynania. Coraz więcej ludzi zaczyna rozumieć, że Lech Kaczyński chce ograniczyć prawo do obrony i niezawisłość sądów, zwiększyć brutalność policji a nie ma żadnego realnego pomysłu ona zwiększenie bezpieczeństwa.

W ciągu ostatnich trzech lat, Polacy zaczęli deklarować w ankietach mniejsze poczucie zagrożenia przestępczością, niż w latach poprzednich. Cóż się zmieniło? W poziomie przestępczości nic. Jest taki sam. Po prostu Lech Kaczyński i Zbigniew Ziobro przestali być ministrem i wice-ministrem sprawiedliwości i przestali wszystkich straszyć.

Jeszcze garść przykładów.

W 2000 roku, po ujawnieniu przez media afery korupcyjnej w Województwie Śląskim, Lech Kaczyński wystąpił w telewizyjnym „Monitorze Wiadomości” (TVP1, 4 grudnia 2000 r.). Tym razem, gdy chodziło o urzędników i polityków z jego ugrupowania, nie domagał się surowych kar i przywrócenia „praktyk z lat siedemdziesiątych”. Sprawy przestały być „oczywiste”, prawo do obrony i zasada domniemania niewinności powróciły do łask. Prawa człowieka przestały być „źle interpretowane”. Nie zapalali też publicznym oburzeniem ani Jarosław Kaczyński, ani „obrońca praw ofiar” Zbigniew Ziobro.

Gdy rozpatrywano aferę Rywina, Zbigniew Ziobro oburzał się na dyspozycyjność prokuratury wobec SLD. Zapytam retorycznie: a któż tę dyspozycyjność prokuratury forsował? Czy przypadkiem nie Lech Kaczyński i Zbigniew Ziobro, gdy zasiadali w ministerstwie? Czy „idealnie obrotowego” prokuratora Kapustę to przypadkiem nie panowie mianowali? Gdy niedawno minister sprawiedliwości z SLD, Grzegorz Kurczuk, planował przywrócenie niezależności prokuratury, Lech Kaczyński zaprotestował, bo „państwo nie będzie mogło realizować polityki karnej”.

Ostatnio Jarosław i Lech Kaczyńscy, wykorzystując wzburzenie społeczeństwa wyjątkowo okrutną zbrodnią, rozpętują kampanię na rzecz przywrócenia kary śmierci. Postępowanie takie jest skrajnie nieodpowiedzialnym awanturnictwem politycznym. Zniesienie kary śmierci jest podstawowym warunkiem członkostwa Polski w Unii Europejskiej i Radzie Europy. Jarosław i Lech Kaczyńscy, dla realizacji prywatnych fobii, gotowi są narażać najważniejszy, strategiczny interes państwa, podburzając nieświadome konsekwencji społeczeństwo.

Beztrybizm

[7 lipca 2018 r.]

To chyba najlepsza nazwa na obecny ustrój Polski (a może „Wolski”, bo „z ziemi polskiej do Wolski” śpiewał kiedyś Hegemon Beztryb). *Kaczym, kurduplizm, miernotyzm...* nie to. Beztrybizm najlepiej pasuje.

Otóż Hegemon Beztryb ogłosił, że osoby zasiadające w radach nadzorczych i na innych stanowiskach w spółkach Skarbu Państwa nie będą kandydować w wyborach. Ci ludzie, wsadzeni tam „bez trybu”, po likwidacji służby cywilnej, nie są moimi ulubieńcami. Znaleźli się tam w nagrodę za popieranie Beztryba i po to, by się dorobić. Najczęściej są to osobnicy nie nadający się do niczego, ale zdolni do wszystkiego. Nie moja bajka.

Niemniej – w jakim trybie Hegemon Beztryb ogłasza, że nie mają oni jednego z praw obywatelskich czyli biernego prawa wyborczego? W jakim trybie? „Bez trybu” i już.

Pan Prezydent wysłał do sędziów SN pismo („informację”), że zostali przeniesieni w stan spoczynku. Nie „decyzję”, lecz „informację” czyli pismo, niemające żadnej mocy prawnej. **Teoretycznie nie działa, ale „bez trybu” działa.**

Wcześniej Beztryb zarządza obniżenie płac posłów i samorządowców, a Sejm posłusznie to uchwała. Kiedyś mieliśmy Sejm Niemy, Sejm Wielki, a teraz mamy Sejm Posłuszny. W jakim trybie Sejm jest posłuszny? W żadnym, jest posłuszny „bez trybu”. A w jakim trybie Prezydent otrzymuje sms-a: „Jędrzek wstawaj, druga w nocy – będziesz podpisywał”. W jakim trybie dostaje? Ano dostaje i podpisuje. „Bez trybu”.

„Bez trybu” zwalniani są generałowie, „bez trybu” stawiane są pomniki, „bez trybu” policja legitymuje, „bez trybu” prokurator oskarża.

Szeregowy poseł, którego partię poparło 18% wyborców, rządzi krajem. Wydaje polecenia posłom, premierom, ministrom, Prezydentowi i nikt nie pyta, w jakim trybie. Wszyscy wiedzą, że prawo już nie działa, porządek konstytucyjny nie działa, jeden człowiek, Hegemon Beztryb, rządzi „bez trybu”.

Byłoby śmieszne, gdyby nie było straszne.

Tradycja polskiego parlamentaryzmu (małe kalendarium na rocznicę)

[13 lipca 2018 r.]

Rok 1505. Konstytucja „Nihil Novi” wprowadza obowiązek publikowania wszelkich aktów prawnych (w tym wyroków sądów).

OBOWIĄZYWAŁA OD 511 LAT.

Zasadę tę złamała premier Beata Szydło w 2016 roku.

Rok 1776. Sejm wprowadza zakaz stosowania tortur i uznawania dowodów uzyskanych za pomocą tortur. Zarazem pierwszy polski akt prawny zakazujący uznawania za dowody w sądzie informacji zdobytych w sposób nielegalny. Polska, wraz z USA, była drugim po Austrii krajem świata, wprowadzającym ten zakaz.

OBOWIĄZYWAŁ OD 241 LAT.

Zasadę tę złamał w 2017 roku Zbigniew Ziobro w projektach ustaw o prokuraturze i zmianach w kodeksie postępowania karnego, a PiS-owski Sejm te zmiany uchwalił.

Rok 1791. Konstytucja 3 maja wprowadza trójpodział władzy. Jej Art. V

(...)trzy władze rząd narodu polskiego składać powinny i z woli prawa niniejszego na zawsze składać będą, to jest: władza prawodawcza w stanach zgromadzonych, władza najwyższa wykonawcza w królu i Straży i władza sądownicza w jurysdykcjach na ten koniec ustanowionych lub ustanowić się mających(...).

Polska konstytucja była drugą po konstytucji Stanów Zjednoczonych nowoczesną ustawą zasadniczą.

O BOWIĄZYWAŁA OD 224 LAT.

Zasadę tę złamali: Prezydent Andrzej Duda w projektach ustaw o KRS i SN w 2017 roku, posłowie PiS w latach 2017 i 2018, minister Zbigniew Ziobro i Prezydent Andrzej Duda przeprowadzając zamach na Sąd Najwyższy w 2018 roku.

W 2017 roku rozpoczął się proces stopniowej likwidacji reprezentatywnego parlamentu: barykadowanie Sejmu przed obywatelami, ograniczanie praw posłów opozycji.

Zasad tych nie uznawali: rosyjscy zaborcy, niemieccy okupanci, komuniści i PiS.

Demokratyczny parlament istniał od 550 lat. Właśnie się kończy, wraz z polską demokracją.

Jeden naród, jedna partia, jeden wódz... Nie!

[26 lipca 2018 r.]

Chciałbym na chwilę, nie odrywając się od bieżących wydarzeń, spojrzeć nieco szerzej na to, co się w Polsce odbywa. A odbywa się zamach stanu i budowanie brunatnej dyktatury.

Cofnijmy się o parę dni do istotnej wypowiedzi Jarosława Kaczyńskiego w trakcie wywiadu dla tygodnika „wSieci”, która spotkała się raczej z lekceważeniem, niż z uwagą. Ja jednak daleki jestem od lekceważenia tej wypowiedzi. Jarosław Kaczyński, być może niechcący, ujawnił kolejny krok algorytmu przejmowania państwa: użycie przemocy i pacyfikację wszelkiej opozycji.

Jarosław Kaczyński powiedział:

W Hiszpanii ludzie, którzy wzywali do buntu przeciw demokratycznemu rządowi, siedzą w więzieniach z perspektywą kilkunastoletnich wyroków.

I dalej:

(...)sądy [w Polsce] uniewinniają masowo tych, którzy w sposób oczywisty łamali prawo, np. rzucali się na drogę, blokowali legalne demonstracje. Widziałem te zachowania z bliska.

Po czym, na pytanie braci Karnowskich: „I tak będzie zawsze?”, odpowiada:

Na pewno polskie życie publiczne wymaga jakiegoś uporządkowania, ale oczywiście zawsze w Polsce będzie wolność, i to wolność większa, niż jest dziś na Zachodzie.

W pierwszej chwili można odnieść wrażenie, że to tylko takie gadanie, ale w końcu polskiej wolności nic nie grozi. Nic bardziej błędnego. Zwrot „zawsze w Polsce będzie wolność, i to wolność większa, niż jest dziś na Zachodzie” to po prostu część stałego rytuału propagandy PiS – po części pogroźek i obelg zawsze następuje taki lub podobny *passus*. Nic on nie znaczy. Istotna jest treść przed tym: „Na pewno polskie życie publiczne wymaga jakiegoś uporządkowania...”, czyli tak być nie może i tak nie będzie.

Kaczyński po prostu ujawnił swoje emocje i prawdziwe zamiary: będą aresztowania, polityczne procesy, będzie dyktatura i terror.

W tym samym wywiadzie Kaczyński zapowiada, choć w nieco zaowalowany sposób, że nie uzna wyroku Trybunału Sprawiedliwości UE, bo bez politycznego opanowania Sądu Najwyższego wszystkie pozostałe „reformy” nie miałyby sensu. **To przecież zupełnie jasna deklaracja – celem jest pełna dyktatura, a bitwa o Sąd Najwyższy jest decydująca, jest ostatnim aktem dobijania demokracji, a zarazem jest to deklaracja, że Prezes nie wyklucza całkowitego wycofania Polski z Unii Europejskiej, bo dyktatura jest celem nadrzędnym.**

Zamach stanu dokonywany przez PiS odbywa się według dobrze przygotowanego algorytmu, sprawdzonego już w paru innych krajach (byłych republikach sowieckich, na Węgrzech, częściowo w Turcji). Stąd podejrzenie, że algorytm ten nie powstał w naszym kraju. W skrócie wygląda on tak:

- obsadzić stanowisko prezydenta posłusznym i bezwolnym osobnikiem, który wykona każde polecenie rzeczywistego bossa;
- obezwładnić sąd konstytucyjny;
- zmieniać ustrój państwa za pomocą zwykłych ustaw, sprzecznych z konstytucją;
- opanować media publiczne i używać ich jako tuby propagandowej;
- w propagandzie bazować na dwóch elementach: obietnicach socjalnych (nawet zupełnie nierealnych, które nigdy nie zostaną spełnione) i odwoływaniu się do najgorszych ludzkich instynktów (np. radości z zaskodzenia komuś innemu – „Ja z tego nic nie mam, ale jemu zabrali! Hura!”);

- nie przeszkadzać opozycji w protestach, ignorować i oczerniać, szcuć na opozycję, ale nie bić (do czasu); taktyka: oni protestują, a my i tak robimy swoje, na bicie i więzieniu przyjdzie czas;
- przekupywać aparat własnej partii, radnych, posłów, urzędników, synekurami w państwowych przedsiębiorstwach, jednocześnie stosując cichy szantaż: „wyłamiesz się – tracisz wysokie dochody”;
- opanować resorty siłowe, obsadzić je swoimi ludźmi, opanować aparat ścigania (prokuraturę, ABW, CBA) i uczynić z nich posłuszne narzędzie, które wykona każdy rozkaz;
- obezwładnić armię, pozbawiając ją zdolności bojowej tak, by nie była zdolna do buntu. Zamiast armii zorganizować ideologiczne uzbrojone bojówki;
- opanować i skorumpować lub sterroryzować sądy, uczynić je posłusznymi (w tym miejscu algorytmu jesteśmy);
- używając opanowanego aparatu państwa, przemocą spacyfikować wszelką opozycję (usunąć opozycyjnych posłów z Sejmu, aresztować lub zastraszyć opozycję pozaparlamentarną).

Kolejność działań według tego algorytmu nie musi być dokładnie taka, ale konieczne jest wykonanie wszystkich elementów. Rezultatem końcowym będzie pełna dyktatura i typowe państwo mafijne, w którym cały aparat władzy skierowany jest na wydojenie z gospodarki jak największych zysków dla siebie. Takie państwo mafijne mamy już na Węgrzech, gdzie funkcjonariusze państwowi zachowują się jak żołnierze mafii, wymuszają łapówki, synekury, posługują się groźbami, a nawet je realizują, używając do tego aparatu państwa.

Jeżeli PiS opanuje Sąd Najwyższy, przejdzie do ostatniego etapu (przemocy) i algorytm będzie zrealizowany w całości. Przejęcie Sądu Najwyższego jest to o tyle istotne, że nawet po utracie władzy, politycy PiS mogą przez dłuższy czas pozostawać bezkarni, nie mówiąc już o tym, że odebranie im władzy w drodze wyborów staje się niemal niemożliwe.

Obecne zmiany w prawie dotyczącym sądów, a Sądu Najwyższego i KRS zwłaszcza, oznaczają podporządkowanie Jarosławowi Kaczyńskiemu, jednemu człowiekowi, całego aparatu państwa, wszystkich trzech władz. Sąd Najwyższy obsadzony partyjnymi nominatami ma zapewnić cztery rzeczy:

- wpływać na wynik wyborów, „uwzględniając” protesty wyborcze. Wcale nie trzeba unieważniać wyborów. Wystarczy uwzględnić

protest o lokalnym znaczeniu i uznać, że należy wybory powtórzyć i powtarzać je aż do oczekiwanego skutku.

- zapewnić bezkarność ewentualnym podsądnym Trybunału Stanu. No bo któż jest przewodniczącym Trybunału Stanu? Prezes Sądu Najwyższego.
- zapewnić taką wykładnię prawa, by była korzystna dla władzy. Często zapominamy o tym, że jedną z najważniejszych ról Sądu Najwyższego jest orzekanie o wykładni przepisów – o tym jak je interpretować. Izba dyscyplinarna ma karać i usuwać niepokornych sędziów (ew. także prokuratorów i adwokatów).

Obecnie widzimy już początki ostatniego punktu algorytmu: narastanie przemocy fizycznej i zastraszania opozycji oraz stopniową marginalizację parlamentu. Można podśmiewać się z tego, że Sejm i Senat stają się cyrkiem, ale to nie jest śmieszne, tylko groźne. Żadna dyktatura nie toleruje zarówno jakiegokolwiek opozycji, jak i normalnie działającego parlamentu. Gdy dyktator osiąga pełnię władzy, parlament przestaje mu być potrzebny. Co najwyżej toleruje jego atrapę, jako propagandową dekorację. W PRL Sejm niby istniał, ale o niczym nie decydował. Parlament niby istnieje na Białorusi, w ZSRR istniała Rada Najwyższa, ale to były tylko dekoracje. Prawdziwy ośrodek władzy znajdował się gdzie indziej.

I tak już teraz jest w Polsce. **Rządzi jednoosobowo Jarosław Kaczyński. Nie jest „szeregowym posłem”. Jest dyktatorem. W tej chwili walczy już nie o władzę – bo ją ma – tylko o bezkarność dla siebie i swoich sługusów oraz o utrwalenie dyktatury, tak by jej obalenie stało się niemożliwe.**

Smutne to, co piszę, ale niestety musimy wiedzieć, na czym stoimy i z czym walczymy. Nigdy nie wygramy żywiąc się złudzeniami, że jeszcze mamy jakąś demokrację i jakąś praworządność.

Czy zatem nasze protesty mają jakiś sens? Tak, mają sens, bo mogą obudzić drętwą część społeczeństwa, a tego dyktator boi się najbardziej. Z walką bez przemocy jest tak, jak z demokracją: ma wiele słabości, ale na razie nikt niczego lepszego jeszcze nie wymyślił.

Władza chce krwi

[27 lipca 2018 r.]

Zaledwie wczoraj napisałem artykuł „Jeden naród, jedna partia, jeden wódz... NIE!”, w którym ostrzegałem, że kolejnym krokiem rządzących będzie użycie przemocy, bo dyktatura nie toleruje żadnej opozycji.

To się już dzieje. Wczoraj wieczorem policja użyła w Warszawie gazu przeciw pokojowej demonstracji. Nie ma znaczenia, że zrobił to jeden policjant, a nie wszyscy. Policja uzasadnia, że musiała interweniować, bo ktoś chciał pisać wulgarne hasła na chodniku. Przy okazji kłamie, że pierwsi użyli gazu demonstranci. Nic nowego – od wieków to owce zawsze prowokowały wilki.

Jeszcze nieco ponad rok temu nasza współpraca z policją była niemal przyjazna. Policja ochraniała demonstracje, nie dopuszczała do incydentów, zatrzymywała prawicowych bojówkarzy, tworzyła kordon, gdy podpuszczani kibole Legii chcieli napaść na naszą demonstrację pod Sejmem w lipcu zeszłego roku. Od pewnego czasu to się zmieniło. Działania policji są coraz brutalniejsze i coraz częściej nieuzasadnione. Zresztą od pewnego czasu sami rządzący zachowują się historycznie.

Początkowo historyczne reakcje służyły propagandzie, co półtora roku temu odczułem na własnej skórze. Był taki incydent: pewien młody człowiek zwyczajnie się upił w restauracji w Wydminach (4 kilometry do mojego domu). Szedł zygżakiem do domu i mazał czerwonym lakierem po wszystkim, co popadło, po znakach drogowych, po szyldzie straży pożarnej, po napisie „Parking” przed kościołem. Traf chciał, że na jego drodze znalazł się kamień poświęcony „żołnierzom wyklętym”. Maznął przypadkiem tym lakierem po napisie „Bóg-Honor-Ojczyzna” i poszedł

dalej. Co by zrobił normalny człowiek w takiej sytuacji? Wzięłby szmatę, rozpuszczalnik i umył, a wandalowi wystawiłby mandat. Ale nie. Urządzono propagandową histerię. Przyjechała telewizja – oczywiście państwowa i rydzykowa. Nakręcono i wyemitowano materiał: „W Wydminach zbezczeszczono pomnik żołnierzy wyklętych”. Wieczorem, niby przypadkiem w wiadomościach TVP1 wyemitowano materiał o tym, jaki to niedobry jest Krzysztof Łoziński, przypadkiem mieszkający 4 kilometry od tego miejsca. OK, rozumiem, cel propagandy.

Ale wczoraj? Ktoś wysłał w środek tłumu grupę policjantów by zatrzymali kogoś, kto bazgrze po trotuarze. Każdy absolwent Szkoły Oficerskiej Policji wie, że tak się nie robi. Wie, bo w tej szkole się tego uczy. Każdy zdrowy na umyśle oficer policji wie, że jest monitoring, są policyjne kamery i jak chce się kogoś zatrzymać, można to zrobić później. Taki zdrowy na umyśle oficer wie, że działania policji są też filmowane z drugiej strony i że kitu nie da się wcisnąć i wszystkie działania da się udowodnić. Poeta pisał kiedyś „spisane będą czyny i rozmowy”, a teraz już nie tylko będą spisane, ale i nagrane, sfotografowane, sfilmowane i to przez wiele osób. Czasy, gdy można było kogoś zatłuc anonimowo, dawno już minęły. – „To už se ne vrati” – jak mawiał pan Havranek. A wreszcie każdy zdrowy na umyśle oficer wie, że takie mazaje na chodniku likwiduje się rano myjką ciśnieniową, a nie wieczorem – plutonem policji.

Niestety nie był to pierwszy taki incydent. Grupy policjantów wysyłało w tłum już pod Sejmem z równie błahych albo i z żadnych powodów. I proszę mi nie wciskać kitu, że zupełnie przypadkiem pod Sejmem jeden z policjantów założył zatrzymanemu za byle co chłopakowi fachowe duszenie hadaka jime z judo, bo ponoć chciał go przytrzymać (za pomocą ucisku na tętnicę szyjną).

To wszystko składa się w całość. Coraz większe siły policyjne, zupełnie nieproporcjonalne do sytuacji, coraz więcej płotów i barier pod Sejmem i w Sejmie, coraz brutalniejsze postępowanie policji i coraz więcej pogroźek ze strony polityków PiS-u. Mam podejrzenie, że ktoś sobie wymyślił siłowe stłumienie protestów jako lekarstwo na opinię publiczną i zagraniczną oraz własne drżące portki.

30 srebrników

[30 lipca 2018 r.]

Blisko 200 osobników wyraziło chęć zasiadania w umeblowanym przez PiS Sądzie Najwyższym. Najwięcej w Izbie Dyscyplinarnej (najwięcej płacą). Nie szkodzi, że tam trzeba będzie najbardziej się zeszmacić, karać na polityczne polecenie uczciwych sędziów, robić machloje wyborcze, chronić łajdaków... Nie szkodzi, kusi 30 srebrników.

W swoim życiu wielokrotnie już stykałem się z różnymi kolaborantami. Kiedyś uważałem ich za kolegów. Gdy czytałem swoje akta sporządzane przez SB w różnych latach, przenosiłem ich do zbioru byłych kolegów. Ogarniał mnie smutek i obrzydzenie. No i zdumienie, za jak małe korzyści człowiek jest gotów się zeszmacić. Załącznikiem do każdego donosu był dokument: „kwituję odbiór 1500 złotych” i podpis.

Wróg nie budził we mnie tak negatywnych emocji jak kolaborant. Wróg mógł mieć inne przekonania, mógł je wynieść z domu, lub z prania mózgu, mógł mieć taką pracę i zostać „skierowany na odcinek”. Kolaborant nie musiał, kolaborant chciał.

Zamieszczam scan wyciągu z jednego z donosów. Jest ciekawy. Facet wyraźnie nic o mnie nie wie, bo donosi same bzdury. Uczyłem się kung fu w Polsce, nie w Indiach, nie w Wietnamie, od Japończyka a nie od Wietnamczyka. W Indiach byłem pierwszy raz w 1979 roku, gdy dawno już miałem stopień mistrzowski, w Wietnamie nie byłem nigdy. Nie starałem się o przyjęcie do pracy w „Solidarności” w „sekcji sportu”, bo takiej sekcji nie było, a ja pracowałem w Teatrze Wielkim.

Po co on to wszystko bredzi? Dla 1500 złotych. Kurs srebrnika wynosił wówczas 50 złotych. $1500 : 30 = 50$.

Dziś kurs srebrnika poszedł w górę. Kandydaci na dyspozycyjnych sędziów SN, dyspozycyjni dziennikarze w TVP, sędziowie-dublerzy w Trybunale Konstytucyjnym, nadgorliwi prokuratorzy robiący śledztwa kto napisał „PZPR” na drzwiach wieloletniego członka PZPR (wcześniej ZMS), ci wszyscy kolaboranci wynagradzani są w wielu tysiącach. Wydaje im się, że robią karierę, a skończą otoczeni pogardą. Wcale nie są mniej obrzydliwi niż autor wspomnianego donosu. Są z tej samej bajki.

I jeszcze jedno. Komuna upadła, SB przestała istnieć. Z kilku powodów, ale między innymi dlatego, że opierała się na kolaborantach, na ludziach moralnego dna. Z tego donosu widać, jaki jest pożytek z pracy kolaboranta. Czego SB się dowiedziała? Samych bzdur. Pożytek żaden, koszt 1500 zł. Pożytki z dzisiejszych kolaborantów będą analogiczne, bo tacy ludzie nie są w stanie stworzyć niczego wartościowego. Tylko szkody innym narobią.

Wyciąg

PROSTOTA PRAWNA-UL. ON UL. 2 254273
z dnia 22 stycznia 1999 roku o ochronie
informacji niejawnych

(Dz. U. Nr 11 poz. 95 z późn. zm.)

Carroll

z informacji operacyjnej uzyskanej
od KO „Jacek” pozostającego na kontakcie
tow. ② Informacja z dnia 20.05.1982

... Kręgoskręta Kozłńskiego poznatem około 3 lata temu na piasek w mieście sportowej. Działal on wówczas w sekcjach TKKF jako instruktor. Kręgoskręta podaje wyświadczył, że tajniki tej dyscypliny sportu posiadał będąc w Indonezji lub Wietnamie. W rzeczywistości nauki pobierał w Polsce u faktycznej Wietnamczyka. Od tego czasu zaczął być fanatykiem tej dyscypliny.

Kręgoskręta nie jest oficjalnie zamawianym sportem, nie ma czasu, władz itp. Tak więc każdy, kto ma ochotę trochę tajniki i dyscypliny może uczyć innych pod warunkiem że znajdzie podobnie nie na treningi i obywateli.

K. Kozłński ze swoją znajomością Kręgoskręta może nauczyć innych odpowiedniej ilości osób chętnych by osoba ta mogła innej zrobić kręgoskręta. W 1981 roku K. Kozłński czyste przebywał w siedzibie Zarządu regionu „Mazowsze” NSZZ „Solidarność” i czuł się zainteresowany o pracę tam do pracy w sekcji sportu. Nie można wykluczyć, że jego argumencie trafiła na podobny grunt, że zdecydowano się przyjąć go do pracy. Nadani szkolizacji obywateli uprawiania Kręgoskręta, sportu szermierki, znanego także nową sztuką zabijania...

Chichot historii

[2 sierpnia 2018 r.]

Irlandzka sędzia zapytała Trybunał Sprawiedliwości o to, czy może odmówić wydania do Polski obywatela RP ściganego europejskim nakazem aresztowania, bo ma wątpliwości co do tego, czy w związku z „reformami” PiS-u może on liczyć na uczciwy proces w naszym kraju. Odpowiedź znamy: europejskie sądy mają obowiązek w każdym takim przypadku sprawdzić, czy stan praworządności w naszym kraju pozwala na ekstradycję zatrzymanego.

Skąd my to znamy? Z analogii.

W 1996 roku Straż Graniczna na lotnisku Okęcie w Warszawie zatrzymała małżeństwo Mandugeqi i Jinge, obywateli Chin, ściganych przez ten kraj listem gończym Interpolu. Sąd Wojewódzki w Warszawie odmówił ekstradycji ze względu na stan praworządności w ChRL, a zwłaszcza powszechne stosowanie tortur i stosowanie kary śmierci. obrońców praw człowieka reprezentował przed sądem mec. Wojciech Hermeliński, obecny szef PKW, a materiały na temat łamania praw człowieka w ChRL z ramienia Amnesty International przygotował dla sądu obecny szef KOD, Krzysztof Łoziński. Ambasada Chin wydawała wówczas oświadczenia w stylu dzisiejszych gadek Joachima Brudzińskiego lub Krystyny Pawłowicz. Jedno z nich zamieszczam na sianie ilustrującym ten tekst. Zupełnie jak dziś, wszystkiemu winna opozycja, obrońcy praw człowieka i Amnesty International.

Ale to nie wszystko.

Dowiadujemy się coraz ciekawszych rzeczy. Oto policja inwigilowała opozycję pozaparlamentarną i śledziła m.in. spotkanie Zbigniewa

Hołdysa z młodzieżą. Policja śledziła też posłów opozycji, m.in. Ryszarda Petru oraz działaczy opozycji, np. Pawła Kasprzaka, a za niżej podpisanym Krzysztofem Łozińskim, który udawał się na jedną z kontrmiejecznic, jechał od Pisu do Marek pod Warszawą nie oznakowany samochód z policjantami w cywilu. Policja też zatrzymuje na krótko i spisuje bez żadnego powodu uczestników demonstracji, psika gazem – ot, tak sobie...

I tu znowu analogia, o której przypomniał w TVN24 Zbigniew Hołdys.

20 października 1980 roku ujawniłem i przekazałem „Solidarności” list Prokuratora Generalnego Lucjana Czubińskiego do prokuratorów wojewódzkich, zalecający zbieranie haków, nękanie opozycji, zatrzymywanie na 48 godzin (i w kolejnych komendach na kolejne 48), legitymowanie, zastraszanie i fałszowanie dowodów do przyszłych procesów. Dokument opatrzony był wstępem: „Do umiejętnego stosowania w pracy politycznej i zawodowej” (szczegóły akcji ujawniania tego dokumentu opisałem w książce „Życie pod wiatr”, akcję wówczas błędnie przypisano Janowi Naroźniakowi).

Istotne, że ten dokument zawiera wszystko to, co dziś robi policja pod wodzą Mariusza Błaszczaka i Joachima Brudzińskiego. Przy okazji dowiedzieliśmy się, że Zbigniew Ziobro zorganizował w Ministerstwie Sprawiedliwości „centralny rejestr haków”. Mam wrażenie, że cofnęliśmy się w czasie. Instrukcja Czubińskiego weszła w życie. Tylko Zbigniew Hołdys i ja znowu jesteśmy po tej „niewłaściwej ideologicznie” stronie.

Wyjeżdż

z informacji operacyjnej uzyskanej

od KO „Jacek” pozostającego na kontakcie

tem.

(2)

Informacja z dnia 20.05.1982

(Dz. U. Nr II poz. 95 z późn. zm.)

Informacji niejawnych

Tworząca prawni-ml. od ust. z ustawy
z dnia 22 stycznia 1999 roku o ochronie

... Karykatura kocińskiego pomnika około 3 lata temu na przes-
nie sportowej. Działal on wówczas w sguistach TKKF jako trener
kolarz Kung-Tu podając wywiady, że tajniki tej dyscypliny sportu
podzielł będąc w Indioch lub Wietnamie. W rzeczywistości nauki
pobierał w Polsce u faktycznego Wietnamczyka. Od tego czasu zaczął
być fanatykiem tej dyscypliny.

Kung-Tu nie jest oficjalnie uznawanym sportem, nie ma kras-
nia, wioda itp. Tak więc każdy, kto ma chociaż trochę tajniki i
dyscypliny może uszyć trenera pod warunkiem że znajdzie podobier-
nie na treningi i chętnych.

K. Kociński ze swoją znajomością Kung-Tu może nauczyć innych
odpowiedniej ilości chwyków by osoba ta mogła innej zrobić krzy-
W 1981 roku K. Kociński często przebywał w siedzibie Zarządu
regionu, Mazowiecki NSZZ, Solidarność i czynił stwierdza o pracy
tam do pracy w sekcji sportu. Nie można wykluczyć, że jego argu-
tacja trafiła na podstopy Grunt, że zdecydowane się przystąpić do di-
pracy. Nadat szkolizby chętnych uprawiania Kung-Tu, sportu obroni
go, zwanego także nową sztuką zabijania...

OSTRZEŻENIE
INFORMACJA
WRAZEM
Z
KODEM
KRAJOWYM

Kwestia wyobraźni

[19 sierpnia 2018 r.]

Profesor Leszek Garlicki, na którego rzekomy (bo nie prawdziwy) pogląd na temat wieku emerytalnego sędziów tak chętnie powołuje się PiS, powiedział kilka dni temu w TVN24, że twórcom prawa konstytucyjnego w Polsce (w tym jemu samemu) zabrakło wyobraźni, bo nie przewidzieli takiej dewastacji państwa i takiej dewastacji prawa, jakiej dopuścił się PiS. Odciał się przy okazji od przypisywanych mu przez polityków PiS poglądów, stwierdzając, że cytowane zdania dotyczyły zupełnie innych okoliczności.

Z kolei profesor Wojciech Sadurski otwarcie nazywa rządzącą obecnie ekipę „zorganizowaną grupą przestępczą”, za co spada na niego cała wściekłość i hejt PiS-owskiej medialnej szczujni.

W przypadku podobnych wypowiedzi w mediach, najczęściej pada pytanie: „czy pan nie przesadza?”. Takie właśnie pytanie spotkało mnie w niedawnym wywiadzie dla TV „Rzeczpospolita”, gdy powiedziałem, że obecnie w Polsce mamy dyktaturę i żadnej demokracji już nie ma. Argumentacja rozmówcy najczęściej jest taka: „przecież możecie demonstrować, jest wolność zgromadzeń, wolność słowa i są wolne media”.

Zacznijmy od tego, że z tą wolnością zgromadzeń, słowa i mediów, to jest tak nie do końca prawda. Uczestnicy zgromadzeń, które nie podobają się władzy, są nękani i zastraszani przez policję. W tej chwili toczy się przeciw nim ponad tysiąc spraw, w których zarzuty wyraźnie mają charakter mocno naciąganych i tendencyjnych. Machnięcie kartką przed kamerą TVP, okrzyk „Lech Wałęsa”, napis „PZPR” na biurze poselskim Krzysztofa Czabańskiego (wieloletniego członka PZPR i ZMS),

koszulka z napisem „Konstytucja” na rzeźbie Misia Uszatka, to odpowiednio: „utrudnianie pracy mediom”, „zakłócenie porządku publicznego”, „propagowanie totalitaryzmu” i „zbezczeszczenie pomnika”. Jeżeli ktoś tu przesadza, to raczej twórcy tych zarzutów.

Uczestnicy pokojowych demonstracji nieraz byli już napadani – a nawet bici – przez bojówki organizacji faszystowskich, przy cichym przyzwoleniu policji i głośnych pochwałach ze strony polityków partii rządzącej.

Z wolnością słowa i mediów jest tak, że autorzy niepokornych treści lub publikacji spotykają się ze zmasowanym hejtem opłacanych trolli i atakiem całej maszyny propagandowej. Tu żadna policja ani prokuratura nie reaguje. Ubliza się ludziom w sposób otwarty, brutalny, kłamiąc na ich temat bez żadnych oporów. Nie bez znaczenia jest to, że całe media publiczne i media partyjne skrajnej prawicy (ponad połowa rynku mediów), zamienione zostały w jednostronną tubę propagandową obozu rządzącego. Jeżeli więc mówimy o wolnych mediach, to jest to resztką wolnych mediów, którą też rządzący zamierzają zlikwidować, o czym mówią już całkiem otwarcie.

Ale kwestia najważniejsza jest tu inna. Sama wolność zgromadzeń, słowa i mediów nie stanowi o istnieniu demokracji, bo są to tylko niektóre z jej elementów. Znacznie ważniejszymi elementami demokracji są: istnienie systemu parlamentarnego, trójpodział władzy na ustawodawczą, wykonawczą i sędziowską oraz wolne, uczciwe wybory. Aby istniała demokracja, muszą funkcjonować wszystkie jej elementy, a nie tylko część. Na podobnej zasadzie można by twierdzić, że motocykl jest samochodem, bo ma silnik i dwa koła (ale nie ma czterech kół, nadwozia i paru innych rzeczy). W Rosji teoretycznie można demonstrować, można pisać w gazetach co się chce, ale – już nie teoretycznie – trafia się za to do łagru. No, ale nie ma cenzury (tylko są łagry). Nie można uważać, że jest demokracja, bo jeszcze nie zlikwidowano ostatnich jej elementów.

Fakty są takie: parlament sprowadzono do roli atrapy i maszynki do zatwierdzania sms-ów od Kaczyńskiego. Teoretycznie istnieje debata parlamentarna, tyle tylko, że posłom opozycji ograniczono czas wypowiedzi do pół minuty, marszałek wyłącza im mikrofony i nakłada na nich (tylko na nich) ogromne kary finansowe, gdy mu się wypowiedź nie podoba. Politycy partii rządzącej otwarcie już mówią, że głosy opozycji i tak nie mają znaczenia, bo po stronie rządu działa zdyscyplinowana i bezkrytyczna maszynka do przegłosowywania wszystkiego, co prezes rozkaże. Naprawdę trudno tych wykonawców poleceń uważać za parlamentarzystów. Zbliżamy się do modelu Kambodżańskiego, gdzie partia

rządząca „zdobyła” sto procent miejsc w parlamencie (nad takim sposobem „zdobywania” też się już u nas pracuje). Bytów nie określa się po nazwie i tym, co głoszą, tylko po tym, czym są w rzeczywistości. W wspomnianej tu Kambodży od lat po dyktatorsku rządzą komuniści, najpierw prochiński Saloth Sar (Pol Pot), a teraz prowietnamski Hun Sen, a kraj ciągle nazywa się Królestwo Kambodży (Kingom of Kampuchea). Na tej samej zasadzie polski Sejm i Senat mogą nazywać się izbami parlamentu, ale od dawna nimi już nie są, bo nie sprawują najważniejszych funkcji parlamentu – władzy ustawodawczej. Stały się posłusznym elementem wszechwładzy jednego człowieka, który wydaje polecenia Prezydentowi, rządowi oraz większości posłów i senatorów. Trójpodział władzy nie istnieje nie tylko w stosunku do sądów, w stosunku do „parlamentu” też. Poseł lub senator powinien kierować się własną wiedzą i sumieniem, a nie powinien podlegać czymkolwiek poleceniom. W tej chwili poseł partii rządzącej nie jest „ustawodawcą”, tylko wykonawcą poleceń. Jest tylko elementem maszynki do stanowienia prawa przez kogo innego.

Symptomatyczny był incydent w Sali Kolumnowej, gdy na głosowanie nad budżetem nie wpuszczono posłów opozycji, a w głosowaniu brali udział ludzie nie będący posłami. Politycy PiS z pełną bezczelnością głosili wtedy, że opozycja i tak nie ma znaczenia, bo i tak zostanie przegłosowana. Jednym słowem: opozycja jest niepotrzebna (patrz: Kambodża).

A jak to jest z tą grupą przestępczą i wyobraźnią?

Jeszcze raz powtórzę: **bytów nie określa się po nazwie, i tym co głoszą, tylko po tym, czym są w rzeczywistości. Żadna grupa przestępcza nie nazywa się „Grupa Przestępcza”. Zawsze nazywa się inaczej. Istotne jest to, co robi, a nie to jak się nazywa i co głosi.**

Przypomnijmy kodeks karny:

Art. 127. §1. Kto, mając na celu pozbawienie niepodległości, oderwanie części obszaru lub zmianę przemocą konstytucyjnego ustroju Rzeczypospolitej Polskiej, podejmuje w porozumieniu z innymi osobami działalność zmierzającą bezpośrednio do urzeczywistnienia tego celu, podlega karze pozbawienia wolności na czas nie krótszy od lat 10, karze 25 lat pozbawienia wolności albo karze dożywotniego pozbawienia wolności.

I tu właśnie twórcom prawa karnego zabrakło wyobraźni. Myślano, że próby zamachu stanu może dokonać jakaś grupa zbrojna, zbuntowana jednostka wojskowa lub coś podobnego. **Nie przewidziano, że zamach stanu może być przeprowadzany przez rząd, Prezydenta**

i posłusznym posłom pod wodzą prezesa partii, która wygrała wybory. Nie przewidziano, że zamachowcy mogą opanować państwo w drodze wyborów.

Podnoszony jest argument: wygrali wybory, więc mają prawo. Nie, nie mają prawa. Wygrali wybory, więc mają prawo do rządzenia w ramach prawa, w tym Konstytucji, a nie do popełniania przestępstw. A zmienianie ustroju państwa wbrew Konstytucji, za pomocą zwykłych ustaw, niewątpliwie jest przestępstwem.

Kaczyński już dawno zapowiadał, że w Warszawie będzie kolejno: Budapeszt, Istambuł, a nawet Pakistan. Może być gorzej, może być Kambożda. Tylko zamiast wspaniałych rzeźb Angor, będą pomniki smoleńskie.

ZAMIAST POSŁOWIA...

Warszawa, 9 sierpnia 2018 r.
Komitet Obrony Demokracji
ul. Górczewska 39
01-144 Warszawa
Krzysztof Łoziński – przewodniczący

Szanowny Pan
Komendant Główny Policji
gen. insp. dr Jarosław Szymczyk

List otwarty

Szanowny Panie Generale

Od kilku dni policja prowadzi, bezprawną moim zdaniem, akcją nękania aktywistów KOD, którzy ubierali pomniki bądź rzeźby w koszulki z napisem „Konstytucja”. Czynności prowadzone są w związku z art. 261 k.k., mówiącym o zbezczeszczeniu pomnika. Taka interpretacja prawa jest całkowicie bezzasadna. Założona na pomnik koszulka niczego nie niszczy, nie jest elementem trwałym, można ją zdjąć. Napis „Konstytucja” nie zawiera też żadnych treści obelżywych, oszczerstw, bądź słów wulgarnych. Zawiera tylko i wyłącznie tytuł najważniejszego aktu prawnego Rzeczypospolitej Polskiej. Nie sposób uznać tego za obelgę, tym bardziej na pomniku byłego prezydenta, który przecież był „strażnikiem Konstytucji”.

Co więcej podejmowane środki są zupełnie nieproporcjonalne do zdarzeń. Najścia o 6 rano, zatrzymania, przeszukania, zatrzymywanie

przedmiotów, to rażące zachwianie proporcji między czynem, niegroźnym happeningiem, a działaniem policji.

Nie widzę potrzeby zatrzymywania osób wyłącznie w celu ich przesłuchania. Zatrzymanie przecież powinno być stosowane dopiero wtedy, gdy nie da się załatwić tego inaczej. W tych przypadkach wystarczyłoby wysłanie wezwania listem poleconym, lub doręczenie go przez posłańca. Tym bardziej niepokojące jest dokonujących przeszukań w sprawach, w których nie ma czego szukać, oraz zatrzymań przedmiotów mających wątpliwy związek ze sprawą (telefonów, komputerów).

Policja powinna starać się szanować godność ludzką i nie stosować środków silniejszych, niż jest to potrzebne. Nie widzę uzasadnienia do takich działań w sprawie kompletnie błażej, tym bardziej, że wątpliwy jest, czy w ogóle doszło do wykroczenia, a tym bardziej przestępstwa.

Dla mnie, jako obywatela, ważny jest też wizerunek policji, jako instytucji poważnej, broniącej obywateli przed światem przestępczym. Policja zatrzymująca i odwożąca na komisariat ludzi, który ubrali w koszulkę rzeźbę Misia Uszatka, policja poszukująca sprawców ubrania Smoka Wawelskiego, chrząszcza w Szczebrzeszynie, lub dzika w Kielcach, staje się po prostu śmieszna.

Szanowny Panie Generale, zwracam się do Pana o spowodowanie zaprzestania tych akcji, które są nie tylko bezprawne, ale i niszczą dobre imię policji. Chciałbym, aby nadal policjant uważany był przez obywateli za przyjaciela i obrońcę, a także za osobę reprezentującą prawo i poważną, do której uczciwy człowiek powinien i może mieć zaufanie.

Będę wdzięczny za odpowiedź.

Krzysztof Łoziński
przewodniczący Komitetu Obrony Demokracji



KOMENDA GŁÓWNA POLICJI

BIURO KONTROLI
WYDZIAŁ SKARG I WNIOSKÓW

ul. Puławska 148/150; 02-624 Warszawa; tel. 22 60 124 61 fax 22 60 135 71
skargi.kgp@policja.gov.pl

L.dz. Is-~~139.83~~12691/18/ZB

Warszawa, dn. 10. września 2018 r.

Egz. nr 1..

Pan Krzysztof Łoziński
Przewodniczący
Komitetu Obrony Demokracji
ul. Górczewska 39
01-144 Warszawa

W odpowiedzi na Pana pismo z dnia 09.08.2018 r. dziękuję za przekazanie swoich spostrzeżeń i uwag.

Informuję, że każde z przedstawionych przez Pana zdarzeń zostało poddane indywidualnej ocenie, a przeprowadzone czynności wynikały z okoliczności ich zaistnienia. Z dokonanych ustaleń wynika, że dotychczas wszczęto sześć postępowań przygotowawczych związanych z podejrzeniem popełnienia przestępstwa określonego w art. 261 *kodeksu karnego* (znieważenie pomnika lub innego publicznie urządzonego miejsca). Trzy spośród nich zostały umorzone, a pozostałe trzy są nadal prowadzone. Postępowania te realizowane są pod nadzorem prokuratora. Ponadto osoby będące stronami postępowań przygotowawczych posiadają prawa i obowiązki wynikające z ustawy *kodeksu postępowania karnego*, z których korzystają (np. prawo do zażalenia na poszczególne czynności). Ponieważ nie jest Pan stroną prowadzonych postępowań nie można na obecnym etapie udzielić Panu szczegółowych informacji w tym zakresie. Niemniej jednak zgodnie z regulacją zawartą w art. 156 § 5 *kodeksu postępowania karnego* informuję, że za zgodą prokuratora akta w toku postępowania przygotowawczego mogą być w wyjątkowych wypadkach udostępnione innym osobom niż strony. W tym trybie mógłby Pan wnioskować o dostęp do akt sprawy i uzyskać szczegółowe informacje o działaniach podejmowanych przez Policję.

